

turcja

Ece Temelkuran

obłęd
i melancholia

K

SERIA



TURECKIE
KLIMATY

Ece Temelkuran

TURCJA: OBŁĘD I MELANCHOLIA

Tłumaczenie: Łukasz Buchalski

Wrocław 2017

„od wschodu do zachodu przybiera kształt jesieni obłądu i melancholii”
Turgut Uyar, *Çılgın-Hüzünlü*

Wstęp

Wczoraj

„To jest Turcja!”.

Każdego dnia wypowiada się to zdanie z taką regularnością, że jest ono prawdopodobnie najczęściej używanym zwrotem w Turcji. Używa się go, by opisać jakieś szczególnie niedorzeczne wydarzenia i sytuacje. Wygłasza się je z sardonicznym uśmiechem i tak naprawdę pozbawione jest ono znaczenia – niepisane porozumienie w narodzie pozwala tej frazie w jakiś sposób wyrażać cokolwiek. Wszystko. Na przykład, jeśli karetka przybywa późno, a następnie przejeżdża pacjenta i ten umiera, moglibyście wykrzyknąć dramatycznie: „To jest Turcja!”.

Równie dobrze moglibyście roześmiać się i powiedzieć to samo, widząc na autostradzie kierowcę, który wystawia nogę przez okno, tym razem bez ofiar w ludziach. „To jest Turcja!”.

Ale na tym nie koniec! Jeśli całujecie się publicznie w Stambule, możecie być pewni, że zostaniecie ostrzeżeni – ktoś szturchnie was w ramię i krzyknie: „Hola! To jest Turcja! Żadnych tu takich!”. Warto wiedzieć, że w tym kraju bardziej wypada wdać się w bójkę niż całować na ulicy.

Zdanie, które otwiera fraza „To jest...”, to zmyślna konstrukcja: sugeruje bowiem, że opisywana sytuacja musi wywołać szok, a zarazem automatycznie go niweluje. Obwieszcza, że oto mamy do czynienia z pewnym – specyficznym – zdarzeniem, i jednocześnie wyjaśnia, że brak wpływu na okoliczności tego zdarzenia wynika ze swoistego fatum. Mówi o melancholii związanej z traktowaniem długotrwałego obłądu, jakim jest Turcja, jako coś naturalnego, o przyzwyczajaniu się do szaleństwa czy – bardziej precyzyjnie – o rezygnacji w obliczu tego szaleństwa. To zdanie stanowi istotę tragikomicznej natury kraju, w którym każdy przekaz ma co najmniej dwa znaczenia. To jest Turcja!

Wszystko pięknie, ale czym jest „to” miejsce?

Być może to nawet nie jest miejsce. Zgodnie bowiem z definicją powtarzaną od założenia państwa „to” jest mostem. „Pomiędzy Wschodem i Zachodem”, a także między „Azją i Europą” czy „Orientem i Okcydentem”. Owo „pomiędzy” wywołuje poczucie niezdecydowania u niemal każdego, kto stąd pochodzi. Bo skoro tak, to z której strony mostu najlepiej opisywać sam most? Zdaniem Republiki założonej w 1923 roku odpowiedź jest oczywista...

Od założenia Republiki każde pokolenie studiowało w szkolnych ławkach tę samą mapę. Według niej Turcja była największym krajem na świecie i co oczywiste, znajdowała się w samym jego centrum. Stała niczym kolos pośrodku uroczystych haseł ojca założyciela, Atatürka: „Turku, bądź dumny, pracuj i ufaj”; oraz: „Szczęśliwym jest człowiek, który może zwać się Turkiem!”. Różnobarwna Europa unosiła się w górze. W obrębie widmowych krajów leżały miasta o urokliwych nazwach i rzeki o błękitnych wodach. Tam według naszych przodków znajdowało się Eldorado, wzór do naśladowania. W dole był Wschód, zawsze szarozielony. Podobnie jak ZSRR, przypominał pustynię lub coś pokrewnego, chropawą, mglistą pustkę. W tej inkarnacji mapa mówiła: „Nie patrz ani w dół, ani na prawo, patrz w górę. Nad tobą jest życie: barwne i pełne świeżości. Poniżej nie ma nic prócz »brudnych Arabów« i wielbłądów. Nie warto się tym interesować. Wyjdź z domu i biegnij na Zachód tak szybko, jak cię nogi poniosą”.

Twórcy mapy uznali, że kraj łączący Azję i Europę, jego rząd i urodzone w nim dzieci należy definiować poprzez zachodnią stronę mostu. Republika prezentowała tę „pośrednią egzystencję” jako tożsamość, z której można być niepodważalnie dumnym, dumnym tak bardzo, że można by

pomyśleć, iż tylko my powstrzymujemy Wschód i Zachód – cały świat! – przed rozpadem. Niebiosom dzięki za Turcję! Nasz los to droga ku Zachodowi, wieczny stan przejściowy.

Ludzie na moście mieli jednak dwa poważne problemy związane z własną tożsamością i definicją tego miejsca. Przede wszystkim nieważne, jak uparcie płynęli na Zachód, wschodnia strona mostu zawsze ciągnęła ich do tyłu. Nie była to ich jedyna zgryzota: zgodnie z rozkazami ojca założyciela musieli dorównać ludziom Zachodu. W tym celu realizowali więc określony plan, by następnie ów status przekroczyć. W sławnej przemowie z okazji dziesięciolecia Republiki Atatürk nakazał Turkom „wznieść się ponad poziom cywilizacji zdobywców”^{*}. To zadanie obarczyło ludzi jeszcze większym ciężarem. Wiedzieli, że są „poniżej”, a zarazem zuchwale pragnęli dorównać „górze”. Tym, co ściągało ich w dół, było poczucie nieważności, siła oddziaływania „wschodniej duszy” – duszy trawionej przez pustkę, u której źródeł znalazły się dwie wielkie siły: świadomość bycia nikim i pragnienie wspaniałości. Było tak, jakby na Turcję spadła klątwa, niepozwalająca znaleźć lustra, które ukazałoby jej prawdziwe oblicze, bez wyolbrzymiania i pomniejszania.

^{*} Chodzi o mowę z 29 października 1933 roku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza i redaktorki).

I jakby tego było mało, kolejny dualizm wpleciony w los tej krainy dezorientuje mieszkańców mostu. Na malutkim skrawku ziemi, pozostałym po utracie całego imperium, nawet ci, którzy głęboko doświadczyli tragedii wojny, postrzegali proklamację Turcji jako „wielkie zwycięstwo”. Osmanowie i tak byli tylko ciężarem! Młoda Turcja jawiła się jako strefa zero, nowy rozdział. Dla ludzi, którym wojna odebrała wszystko, taka motywacja była naturalną koniecznością, ale reset historii kosztował. „Przedtem” zostało obalone. Byliśmy wnukami kolosalnego, nagle pozabawionego jakiegokolwiek wartości imperium. Oficjalna historia unieważniła jego erę, lecz każde z nas nadal musiało uczyć się o wszystkich sułtanach i czasach ich panowania. Rok 1923 był kamieniem milowym, co do którego mieliśmy mieszane uczucia. „Przedtem” budziło w nas zarazem niesmak i dumę, naśladowaliśmy jego potęgę, gardząc nią jednocześnie. Mieszkańcy mostu dorastali w pewnego rodzaju rozdwojeniu jaźni typowym dla dzieci, które są naocznymi świadkami historii, a potem muszą nauczyć się na pamięć zupełnie innej wersji wydarzeń. Ludzie tak bardzo przyzwyczaili się do sytuacji, w której rzecz może być swoim przeciwieństwem, że nikt nigdy nie dziwiło odczytywanie jednego znaku na co najmniej dwa sposoby. To dlatego naród turecki podwójne znaczenie zdania „To jest Turcja!” bierze za naturalne: ludzie są przyzwyczajeni do przeżywania jednocześnie szoku i obojętności, do śmiechu przez łzy, a także do tego, że jeśli protestują przeciwko danej sytuacji, automatycznie muszą się do niej dostosować. Nie widzą nic dziwnego w tym, że życie wymusza na nich tak skomplikowane zabiegi psychologiczne.

I tak mijały lata i dekady, do historii przechodziły rządy i pucze, masakry i piłkarskie sukcesy, gorące i zimne wojny, zamieszki i represje, rzeczy wymarzone i marzenia zniszczone z miłości do narodu, a przede wszystkim – trumny, trumny, trumny. Za każdą trumną flaga na maszcie. Koran, flaga Turcji i chleb są w tych stronach święte. Od pokoleń panuje zwyczaj mówiący, że gdy którakolwiek z tych rzeczy spadnie na ziemię, należy ją podnieść, trzykrotnie pocałować i umieścić na wysokiej półce. Żołnierze, partyzanci, bojownicy, dziennikarze, pisarze, poeci, robotnicy, studenci i dzieci – kiedy ginęli, po każdym z nich krzyczano: „Wcale nie został zabity!”.

To miejsce woli gniew od żałoby. Tempo odprawiania pogrzebów w Turcji może zaskoczyć człowieka Zachodu, ale naprawdę nie powinno – „to jest Turcja” i jej ludzie mostu, nastawieni

na przetrwanie, są uczeni od dziecka, że żałoba jest stratą czasu.

Chociaż tych, którzy chcieli równości, sprawiedliwości i wolności dla narodu, za każdym razem tępił albo wojskowy reżim, albo paramilitarne formacje prawicowych rządów, każdej nocy zastawiano stoły, przy których ludzie rozmawiali o sposobach ratowania państwa z większą pasją, niż mówili o miłości. O kraj było więcej krzyku niż o miłość dwóch mężczyzn do jednej kobiety. Wylano więcej łez, niż roni porzucony kochanek. Radowano się mocniej niż z powrotu niewidzianej latami ukochanej osoby. Państwo zawsze brutalnie obchodziło się z tymi spośród swoich dzieci, które je najmocniej kochały. Tacy męczennicy zdobywali łaskawe uznanie dopiero po śmierci.

Czy tradycja osmańskich sułtanów, wydających własnych braci na śmierć, byle tylko zachować tron (co doprowadziło wręcz do legalizacji bratobójstwa), może mieć coś wspólnego z sytuacją, w której ojciec zmarłego na wojnie syna słyszy z ust premiera państwa: „Służba wojskowa nie jest od tego, żeby się wylegiwać, bracie”? Czy fakt, że fundamenty kraju położyły dzieci zabrane z rodzinnych stron, może być powiązany z kompleksem „państwa jako ojca”, objawiającego się karaniem Kurdów, Ormian i alewitów^{**}, jak gdyby podnieśli rękę na głowę rodziny? Roi się od przypuszczeń, ale jedno jest pewne: aż do ostatniej dekady Turcję nękały wciąż te same choroby. Przez minione dziesięciolecie natomiast jej historia pełna jest prób wyleczenia owych dolegliwości za pomocą innych, jeszcze bardziej skomplikowanych...

^{**} Alewizm – odłam szyizmu wykazujący także wpływy zaratusztriańskie, szamańskie i sufickie, wyznawany głównie w Turcji. Alewici są drugą po sunnitach wspólnotą religijną w kraju, stanowią około 25% ludności; wielu z nich jest etnicznie Kurdami.

Dzisiaj

„Ty jesteś Turcją, myśl ambitnie!”

Obok tego cytatu od kilku lat w całej Turcji wiszą niezliczone gigantyczne portrety Recepa Tayyipa Erdoğan, prawdopodobnie najbardziej zjawiskowej postaci, jaka zaszczyliła karty politycznej historii Republiki. Dokładnie tak samo wisiało przedtem oblicze Atatürka obok cytatu: „Turku, bądź dumny, pracuj i ufaj!”. Ale zdanie klucz „To jest Turcja” już nie wystarczy, teraz jest: „Wielka Turcja”. Za sprawą retoryki wykreowanej z pomocą swojego prawicowego, liberalno-inteligenckiego elektoratu przez AKP^{***} „to jest Nowa Turcja”, „zaawansowana demokracja”. Będąc u władzy od 2002 roku, partia utrzymuje polityczną i społeczną hegemonię, która jeszcze mocniej podkreśla jej „świętą misję”. Być w opozycji do partii oznacza sprzeciw wobec samej koncepcji wielkiej Turcji, a przez to – zagrożenie dla świętej misji. Oznacza to też bycie przeciwko Erdoğanowi, określanemu mianem *reis* – „wódz” – który właśnie próbuje^{****} wprowadzić system prezydencki ze swojego prezydenckiego fotela stojącego w zbudowanym przez siebie AKP-ałacu. Niektórzy przedstawiciele partii otwarcie głoszą, że Erdoğan jest „wybrańcem”, że dotknięcie prezydenta stanowi dopuszczalną formę adoracji. Istnieją wyborcy deklarujący, że są „włosami na jego dupie”^{*****}. Biorąc to wszystko pod uwagę, można dostrzec tu problem nie tylko polityczny, ale również społeczno-psychologiczny. Oparta na wartościach konserwatywnych i neoliberalnych retoryka AKP nie jest jakąś populistyczną abrakadabram, która zmąciła umysły „ciemnego ludu”. Od przejścia władzy aż do dziś spin doktorzy partii zbierali pochwały w najbardziej cenionych kręgach politycznych Zachodu. Podobnie reagowały amery-

kańskie i europejskie media głównego nurtu, chwając dojdzie AKP do władzy z hasłem: „Do Turcji wreszcie zawitała demokracja”. Ugrupowanie było nie tylko doskonałym mariażem umiarkowanego islamu i demokracji, ale też przekonującym wzorem dla arabskiego świata, z jego niekontrolowanym gniewem wobec Zachodu po zamachach z 11 września. Kiedy świeccy intelektualiści i pisarze tureccy ostrzegali, że taki „wzór” nie nadaje się dla świata islamu, ani w ogóle dla żadnego innego świata, spotkali się z szyderstwem nie tylko ze strony tureckich neo-liberałów, lecz także zachodnich intelektualistów. Obwołano ich wrogami demokracji, dążącymi do powrotu dyktatury wojska, którego ukrytą władzę nad rządem obaliła AKP. Również rozkwit krajowej gospodarki, spowodowany nagłym przyływem pieniędzy z niewiadomych źródeł, sprzyjał temu, by intelektualistów, sceptycznych wobec partii rządzącej, postrzegać i prezentować jako archaicznych socjalistów i relikty zimnej wojny. Przynależność do tej grupy w czasie pierwszej kadencji rządu AKP oznaczała trwałą banicję z szanowanych kręgów. Władza głosiła bowiem fantastyczne rzeczy: wypowiadała zdania, które od dłuższego czasu bezowocnie próbowały sformułować ruchy libertariańskie. Mówiła o niemuzułmanach, Kurdach i wolności jednostki. Potępiała wojskowy zamach stanu z 12 września 1980 roku. Utrzymywała, że armię należy oddzielić od polityki, i z całych sił promowała wartości demokratyczne. Zwracała uwagę na to, że Turcja jest mozaiką, na której koloryt składa się szerokie spektrum barw, i jawnie promowała kulturę współistnienia. Wszystko było tak wspaniałe, tak cudowne! Co więcej, most zwany Turcją zdefiniowano na nowo i – za pośrednictwem „inicjatywy bliskowschodniej” – zjednoczono duchowo Turków z krainami, od których odwrócono się u zarania Republiki. Narodowi, zmęczonemu ciągłym puszeniem się i nadymaniem, które miało zrekompensować poczucie niższości wobec Zachodu, AKP mówiła: „Wyluzujcie! Przecież nawet w obecnym stanie jesteśmy starszym bratem Środkowego Wschodu. I zobaczcie sami: Zachód już nas postrzega jako »modelowe państwo«!”.

*** Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (tur. *Adalet ve Kalkınma Partisi*, AKP) – turecka partia polityczna powstała w 2001 roku, o umiarkowanie konserwatywnej orientacji.

**** Referendum w sprawie zmian w ustroju Turcji polegających na zastąpieniu parlamentarnego modelu sprawowania władzy systemem prezydenckim. Głosowanie referendalne odbyło się 16 kwietnia 2017 roku. Za propozycjami zgłoszonymi przez prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğana i związane z nim ugrupowania polityczne według oficjalnych wyników opowiedziało się większość głosujących. Obserwatorzy referendum z ramienia Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie stwierdzili, że „referendum w Turcji w sprawie zmiany systemu rządów z parlamentarnego na prezydencki nie spełniało międzynarodowych standardów”.

***** Cytat z wypowiedzi uczestniczki wiecu AKP nagranej przez telewizję Beyaz, która stała się popularnym przedmiotem drwin w internecie.

AKP ucieleśniała idee konserwatywnych kapitalistów, którzy wyłonili się po zamachu stanu w 1980 roku, zyskali wpływy w całej Azji Mniejszej i w latach dziewięćdziesiątych stali się tak drapieżni, że nadano im przydomek „anatolijskich tygrysów”. Były prezydent Turcji Abdullah Gül, współzałożyciel AKP, nie bez przyczyny powiedział: „Jesteśmy WASP-ami***** tego kraju”. Jego ruch polityczny chciał zastąpić starszy, w znacznej mierze świecki kapitał i pracował nad tym przez ostatnie dwadzieścia lat. AKP reprezentowała klasę średnią nie tylko pod względem interesów ekonomicznych, lecz także stylu życia, światopoglądu, wyznawanych wartości i preferowanej estetyki. Młoda burżuazja, pragnąca zastąpić stare, laickie, faworyzowane dawniej mieszczaństwo, pod nowymi rządami uzyskała oficjalne poparcie, wreszcie zdobyła politycznych reprezentantów i ogłosiła „oddanie narodowym wartościom”. O tym, jakie to wartości,

miała zdecydować na nowo zdefiniowana przez Partię Sprawiedliwości kultura wiejska.

********* WASP (z ang. *White Anglo-Saxon Protestant*) – biali Anglosasi wyznania protestanckiego, od XVII wieku osiedlający się w Stanach Zjednoczonych. Jako twórcy brytyjskich kolonii stanowią trzon narodu amerykańskiego.

Tym, co ostatecznie przekonało turecką ludność do AKP, była obietnica, że nasze relacje z własną przeszłością zostaną wreszcie uporządkowane. Partia od początku głosiła, że jesteśmy dumnymi wnukami Osmanów i raz jeszcze przyjmujemy naszą dawną, majestatyczną, budzącą postrach formę. Jednocześnie należało wymyślić nową wersję Imperium Osmańskiego, która byłaby akceptowana przez konserwatywną większość społeczeństwa. W tym celu nawet sam premier potrafił przerwać swoje obowiązki, by powiedzieć, wygłaszać komentarze na temat postaci kobiecych w serialu telewizyjnym *Wspaniałe stulecie* (mającym dużą oglądalność również na Bałkanach i w krajach arabskich): bohaterki powinny ubierać się skromniej, padyszachowie zaś za często się nimi zajmują, zamiast ćwiczyć się w sztuce jazdy konno. Następny odcinek, nagrany już po wypowiedzi premiera, przedstawiał kobiety skupione na modlitwie i Sulejmana Wspaniałego bez ceregieli wskakującego na siodło. W ten sposób serial pokazywał nam, jak ma wyglądać zbudowane od nowa Imperium. To tylko mały przykład wpływania na kulturę, ale premier, w swojej ambicji uczynienia jej bardziej konserwatywną przy pomocy sztuki, naturalnie na tym nie poprzestał. I tak: kazał zburzyć ogromną, widoczną z Armenii statuetkę pokoju *********, ponieważ mu się nie podobała, kontrolował także państwowy teatr, balet i operę. Jako przykładowy ojciec odnowiciel dzielił gust muzyczny z ludem. Na wiecach zmuszał tłum do powtarzania w formie przysięgi słów klasycznej tureckiej piosenki *Berber yürüdük biz bu yollarda*:

********* Chodzi o pomnik Pokoju i Człowieczeństwa symbolizujący przyjaźń ormiańsko-turecką wzniesiony w 2009 roku w mieście Kars. W uzasadnieniu swojej decyzji premier Erdoğan nazwał statuetkę „fanaberią”.

Szliśmy tą ścieżką razem
Razem zmokliśmy w ulewnym deszczu
Teraz wszystko we wszystkich piosenkach
Przypomina mi o tobie.

Byliśmy świadkami, jak z biegiem lat miłosna piosenka zmienia się w marsz świętej misji AKP.

Niekiedy to krewni premiera zajmowali się sprawami kultury, na które on nie znalazł czasu. Gdy jego córka została wyszydzona przez pewnego aktora za żucie gumy podczas spektaklu (taką możliwość interakcji z publicznością przewidywał scenariusz), artysta stał się obiektem śledztwa i karnie obcięto mu pensję.

Ani Zachód, ani większość tureckiej inteligencji nie zwracały uwagi na formułowaną w tym czasie krytykę. Tak, armię oddzielono wreszcie od polityki, tyle że dokonano tego poprzez wielkie procesy polityczne naruszające prawo. Co więcej, w każdym procesie skazywano dodatkowo kilku dziennikarzy i polityków za przynależność do tajnych stowarzyszeń planujących przewrót, których istnienia nigdy nie udowodniono. Niektórzy intelektualiści otwarcie przekonali, że łamanie prawa stanowi relatywnie niską cenę w zamian za odseparowanie wojska od polityki.

AKP nazywała socjaldemokratów „poplecznikami partii rządzącej”, konserwatystów niezrzeszonych w ich partii – „zacofanymi”, a socjalistów – „anarchistami”. Było zupełnie jak po prze-

wrocie z roku 1980: AKP ogłosiła się jedynym prawdziwym ruchem demokratycznym w kraju. Ci, którzy wówczas kibicowali partii, wkrótce znów mieli zobaczyć, jak władza pozaprawnymi środkami bierze za pysk związki zawodowe, stowarzyszenia, partie polityczne... Jako ruch polityczny i społeczny, ucieleśniony w osobie Erdoğan, AKP składała dalsze słodkie obietnice. „Zainicjowano” i zniszczono polityczne tabu. Przedstawiciele ignorowanych od wielu lat mniejszości narodowych zaczęto podejmować przy stole śniadaniowym w pałacu Dolmabahçe, Erdoğan doprowadził do oficjalnego uznawania ich za pełnoprawnych partnerów politycznych. Ten gest pozornego uświadomienia demokratycznego nie uwzględniał jednak dysydentów. Rządowe „inicjatywy” – kurdyjska, romska, alewicka – powstawały we współpracy z faworyzowanymi alewitami, wybranymi Kurdami i Romami popierającymi AKP. Ci, których nowa władza uznała za swoich, dostali zaproszenie na śniadanie, a pozostali czekali, aż – prędzej czy później – przycepi się im łątkę terrorystów.

Owszem, ruszyła inicjatywa kurdyjska, rząd przygotowywał się do negocjacji z PKK^{*****}, ale jednocześnie uciszał prasę, by uniknąć tłumaczenia się z incydentu, w którym na granicy z Irakiem grupę Kurdów wzięto za terrorystów i zastrzelono. Dziennikarze tacy jak ja, którzy nie przestawali pisać o tej sprawie, tracili pracę po jednym telefonie do ich przełożonych. W tym samym czasie trwały „pokojowe rozmowy” między PKK a Turcją. Fakt ten ukrywano przed opinią publiczną i mediami. Słowo premiera Erdoğan przeciw wystarczyło, a zresztą – tak się teraz załatwiało sprawy. Prawa pracownicze, prawa dziecka, prawa kobiet, wolność osobista... Premier mówiący z ręką na sercu „Obiecuję!” gwarantował wszystko. Entuzjazm, z jakim wielu opozycjonistów z kręgu inteligencji przyjmowało słowa rzekomego ojca odnowiciela, był trudny do zniesienia. W tym wszystkim najbardziej gorzkim momentem było oczyszczenie z zarzutów urzędników państwowych oskarżonych o krycie podejrzanych o zabójstwo ormiańskiego dziennikarza Hrant Dinka^{*****}. Część ormiańskich intelektualistów przyjęła tę decyzję z budzącym zaskoczenie zrozumieniem.

^{*****} Partia Pracujących Kurdystanu (kurd. *Partiya Karkerên Kurdistan*), w latach 2002–2005 jako KADEK i KONGRA-GEL – założona 27 listopada 1978 roku organizacja niepodległościowa o lewicowym charakterze, której celem jest ustanowienie państwa na terenach zamieszkałych przez Kurdów.

^{*****} Hrant Dink (orm. Հրանտ Ժնյւղ, ur. 15 września 1954 roku w Malatyi, zm. 19 stycznia 2007 roku w Stambule) – dziennikarz i publicysta, turecki Ormianin, założyciel i wydawca tygodnika „Agos” publikowanego po turecku i po ormiańsku. W 2006 roku uhonorowany nagrodą międzynarodowego PEN Clubu „Oxfam Novib/PEN Award for Freedom of Expression”. Pisał na temat ludobójstwa Ormian, a za swoje poglądy był sądzony i został skazany na mocy artykułu 301 tureckiego kodeksu karnego za obrazę tureckiej tożsamości narodowej. Wielokrotnie otrzymywał pogróżki ze strony tureckich nacjonalistów. Został zastrzelony przed siedzibą swojej gazety przez siedemnastoletniego tureckiego nacjonalistę Oguna Samasta.

Tak czy inaczej, dotychczasowe mechanizmy polityczne traciły na znaczeniu, podczas gdy „mowy balkonowe” wygłaszane przez Erdoğan w siedzibie AKP na nim zyskiwały i wkrótce stały się pełnoprawnym elementem sprawowania władzy. Nawet ci, którzy wyczuwali groźbę płynącą z ostatnich wydarzeń, znajdowali ukojenie w słodkich jak miód słowach premiera. Doszło do tego, że jego deklarację: „Ci, którzy na nas nie głosują, także są częścią naszego narodu”, wygłoszoną w niesławnej mowie podczas zainaugurowania drugiej kadencji rządów AKP, wzięto za oznakę zaawansowanej demokracji, a słowa o przebaczeniu i tolerancji wobec opozycjonistów przyjęto brawami. Za mój ówczesny artykuł zatytułowany „Zredukowano nas do roli przystawki do kraju” zbierałam listy z pogróżkami i pełne szyderstwa oskarżenia o paranoję, które wspominam dziś z gorzkim uśmiechem.

Od 2002 roku do mniej więcej lat 2008–2009 zarówno zwolennicy partii na arenie międzynarodowej, jak i przychylni jej intelektualiści w Turcji nie chcieli pojąć, że nie tylko konserwatywano państwo, lecz także przez stopniowe zaostrzanie praw antyterrorystycznych zamierzano stworzyć posłuszne społeczeństwo. Zmieniając zapisy w konstytucji, AKP zyskała też kontrolę nad wdrażaniem prawa, burząc tym samym wszelkie polityczne i sądowe mechanizmy stabilizujące. Nie wspominając o tym, że niektóre swobody stały się niedostępne dla obywateli, choć wciąż były dozwolone prawnie. Przyczyny należy szukać w zjawisku zwanym „presją społeczną”, które pozwoliło konserwatywnym wartościom stopniowo ograniczać świecki tryb życia w sposób równie odczuwalny, co niemożliwy do udowodnienia. Nie, nikt nie nakazał dziewczętom w Anatolii zakrywać głów, ale promowano takie zachowanie i przedstawiano je jako wzór postępowania, a te, które się nie dostosowały, traktowano tak, jakby chodziły nago. AKP wywierała nacisk nie tylko na życie codzienne, ale też gospodarcze, i przedsiębiorcy, którzy nie wyrazili poparcia dla partii, byli wysyłani na zieloną trawkę. Sprawy doszły do Trybunału Konstytucyjnego, ale jego członkowie mieli związane ręce w zakresie kontroli wykonywania wyroków – zmiany w konstytucji umożliwiły oskarżanie ich o „uprzedzenia polityczne” za każdym razem, gdy orzekali wbrew interesom rządu. Naród wkroczył na drogę błyskawicznej dubaizacji – w każdym znaczeniu tego słowa. Gdybym miała krótko podsumować obecną sytuację Turcji, to mimo jej wyraźnych braków byłaby to właśnie dubaizacja! W tej książce będziecie mogli przeczytać, co to dokładnie znaczy.

Lecz w 2013 roku, gdy media głównego nurtu nie mogły znaleźć słów na opisanie zapoczątkowanego w parku Taksim Gezi ^{*****} szaleństwa, które rozlało się falą protestów na cały kraj, było to efektem skrajnie błędnej interpretacji samego początku historii. By zrozumieć Turcję, która stanęła za protestującymi w Gezi, trzeba cofnąć się i zacząć od nowa opowieść snutą od jedenastu lat, tym razem uwzględniając w narracji wszystkie fakty. Niektóre międzynarodowe media upierały się, nie czując się na siłach dociekać przyczyn, że zamieszki to „starcie zlaicyzowanej mniejszości z konserwatywną większością”, mimo że do protestów przyłączyły się dziesiątki organizacji islamskich i konserwatywnych. Dziennikarze ci nie dostrzegli, że była to ostatnia szansa, aby ktoś usłyszał głos ignorowanych do tej pory i prześladowanych stronnictw. W oczach premiera i zwolenników AKP za protestami kryły się „zewewnętrzne siły, zdrajcy, ci, którzy chcieliby stanąć na drodze tureckiego postępu”. Im dłużej Erdoğan mówił, tym bardziej jego przemowy przypominały retoryką mowy generałów odpowiedzialnych za zamach stanu, a więc tych, którym głośno się przeciwstawiał, aby dojść do władzy. Tymczasem system medialny stworzony przez AKP coraz częściej brał na cel dziennikarzy piszących o protestach, a także pisarzy, artystów i przedsiębiorców, którzy je wspierali. W gazetach owi „prowokatorzy” mogli znaleźć nie tylko pomówienia na swój temat i „odezwy do prokuratorów”, pisane przez propartyjnych publicystów, którzy domagali się natychmiastowego postawienia tych ludzi w stan oskarżenia, lecz także całe stronicie zapełnione swoimi fotograficznymi portretami.

^{*****} Chodzi o serię protestów i zamieszek, które rozpoczęły się 28 maja 2013 roku na placu Taksim w Stambule. Bezpośrednią przyczyną wybuchu buntu była planowana budowa centrum handlowego w miejscu parku Gezi.

Po stłumieniu zamieszek w parku Gezi Recep Tayyip Erdoğan został wybrany na prezydenta. Zgodnie z turecką konstytucją urząd prezydenta powinna cechować bezstronność, tymczasem Erdoğan wygrał, mimo że zadeklarował otwarcie, iż zasady tej nie będzie respektował. Od tamtej pory mieszka w cyklopowym pałacu o tysiącu stu pokojach, wzniesionym w Ankarze na terenie wykarczowanej w tym celu farmy leśnej Atatürk Orman Çiftliği, symbolu Republiki. W wyniku

demonstracji w parku Gezi nie wyłoniła się żadna spójna organizacja polityczna, a na poziomie parlamentarnym brak formacji, która miałaby realną szansę przeciwstawić się AKP i zaprezentować sensowną alternatywę. Wszyscy, od najbogatszych do najbiedniejszych, wiedzą, że ich los zależy od tego, co wyjdzie z ust Wodza, podczas gdy on pozuje na schodach swojego pałacu w otoczeniu manekinów przedstawiających szesnastu poprzednich przywódców Turcji. Choć większość Turków potraktowała w mediach społecznościowych to zdjęcie jako fotomontaż, musimy dzień po dniu przypominać sobie, że to, co przeżywamy, to nie żart, lecz rzeczywistość. Rzecznicy AKP bezustannie przypominają nam, że niezadowoleni ze stanu rzeczy powinni albo wyjechać, albo się dostosować. W dzisiejszych realiach rzucone społeczeństwu pytanie o przyszłość napotka ludzi albo zbyt zblazowanych, by odpowiedzieć, albo zbyt rozczłuszczonych, by mówić. Lecz i AKP, i prezydent mają bardzo jasną ripostę. Wszystkie partyjne slogany mówią to samo: „Cel 2023!”.

Jutro

„Cóż się stanie z tą naszą krainą!”.

Cudzoziemcy prawdopodobnie uznają wykrzyknik w tym zdaniu za osobliwy, ale w Turcji to nie jest pytanie. Choć pozornie nim jest, zazwyczaj intonuje się je jako pełen niepokoju okrzyk. To zdanie stanowi wyraz głębokiej frustracji. Mimo że przetłumaczalne, jest po prostu zbyt tureckie, by przenieść je w pełni do innego języka. „Cóż się stanie z tą naszą krainą!” oznacza, że jest źle, a będzie jeszcze gorzej. To zdanie, które siedzi z głową w dłoniach i rozczula się nad sobą, zdesperowane, zrozpaczone, błaga rozmówcę o jakieś remedium na zatrważający bieg wydarzeń. Pyta: „Czy jest jeszcze jakaś nadzieja?”, i czasem nawet brnie tak daleko, że stwierdza: „Wygląda na to, że nic więcej nie da się zrobić”. O ile zdanie rządu na temat przyszłości – „Cel 2023!” – jest jasne i pełne ambicji, aktualne hasło mas brzmi: „Cóż się stanie z tą naszą krainą!”.

Ludzie mówią tak, ponieważ nie widzą przyszłości Turcji z tej samej perspektywy co władza, czyli przez okna nowo wybudowanych wieżowców i galerii handlowych. Zamiast tego są świadkami wzrostu liczby morderstw popełnianych na kobietach o tysiąc czterysta procent w przeciągu siedmiu lat, co oznacza, że kraj praktycznie wypowiedział kobietom wojnę. Przez ostatnie osiem lat rządów AKP raniono śmiertelnie policyjnymi kulami sto osiemdziesiąt trzy osoby. Większość z nich to młodzi ludzie, niektórzy byli jeszcze dziećmi. Policjanci pozostają bezkarni. Setki ludzi aresztowano z przyczyn politycznych. Skazano ich dzięki fałszywym dowodom w trakcie rozpraw odbywających się wewnątrz (!) przypominających obozy koncentracyjne więzień. Proreżimowe tłumy popierają „prawo karne dla wrogów”^{*****} wymierzone przez władze w dysydentów; wierzą, że kto działa przeciwko policji, musi zginąć, nawet jeśli jest dzieckiem. Społeczeństwo stało się armią potulnych biedaków struchlałych w obliczu władzy, którzy za uczciwe i słuszne uważają, aby jeden człowiek sprawował absolutną władzę bez żadnego nadzoru, a do tego mieszkał w olbrzymim pałacu. Rząd jawnie chroni doradcę premiera, gdy ten kopie górników protestujących przeciwko łamaniu ich praw po katastrofie, w której zginęło 301 pracowników kopalni^{*****}. Rząd chroni ministrów, których malwersacje zostały ujawnione przez policję^{*****}. Setki dziennikarzy zwolniono po jednym telefonie do ich przełożonych, bo ośmielili się napisać o którejś ze wspomnianych spraw lub na przykład o tym, że przez granicę z Syrią wpuszczano do kraju radykalnych bojowników islamskich. Przedstawiciele opozycji trafili do szpitala pobici przez członków partii rządzącej w Wielkim Zgromadze-

niu Narodowym – zostali sfotografowani przez owych członków partii i wystawieni na pośmiewisko w mediach społecznościowych. Organizacje pracownicze, samorządy zawodowe i uniwersytety całkowicie zdemolowano w procesach politycznych, następnie zrekonstruowano bez oparcia o jakiegokolwiek zasady i całkowicie podporządkowano rządowi. Dzieci, bezbronni w obliczu coraz bardziej radykalnego i totalitarnego systemu kształcenia, są zmuszone do uczęszczania na obowiązkowe lekcje religii i języka osmańskiego...

***** Konstrukt prawny sformułowany w roku 1985 przez profesora Günthera Jakobsa. Jego podstawą jest zasada, w myśl której niektórzy ludzie, na przykład wrogowie publiczni, nie zasługują na ochronę prawną.

***** Mowa o katastrofie górniczej w mieście Soma 13 maja 2014 roku i antyrządowych protestach, które wybuchły dzień później. Jak donosi „The Guardian” (wydanie z 19 maja 2014 roku), doradca Recepty Tayyipa Erdoğan, Yusuf Yerkel, został sfotografowany, gdy kopał jednego z protestujących.

***** Chodzi o skandal korupcyjny w 2013 roku, w którym postawiono oskarżenia czternastu osobom, w tym krewnym ówczesnych ministrów. AKP odpowiedziała na śledztwo w tej sprawie czystkami w policji i prokuraturze. Jednocześnie premier Erdoğan zmienił skład rządu, lecz sam odmówił ustąpienia.

Do tego narastające poczucie bycia na skraju obłędu, kiedy słucha się zapewnień setek działaczy partyjnych, tych gadających głów wytapetowanych na ekranach naszych telewizorów i komputerów, że wszystko to tworzy obraz „wielkiej Turcji” i „zaawansowanej demokracji”.

Oto kluczowy fakt, którego nie poznacie ze statystyk i politycznych analiz międzynarodowych ekspertów. W ciągu ostatnich pięciu lat najczęściej wypowiedzianymi słowami w prywatnych rozmowach prowadzonych w tureckich domach są:

„Nie ogarniam tego wszystkiego, co się dzieje, nie chcę o tym słuchać”.

„Ten kraj naprawdę oszalał. Kompletnie mu odbiło”.

„Nie oglądam już wiadomości, bo tego jest po prostu za dużo”.

„To wszystko jest takie dziwne, że wydaje mi się, jakby działo się w innym kraju”.

„Czy to się dzieje naprawdę, czy tkwimy w jakimś zbiorowym koszmarze?”.

„Jest tak, jakby cała Turcja była w ukrytej kamerze”.

To efekt przyparcia społeczeństwa do muru. Reprezentacje różnych partii politycznych są „wygaszane” i dzieje się to zgodnie z literą prawa, partia rządząca podporządkowała sobie całą władzę sądowniczą, nastąpiło całkowite uciszenie prasy i, na mocy prawa antyterrorystycznego, „delegalizacja” ulicy. Jednocześnie codziennie wciska się nam przez ekrany telewizorów informacje o tym, jak dobrze państwo jest rządzone. Jesteśmy niczym dzieci, które każdego dnia dostają lanie, a potem mówi się im, że to się nigdy nie wydarzyło. Stanem, który odczuwamy najgłębiej, jest wrażenie, że doprowadzają nas do obłędu. Jeśli celem rządu naprawdę jest rok 2023, to władze kraju chcą do tego czasu wymienić wszystkich ludzi na swoich.

Ostatnimi czasy najpowszechniej publikowanym cytatem w mediach społecznościowych są dawne słowa pisarki Tezer Özlü: „Ten kraj nie należy do nas, lecz do tych, którzy chcieliby nas zabić”.

Gdyby powiedzieć europejskim czytelnikom, że Turcja zmierza ku faszyzmowi, mogliby pomyśleć, w oparciu o własne doświadczenia historyczne, że mają do czynienia z kimś w rodzaju nastolatki krzyczącej: „To faszyzm!”, gdy każe jej się posprzątać pokój. I jest, w rzeczy samej, kwestią dyskusyjną, czy kierunek zmian w Turcji można nazwać faszyzmem. Ale prawda jest taka, że dziś nawet zwykli ludzie wklejają na swoich facebookowych profilach słynny wiersz pastora Martina Niemöllera *Kiedy przyjdą po mnie* ^{*****}. I tak właśnie myślą ludzie – co będzie, kiedy przyjdą po mnie. Choć powodów tego przeświadczenia być może nie odnotuje nigdy

oficjalna wersja historii, nawet najbardziej neutralni politycznie sklepikarze w Turcji są przekonani, że rząd podsłuchuje ich rozmowy telefoniczne.

***** W rzeczywistości jest to tekst zaczynający się od słów: „Als die Nazis die Kommunisten holten, habe ich geschwiegen”. Martin Niemöller od 1946 roku wplatał ten tekst do wielu swoich przemówień, w wyniku czego nie ma pewności co do oryginalnego brzmienia tekstu, dodatkowy zamęt wprowadzają źródła cytujące ludzi przytaczających wypowiedzi Niemöllera.

Kto zatem zdecyduje o przyszłości państwa? Rzesze ludzi patrzące na Turcję przez pryzmat „celu 2023” czy ci, których codziennie budzi uczucie, jakby się dusili i tracili zmysły? Ci ostatni zbuntowali się latem 2013 roku. Zaczęło się od tego, że na placu Taksim w centrum Stambułu wykorzeniono drzewa pod budowę autostrady. Z wyjątkiem dwóch miast cały kraj tygodniami protestował na ulicach w imieniu drugiej połowy społeczeństwa, jego poczucia zagrożenia i popadania w obłęd. Protestowano także przeciwko nieracjonalnym, błędnym, bezprawnym i pozbawionym skrupułów metodom władzy. Dokładnie tak jak wcześniej tłumy na placu Tahrir i w Madrycie, protestujący śmiali się głośno, choć ryzykowali swoim życiem. Jedenaście osób zginęło, a ponad osiem tysięcy odniosło rany podczas zamieszek w parku Gezi. Nikomu z odpowiedzialnych za użycie przemocy wobec ludności nie postawiono zarzutów, za to sześć tysięcy protestujących stanęło przed sądem. Mimo to duch Gezi nadal nawiedza Turcję.

Do dziś nieusuwalne poczucie niezgody rządzi nie tylko Turcją, lecz także Egiptem, Hiszpanią, Grecją i wieloma innymi państwami na świecie. Odarty z pojęć i definicji w procesie przejścia od zimnej wojny do jednobiegunowego porządku świata niepokój społeczny coraz częściej koncentruje się na najbiedniejszych ulicach świata, przybierając formę czystej furii. Być może plac Tahrir, Gezi i Madryt staną się wkrótce początkiem nowej „niemej rewolucji”, która nie ma nic do powiedzenia – ani słowa, zdania czy żądania. Albo...

Albo Powtórzona Andaluzja! Nie ma innego wyjścia, jak powrót do słów i mądrości rzeszy ubogich, represjonowanych i skrzywdzonych, nie tylko w Turcji, lecz i we wszystkich pozostałych krajach. Dlatego wszelkie bunty, powyżej czy poniżej pępka Ziemi, muszą być zjednoczone. Wschód i Zachód należy przededefiniować w punkcie spotkania – takim, jakim była niegdyś Andaluzja *****.

***** Al-Andalus, czyli muzułmańska Hiszpania ze stolicą w Kordobie była miejscem, gdzie przenikały się kultury i idee arabskie, żydowskie, chrześcijańskie i antyczne. W okresie kalifatu kwitły tam handel, rzemiosło i nauka.

Jutro... Tam musi kryć się Eldorado, nieważne, w jakim języku wypowiadamy to słowo. Dziś jednak, gdy mówimy „jutro” po turecku, nasz głos nabiera złowieszczonego tonu, zupełnie jak wtedy, gdy wypowiadamy zdanie: „To jest Turcja”...

Wczoraj

„Geografia znaczy przeznaczenie”
Ibn Chaldun

„Nie jestem pewien, jak należy wyrazić punkt widzenia kompletnie przeciwny zachodniemu światu. Jest to w pewnym sensie irracjonalny – niezachodni – punkt widzenia. Taki, w którym objawia się cień niezamierzonego komizmu i który dla mnie jest raczej naiwny. Mam wrażenie, że jesteśmy dość dziecinny ludem z drastyczną inklinacją do interpretacji zdarzeń i rzeczywistości przez pryzmat cudu i mitu w taki sposób, że racjonalny mieszkaniec Zachodu zaśmiałyby się pod nosem, podczas gdy dla nas jest to śmiertelnie poważna sprawa”
Oğuz Atay, *Günlük*

Krótką uwagą, zanim zaczniemy: Mówiąc cudzoziemcowi o swojej budzącej troskę, pechowej, pełnej sprzeczności ojczyźnie, odczuwa się rodzaj motywowanej etnicznie niechęci. Tak być powinno: by uniknąć zdrady nie tylko wobec państwa, ale też wobec prawdy i jej spójności, by uniknąć obrazy. Czuję lęk, że to, co zamierzam ujawnić, odmaluje obraz Turcji jako jednej wielkiej patologii. A tak przecież nie jest. Ten osobliwy kraj ma swoistą strukturę. Choć opisuję jego podłoże, pragnę z góry potępić założenie, że cała Turcja jest zbudowana w ten sposób. Opisywanie domu „z zewnątrz” nie powinno być wyłącznym przywilejem tych, którzy nie są w środku.

„Wczoraj to wczoraj, dzisiaj to dzisiaj, a jutro to jutro!” – to zdanie, wypowiedziane po angielsku przez gościa z Turcji, oczywiście zaskoczyło publiczność zgromadzoną w Cornell University 7 października 2003 roku. Tęgi, łysy mężczyzna uśmiechał się promiennie z katedry, tłumacząc słowo w słowo aksjomat, który zwykł był powtarzać od lat po turecku. W końcu wygłoszenie tego „głębokiego” spostrzeżenia zapewniło mu najpierw dekadę zarządzania krajem w roli premiera, a potem prezydenturę. Zyskał także przydomek „Ojciec”, który utrzymać się miał do jego śmierci. Mężczyzną na katedrze był Süleyman Demirel, dziewiąty prezydent Turcji, święcie przekonany, że owa tautologia – jeszcze bardziej rażąca swoją nedorzecznnością, gdy ją wypowiedziano w auli Cornell University – wciąż doskonale oddawała związek Turcji z jej przeszłością. „Wczoraj to wczoraj, dzisiaj to dzisiaj!”.

W Turcji tego popularnego aforyzmu używają nie tylko politycy, ale też zwyczajni ludzie. Spytajcie dowolną osobę: „Jak możesz twierdzić to i to, skoro wczoraj mówiłaś coś odwrotnego?”, a odpowie tak samo radośnie i pewnie jak Demirel: „Wczoraj to wczoraj...”.

Lepiej nie szukajcie tu konsekwencji; nie powiedzcie się wam też, jeśli zechcecie zakwestionować czyjąś moralność. Cokolwiek powiedziano czy zrobiono wczoraj, jest już przeszłością. Wspomniane radość i pewność wynikają z wygody, jaką daje ten usankcjonowany punkt widzenia. Nikt nie może was osądzać na podstawie przeszłych uczynków, podobnie jak państwo nie może odpowiadać dzisiaj za to, co zrobiło wczoraj. Kto próbuje zadawać pytania o przeszłość, ten jest skazany na zapomnienie, jak wszystko inne, co należy do minionych czasów. Liczy się nie dzień wczorajszy, ważne jest tu i teraz, a jeszcze bardziej przyszłość. Ten aforyzm ma także zastosowanie w politycznej etyce. W pewnym sensie tureccy politycy są najbardziej uprzywilejowanymi politykami na świecie. Turcja jest bowiem jednym z tych wyjątkowych krajów, gdzie osobę drażącą przeszłość polityka obraża się i zbywa. Pytanie o rzeczy minione jest znakiem nieudolności, naiwności, zacofania, nieumiejętności poradzenia sobie z terażniejszością, psucia za-

bawy, za co ostatecznie wylatuje się z gry. Pytać o to, co było, oznacza skazywać się na porażkę na starcie. Nie dogoniliście teraźniejszości i nie jesteście na bieżąco. Lepiej przyjąć nową postawę dopasowaną do zmieniających się czasów. Lepiej zapomnieć. A jeszcze lepiej pamiętać to, co przy obowiązującej narracji politycznej uważa się za odpowiednie. Dlatego w Turcji przeszłość jest wiecznie zmieniającym się i przesuwającym punktem w oddali. Zwycięstwo w bitwie o Çanakkale^{*****}, gdzie jednym z dowódców był Mustafa Kemal Atatürk, jest boleśnie, ekstatycznie niedawne. Ale ten sam rok 1915 wydaje się całe eony temu... Korzenie tej powszechnej postawy moralnej sięgają głęboko w przeszłość, do praktyki zapominania, która zaczęła się pewnego dnia bardzo dawno temu. To dzięki niej tortury setek tysięcy ludzi podczas puczu w 1980 roku, niepojęte okrucieństwo względem Kurdów w więzieniu Diyarbakır albo – ledwie miesiąc temu – tragedia górnicza, która zabrała życie trzystu jeden ludzi, albo – dwa tygodnie temu – dziecko zabite policyjną kulą, albo – trzy dni temu – bezprawne wycięcie tysięcy drzew oliwnych, albo fakt, że ci, którzy jeszcze rok temu wzywali do pokoju z Kurdami, dziś nawołują do wojny, albo – tego ranka – gwałt i morderstwo na nastolatce – wszystko to można uznać za zdarzenia z zamierzchłej przeszłości. Tak dawne, że praktycznie prehistoryczne.

^{*****} Poza Turcją znana jako bitwa o Gallipoli, toczona w latach 1915–1916 pomiędzy Imperium Osmańskim a państwami ententy.

Źródła zapominania

„Co, one? Są praktycznie prehistoryczne...”

Jeśli zapytacie miejscowych o stare ormiańskie kościoły, które stoją opuszczone w centrach i na obrzeżach miast lub pośrodku pól i na wzgórzach Anatolii, z pewnością powiedzą wam:

– Co, one? Są praktycznie prehistoryczne.

– Jak to prehistoryczne? Minęło ledwie sto lat. Ormianie zostali przepędzeni i wymordowani w 1915 roku. Jak to prehistoryczne?!

Powiedzmy, że ośmieliliście się zaryzykować nienawiść, którą może wywołać wasza reakcja. Miejscowy obojętnie pokręci głową i pewnie powie:

– A, jasne, Ormianie. Poszli sobie.

– Dokąd poszli?

– To było dawno temu. Odeszli tamtym mostem.

– Ale dokąd poszli?

– Przez tamten most, o tam.

Nie macie po co pytać: „A potem dokąd?” – odpowiedź jest oczywista. Pewnego dnia, z nieznanых przyczyn, Ormianie spakowali się (lub nie spakowali) i setkami tysięcy wyruszyli ku „prehistorii”.

Na wzgórzach w Fethiye, mieście dobrze znanym turystom z Europy i Rosji, stoją puste kamienne domy. Bez framug w drzwiach i oknach, przypominają zwłoki z rozwartymi ustami i wylupionymi oczami. Duchy zastygłe w pół krzyku. Gdy spróbujecie prześledzić historię ruin Kayaköy, okaże się, że zaczyna się ona gdzieś przed naszą erą, a kończy w czasach „praktycznie prehistorycznych”. Prawosławni^{*****}, którzy tam mieszkali, pewnego dnia po prostu odeszli z nieznanых przyczyn. Od tamtej pory nikt nie mieszka w wiosce. Po prostu stoi sobie opuszczona jak obłożone kłatwą miasteczko na wzgórzach rodem z baśni. Zapytajcie miejscowych, a pokażą wam most, którym odeszli ci, którzy tu mieszkali. Opowiedzą historię, której brakujące ele-

menty nikną gdzieś, jeden po drugim, na drodze do „praktycznej prehistorii”.

***** Autorka używa tutaj słowa *Rûm*, czyli Rzymianie; była to nazwa używana w Imperium Osmańskim w stosunku do ludności prawosławnej, głównie Greków, ponieważ mniejszość ta ma korzenie w Cesarstwie Wschodniorzymskim.

Najstarsza łaźnia w Ankarze nazywa się Şengül Hammam. Pytając o drogę do niej, usłyszycie jedynie trudne do zapamiętania nowe nazwy starych ulic i alejek. Tylko jeśli będziecie uparci, zdradzą wam to, co zakorzenione w pamięci zbiorowej, i wskażą drogę do starej dzielnicy żydowskiej.

Nie ma już żydów w dzielnicy żydowskiej. Gdzie zatem są? A skoro o tym mowa, gdzie się podzieli chrześcijanie z Ankary? Pod ręką znajdzie się niewątpliwie jakiś most, który można wygodnie wskazać. Znalazł się dla Asyryjczyków z Mardin, znalazł się też dla Greków z Trabzonu i dla tysięcy alewickich Kurdów z prowincji Dersim. Od założenia państwa tureckiego mosty kierują wszelkie jego narracje w bezkresną pustkę, czarną dziurę o kształcie wszelkich „przedtem” i „wczoraj”. Jak na ironię, prawie wszystkie mosty są nazwane na cześć Republiki lub Ataturka...

Transformacja prawdy historycznej w nigdy niedokończone opowieści lub nawet, coraz częściej, w bajki oraz amnezja, pozwalająca politykom śmiać się i mówić, że „wczoraj to wczoraj, dzisiaj to dzisiaj”, mogłyby zostać uznane za oficjalnie obowiązującą retorykę. Można by wręcz twierdzić, że powstanie Republiki Turcji opiera się na zaniku pamięci. To prawda, Turcja polega na zapominaniu. Założyciele ogłosili jej początek rokiem zerowym, spychając tym samym przeszłość w czasy prehistorii. To znaczy, że ci, którzy „odeszli” (zostali wypędzeni, zgładzeni lub uciekli), przeszli przez most do pradziejów i nie wolno już o nich mówić. Ale to milczenie nie jest oficjalnym, narzuconym pod groźbą kary nakazem, raczej uzgodnionym zapominaniem, które stopniowo dotknęło każdego obywatela. Jak pisze eseistka Nurdan Gürbilek, która rozmyśla o „duszy” Turcji: „Turecki rozum albo pierwotna turecka dusza związane są równie mocno z dotkliwym pragnieniem zmiany, co z permanentną niemożnością osiągnięcia owego celu”.

W tym sensie czas jest dla naszego narodu jedynie czymś, po czym się depcze w drodze. Życie tutaj oznacza ciągły wysiłek, by jak najszybciej dotrzeć do przyszłości. Dla podróżujących w przyszłość ludzie wspominający przeszłość są jak rozklekotane gruchoty, które mijają się, sunąc ultranowoczesnymi wozami. Ci, którzy pamiętają, mają w sobie coś starego, bezużytecznego, zepsutego i upadającego. To pewnie dlatego matki, które od lat spotykają się co sobotę na Istikal Caddesi, nie są traktowane z czcią, jak ich odpowiedniczki z Argentyny, lecz bardziej jak „staroświeckie” widowisko. Nie mamy pojęcia, ile to już setek tygodni czekają, starzejąc się na naszych oczach i trzymając na kolanach zdjęcia swoich wiecznie młodych, zaginionych dzieci. Brak zainteresowania, ta ochocza bierność i obojętność to cechy wyuczone. Tak jak w 1915 roku nauczyliśmy się zapominać, w podobny sposób wyszkoliliśmy się w niechęci do wspominania i w hamowaniu ciekawości. Nie intrygują nas te kobiety, tak samo jak nie zastanawiamy się, dlaczego stare ormiańskie domy w środku Stambułu są opustoszałe – o ile w ogóle je dostrzegamy. Stojące na hiperturystycznej ulicy İstikal, przez którą przelewa się cały świat, Sobotnie Matki, których dzieci zniknęły w czasie niewyjaśnionych morderstw w latach dziewięćdziesiątych, wydają się jedynie pomnikiem hańby postawionym po to, by japońscy turyści mogli z namaszczeniem robić zdjęcia. Niezdolność do zauważenia, kiedy historia podrywa się, by nas kąsać, jest możliwa tylko dzięki wyćwiczonej ślepcie. Cykliczne ćwiczenia w zapominaniu, obojętności

i zaślepieniu, które Turcja powtarza od swoich początków, dały jej prawdziwe mistrzostwo w dziedzinie niepamięci. Pierwsza napotkana na ulicy osoba powie wam to samo: „Ten kraj ma pamięć jak złota rybka!”.

Co zaskakujące, tej wypowiedzi nie towarzyszy szeroki uśmiech znany z powtarzania, że „wczoraj to wczoraj”. Ale, jak wspomniałam na początku książki, odczuwanie dwóch różnych emocji w jednej sytuacji, odczytywanie dwóch sprzecznych informacji z jednego znaku to część tureckiego charakteru. Bo w końcu „to jest Turcja!”.

Jak nauczyć się obojętności?

Oto sposób.

Każde dorastające w Izmirze dziecko pamięta noce po otwarciu Międzynarodowych Targów Wielobranżowych. W założeniu handlowo-kulturalna impreza jest dla miejscowych po prostu tradycyjnym tygodniem wypełnionym atrakcjami. Ludzie całymi rodzinami walą do położonych w śródmiejskim parku pawilonów, gdzie przedstawiciele różnych krajów prezentują swoje wyroby. Dla dzieci największą atrakcją i tak pozostaje lunapark. Zabawa zaczyna się rano i trwa do późna, lecz w końcu nadchodzi pora, by iść do domu. Dzieci padają ze zmęczenia. Gdy są w wieku, kiedy nie można ich już nosić, marudzą: „Ale mam-o, jestem taka zmęczona!”.

Co ciekawe, wszyscy dorastający w Izmirze otrzymywali taką samą odpowiedź: „To przez przebiegające pod ziemią kable elektryczne – dlatego na Targach wszyscy tak się męczą”.

Dzieci słuchały tego całymi latami i za każdym razem były w sezonie targowym tak samo zmęczone. Kiedy dorosną, na pewno powiedzą swoim dzieciom to samo: „To przez przebiegające pod ziemią kable elektryczne...”. Aby zrozumieć, że napięcie nie pochodzi z kabli elektrycznych, że wyczerpują nas nie „prądy” pod Targami, a duchy czające się pod powierzchnią pamięci, musimy dojrzeć.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zastanawiać się nad pochodzeniem ogromnej pustej przestrzeni pośrodku Izmiru, w której odbywają się Międzynarodowe Targi Wielobranżowe. Nie zastanawiałam się nad tym nawet po napisaniu *Ağrın Derinliği*^{*****}, kiedy miałam świadomość, że turecka obojętność to stan uwarunkowany, wyuczony. A jednak każdy mały Turek pod świadomości uczy się, by nie zadawać pytań i nie zastanawiać się, dlaczego właściciele tych pięknych starych mieszkań odeszli, dlaczego parafianie wspaniałych kościołów w Anatolii nagle zniknęli – dlaczego tych, którzy tu kiedyś byli, już nie ma. Pomimo tej wiedzy Targi przez długie lata były dla mnie miejscem, które „męczy przez podziemne kable elektryczne”. Nigdy nie dziwiło mnie, że taka pusta połać leży w środku miasta. Nigdy mi nawet nie przyszło na myśl, że może trzeba by się nad tym głębiej zastanowić. Odruchowe reakcje, choćby nie wiem jak irracjonalne, są odporne na zmiany. Wyuczona niepamięć i obojętność nie są czymś, z czego się można ot tak wyleczyć, nawet gdy się tego chce. Wyobraźcie sobie więc, jak to jest, gdy się odkrywa, że ogromny pusty plac pośrodku Izmiru był kiedyś dzielnicą ormiańsko-grecką, którą do szczętnie spalono... Wyzbycie się wyszkolonej ślepoty okazuje się większym wyzwaniem, niż moglibyście się spodziewać.

^{*****} Chodzi o książkę z 2008 roku dotyczącą relacji turecko-ormiańskich; jej tytuł znaczy „Głębokość bólu”.

Kłamanie wyczerpuje. Z każdym powtórzeniem kłamstwo pogłębia się i rozrasta, staje się coraz bardziej złożone. Po pewnym czasie przewyższa rozmiarami prawdę, którą staraliście się ukryć. Jego korzenie, jak korzenie drzewa, coraz więcej siły czerpią z waszej duszy. Kłamstwo wycieńcza was i pożera. To samo robi ojczyzna, która od dnia swoich narodzin opowiada historię zwycięstw, ale nie porażek, świętowania, ale nie rzezi, odrodzenia w raju, lecz nie śmierci.

To pewnie dlatego osoby, do których się zwracamy – mieszkaniec wsi pytany o ormiański kościół, człowiek z miasteczka, który nie ma pojęcia, gdzie się podzieli ludzie z Kayaköy, osoba z Ankary udająca, że nie zna historii łaźni – mają ochotę natychmiast zmienić temat. Na przykład człowiek ze wsi zdradzi, że od Ormian nauczył się gotowania, tkania i murarstwa. Izmirczyk wzniesie toast za starych przyjaciół kieliszkiem raki zwróconym ku światłom widocznym na greckich wyspach. Mieszkaniec Ankary przypomni sobie, co żydzi robili w poniedziałki i jak im zazdrościł ich świąt. Nigdy nie było po nich żałoby, ponieważ rzekomo o nich zapomniano. A ci, co zostali, mają własne koleje losu. Każda rodzina opowiada o podróży, która zaczyna się hen, daleko stąd. „Moja rodzina przybyła z miejsca hen, daleko stąd...” – to pierwsze zdanie niezliczonych historii rodzinnych w Turcji. Wiele po drodze stracono i wiele trudów musiano przejść, nim osiedlono się tutaj. Takie są krwawe i smutne dzieje, ukrywające się pod wyświechtanym powiedzeniem, że Anatolia jest „mostem między lądami”. Teraz nawet ci, którzy tu zostali, czują tak wielki niepokój, jakby wciąż go przekraczali.

Jeden z argumentów używanych do usprawiedliwiania tureckiej amnezji, która obejmuje nie tylko przeszłość, lecz także wpływa na teraźniejszość, brzmi następująco: „W kraju dzieje się teraz tak dużo, że nie sposób za wszystkim nadążyć”. To prawda, dzieje się dużo. Agenda Turcji na jeden dzień potrafi być tak wypełniona, że państwu europejskiemu starczyłaby na rok. Biorąc pod uwagę stan planów społeczno-politycznych, jesteśmy jak statyści w filmie z Jackie Chanem: otrzymujemy policzki i kopniaki tak szybko, że nie jesteśmy w stanie ich policzyć. Ledwie mamy szansę przyjąć cios, a już dostajemy kolejny. Częściowo wynika to jednak z tego, że nigdy nie mogliśmy, nie spróbowaliśmy nawet zatrzymać filmu i odnotować, jak wyglądało pierwsze uderzenie.

Wymazanie wydarzeń roku 1915 z oficjalnej historii Turcji zapoczątkowało praktykę zapomnienia. Reszta jest długą, nieprzerwaną pętlą. W tym znaczeniu aforyzm Demirela „Wczoraj to wczoraj, dzisiaj to dzisiaj” nie jest osobistym wymysłem, tylko trafną oceną natury państwa. W końcu ten mąż stanu tak dobrze przejrzał swój naród, który na wiecach przyjmował go okrzykami: „Ojcze! Ojcze!”, że w 1971 roku nie cofnął się przed niczym i powiesił trzech młodych lewicowców, by uczynić z nich przykład dla reszty obywateli. Gdy w parlamencie głosowano nad wyrokami śmierci, zwrócił się ku członkom swojej partii i krzyknął: „Unieście ręce! Unieście je!”. Egzekucje tych trzech młodzieńców miały w politycznej historii Turcji zapisać się jako mord na niewinności, a to, że tak silnie starano się do niego doprowadzić, było możliwe tylko dzięki pewności, że zostanie zapomniany. (Ci trzej mężczyźni, Deniz Gezmiş, Hüseyin Inan i Yusuf Aslan, są najważniejszymi symbolami tureckiej kultury dysydenckiej. Dalej dowiecie się więcej o ich „zmartwychwstaniu” kilka dekad później). Ostatecznie i Demirel, i lud wiedzą, że ojcowie są zdolni zabijać, a potem ogłaszać, że przeszłość jest nieważna. Że powinniśmy za-

pomnieć i nie wspominać o niej. Że ostatecznie wszyscy, którzy odchodzą, przekraczają most wymazujący pamięć...

Można by nas uznać za dzieci, którym kazano kłamać na temat morderstwa popełnionego przez ich ojca. Od samego początku.

Warto rozważyć tę kwestię ojcostwa. Zostańmy przy niej na chwilę.

Sieroty, ojcowie i resentyment

„Zastanawiam się tylko, skąd się to wszystko bierze, [...] ten resentyment. Co jest przyczyną ciągłej niechęci w tym kraju? Na ojczyźnie ciąży klątwa. To pełne wściekłości i nienawiści szaleństwo, w którym żyjemy, powinno mieć jakąś przyczynę. Cofam się myślami do przewrotu w siedemdziesiątym pierwszym, do roku utraty niewinności, kiedy powiesili tamtych chłopców... Ale widzę, że to nie był pierwszy raz. Powiedzmy zatem, że cofnę się do lat dwudziestych, do położenia podwalin pod nasz kraj, ogłoszenia republiki. Do Trybunałów Niepodległości, wieszania kurdyjskich dysydentów... Ale to też nie jest początek. [...] Do czasów, gdy porywano chłopców tu i na Bałkanach, gdy budowano państwo... [...] Te sieroty stały się fundamentami kraju. Myślę, że naszą nędną namiastką państwa dosięgła klątwa tych zmaltretowanych chłopców. Powodem panującego zdziczenia jest resentyment tamtych dzieci...”

W mojej nowej powieści, *Devir*, której akcja rozgrywa się latem 1980 roku, do takiego wniosku dochodzi Aydın, urzędnik państwowy po trzydziestce, pseudointeligent. Na kilka miesięcy przed ostatnim puczem rozmyśla o źródle bezlitosnego, wulgarnego, zbrodniczego, opresyjnego i wyczerpującego systemu, któremu ulegają nawet dysydenci. Zastanawia się, dlaczego Turcja nie kocha własnych dzieci, i dochodzi do wniosku, że naszą tradycję państwową zbudowano na urazie, którą żywią wspomniane sieroty. Aydın odnosi wrażenie, jakby sama ziemia była przeklęta. Nie umiem stwierdzić, czy ma rację. To w końcu niezbyt naukowy wniosek. Ale większość ludzi z pewnością podziela tę jedną obserwację: gdybyśmy przeszukali archiwa wszystkich gazet w historii tureckiej prasy, zobaczylibyśmy, że każdy polityk – czy to przywódca partyjny, czy kandydat do parlamentu – bezustannie i kategorycznie wypowiada się o „prawach sierot”. A konkretnie, używając wyświechtanego zwrotu w pełnej formie, „prawach kruchej sierotki”. Wygląda na to, że nie robiliby nic innego, tylko walczyli na rzecz osieroconych maleństw. Ta w najlepszym przypadku melodramatyczna retoryka pojawia się w większości przemówień wyborczych. Można by wręcz pomyśleć, że sieroty stanowią w Turcji przeważającą część elektoratu. Idąc tym tropem, kandydaci nie są politykami, a raczej ojcami ubiegającymi się o względy owych dzieci. Użyte przeze mnie motto tego rozdziału, fragment pamiętników jednego z najznamienitszych tureckich pisarzy, Oğuz Ataya, zdaje się zatem prawdziwe, chociaż niekompletne. Jesteśmy nie tylko narodem dziecinnym, ale jednocześnie takim, który czuje się osierocony, został nauczony, by tak się czuć, lub może z łatwością wchodzić w taką rolę. „Ojciec zarówno kocha, jak i karze” – tak nauczono nas, sieroty. Bierzemy klaps za pieszczotę, bo jedynie taki dotyk mamy do dyspozycji...

Widzieliście kiedyś niekochane dziecko? Sierota łąnie do każdego, kto poświęci jej jakąkolwiek uwagę. Jest jak zabrany zbyt wcześnie od matki kot, który ssie palce swojego właściciela, przyczepia się i nie chce go puścić. Z początku czujecie radosny, słodko-gorzki ścisk w sercu. Potem przychodzi niepewność: „A jeśli nigdy już nie puści?”

W końcu chcecie się po prostu wyrwać. Czujecie, że można się zatracić w roli obiektu pożądania. To taki dziwny niepokój. Kiedy się nigdy nikogo nie miało, nie było się przez nikogo kocha-

nym, łatwo pożądać ojca, do którego można przyłgnąć tak, by się z nim scalić. Bez względu na cenę...

Ludziom Zachodu słowo „ojciec” kojarzy się w pierwszej kolejności z Bogiem Ojcem, z księdzem w kościele, może ewentualnie z mafijnym bossem. W Turcji to pojęcie jest bardziej namacalne. Człowiek na mównicy nie musi przywoływać współrzędnych ekonomicznych, wykazywać się konsekwencją ani prezentować racjonalnych argumentów. Wystarczy, że przypomina bliskowschodniego ojca, a wyborców ma w kieszeni.

To zdaje się dotyczyć ogółu spraw w Turcji. Turcja jest jak szukająca ojca sierota: kiedy już go znajdzie, uczepia się jego nogi i robi wszystko, co ten jej każe. W tym znaczeniu jest to część świata, w której człowiek reagujący powściągliwie na pełne pożądlivości oczekiwania osieroconych nie miałby szczęścia w polityce. W naszym politycznym uniwersum to samozwańcy „przybrani ojcowie” cieszą się największym powodzeniem, ruszają po władzę i mają zagwarantowaną uwagę. Muszą tylko być dość śmiali, by swoim sierotom wbić uznanie do głów...

„Wychowamy po was takie pokolenie...”

„Wychowamy po was takie pokolenie, że nie będzie już was pamiętało”.

Jest taki dziadunio, żyjący w uroczym domku w nadmorskim miasteczku. Maluje obrazy olejne. Brak mu talentu, ale za to ma dużo uporu i z każdym dniem idzie mu coraz lepiej. Choć nie jest szczególnie ujmujący, zdaje się niegroźny. Cytowana powyżej wypowiedź padła właśnie z jego ust. „Wychowamy po was takie pokolenie, że nie będzie już was pamiętało”.

„Dziadzio-pucz” zwrócił się w ten sposób do lewicowców, postępowców, demokratów i członków organizacji, których więził, mordował i torturował podczas zamachu stanu w 1980 roku. W tamtych czasach do malowania zamiast farby olejnej używał krwi. I był w tym równie niekompetentny i uparty jak dziś. Pomalowane pod jego przywództwem płótno, którym była Turcja, wyglądało tak: domy kultury pozamykano, a w ich miejsce otwarto państwowe szkoły religijne, zajęcia z filozofii porzucono na rzecz obowiązkowej nauki religii, a na uniwersytetach zakazano poruszania tematów politycznych. Pootwierano więzienia, a rozwiązano stowarzyszenia i związki zawodowe. Na miejscu ich zrównanych z ziemią siedzib postawiono międzynarodowe banki. Skazanych nauczycieli i dowódców zastąpiono nowo mianowanymi nauczycielami i uczniami, zaprogramowanymi na mówienie: „Tak jest!”. Tysiące osób zostało zamordowanych lub zniknęło w podejrzanych okolicznościach, dziesiątki tysięcy torturowano, wypędzono, pozbawiono obywatelstwa. Płótno pokrywane przez poczciwego dziadka krwią i strachem było nie mniej martwe niż martwa natura, którą się zajął na emeryturze!

Podobnie jak Demirel, generał puczu Kenan Evren stał się ojcem dla tych, którzy mylili przemoc z miłością. Cieszył się luksusem, jaki gwarantuje mentalność spod znaku „wczoraj to wczoraj”, i odszedł spokojnie, gdy przygotowywałam tę książkę do druku. Choć nasza kultura nakazuje mówić o zmarłych dobrze, nie powstrzymało nas to od wyrażania się o nim nieprzychylnie. W gazetach i telewizji prawie zupełnie pomijano doniesienia o jego śmierci.

Fragment mojej opowieści, który dotyczy tego starca, skupia się na prawdziwym przypadku zapomnienia, na wymuszonej amnezji. Zjawisko to jest tak silne, że choć minęło tylko trzydzieści pięć lat od krwawego puczu, do jakiego doprowadził, dziś nawet trzydziestoparolatki myślą o nim jako o sympatycznym, lubiącym sztukę dziaduniu – no chyba że jakoś szczególnie interesują się historią polityczną.

Kenan Evren, ten radosny wieszcz „pokolenia bez ideologii”, czasami nazywanego „pokoleniem, które nie będzie pamiętać”, był przywódcą przewrotu wojskowego z 12 września 1980 roku. Dziś pamięta się o nim, podobnie jak o czterech innych generałach puczu, na dwa sposoby: albo jak o podstarzałym miłośniku malarstwa, który zakończył „braterską sprzeczkę” trwającą między 1971 a 1980 rokiem, albo jak o okrutnym generale, który wypracował własną odmianę faszyzmu poprzez unicestwienie tureckiej demokracji. Tym, co łączy oba te niekompletne wspomnienia, jest niestety błędne założenie, że jedna osoba zmieniała bieg historii w ciągu jednego dnia. Bo jak dobrze wiecie, faszyzm nie jest wtedy, gdy nagle znikąd zjawiają się „ci źli” i dają łupnia „tym dobrym”. Faszyzm to stopniowa utrata człowieczeństwa. Postępuje w sposób tak powolny i niezauważalny, że aż niewidoczny gołym okiem. Gdyby działo się inaczej, nie byłibyśmy dziś w stanie znieść swojego życia.

Ze wszystkich nieszczęść faszyzm najsprawniej zmienia swoje kształty. Sztuka ta udaje mu się dzięki budzeniu w ludziach zwątpienia, które przypomina wywołany hipotermią letarg. Powoli znieczulają nas takie sformułowania: „Czy to możliwe?” albo „Po prostu to przeczekajmy”, „Może nie będzie tak źle, jak myślimy”. Faszyzm jest największym iluzjonistą naszych czasów. Potrafi sprawić, by złe wyglądało jak dobre. W określonych momentach historii otacza się grubą warstwą lukru, która ukrywa wszystkie niemożliwe do wyobrażenia okropieństwa, jakie się na niego składają.

Faszyzm nie zaczyna od zabijania ludzi, najpierw ich przemienia. Kluczem do jego zwycięstwa jest umiejętność przebudowania człowieka od środka. Najpierw usuwa szacunek do bliźniego, a prawdziwa „zabawa” zaczyna się wtedy, gdy już zainstaluje w umysłach większości maszynę legitymizacji, która wywołuje uległość i pozwala znosić okrucieństwo. Aby zaistniało posłuszeństwo, charakter danego narodu musi już wcześniej ciążyć w stronę obłądu. Historia świata pokazuje, że gdy osobowość człowieka jest wystarczająco zachwiana, całe społeczeństwa mogą się zarazić faszyzmem, a nawet obłóźnie zachorować i nigdy się już nie podnieść.

Każde nierozliczone morderstwo, każda rzeź i zbrodnia w historii narodu staje się kroplą jadu wstrzykniętą w jego żyły. Można w ten sposób zastąpić całą krew, a gdy już do tego dojdzie... trochę posoki, trochę zaprawy... i oto nowy obywatel bije brawo pod pomnikiem tyranii wznoszonym na jego oczach. Kolejne karty historii nie są dla „nowego człowieka” już tak łaskawe, bo kiedy osobowość ulegnie zmianie, wtedy reszta jest już prosta. Tak właśnie stało się w Turcji. I choć za każdym razem szukano sprawiedliwości, choć po czasie znaleziono kilka kozłów ofiarnych, to ostatecznie nigdy nie wygnaliśmy z naszego świata tego złego ducha. Przewrót roku 1971, poprzedzający ten z 1980 roku, zaczął wstrzykiwać ludziom zgniliznę faszyzmu. Ponieważ spora część społeczeństwa czuła, że nie jest realnie reprezentowana w polityce, ponieważ ulicznych potyczek nie udawało się lub nie chciano powstrzymać, ponieważ trwał kryzys ekonomiczny, gdy nastąpił 12 września 1980 roku, większość była gotowa poprzeć pucz, albo przynajmniej siedzieć cicho.

Zatem faszyzm nie jest czymś, co narzucono krajowi w jeden dzień ani za sprawą jednej grupki generałów. Straszliwie trudno wyjaśnić tę kwestię Europejczykom, zwłaszcza Niemcom. Potrafię sobie wyobrazić wyraz twarzy ludzi czytających o związkach Turcji z faszyzmem; bez względu na to, jak krwawe przykłady przywołam: „Pani robi z igły widły, psze pani!”.

Zgaduję, że gdy ludzie z Europy słyszą hasło „faszyzm” w ustach mieszkańców innych krajów, musi im się to chyba kojarzyć z biadoleniem nastolatki. „To jest faszyzm!” – krzyczy, kiedy

upomni się ją, że nie posprzątała swojego pokoju. Cóż mogę powiedzieć? Mój kraj naprawdę przeżywa przygodę z pewną kulawą, jednoręką, niezgrabną i chaotyczną odmianą faszyzmu. Trudniejszym pytaniem jest, od czego zacząć historię tej przygody bez popadania w anachronizmy. Niektórzy datują początek „zepsucia” na rok założenia Republiki, inni w ogóle zaprzeczają jego istnieniu.

Jakąkolwiek by przyjąć cezurę do opisu biegu wydarzeń, którego kulminacją był rok 1980, należy go wyprowadzić od „memorandum” w 1971 roku. Tamtych zajęć nie określamy mianem zamachu stanu, ponieważ nie do końca nim były. Nazwijmy je raczej zręcznym przesunięciem równowagi politycznej przez wojsko. 12 marca 1971 roku rząd Süleymana Demirela został obalony za sprawą memorandum podpisanego przez czterech najwyższych rangą generałów i odczytanego w wiadomościach na kanale państwowym. Nie zamknięto parlamentu, nie zawieszono partii politycznych, nie aresztowano urzędników. Władza nie została *de facto* przejęta, wojsko „po prostu” narzuciło swoją wolę politykom. Parlament i rząd nie sprawowały już kontroli nad siłami zbrojnymi.

Wszystkich wpływowych liberałów, studentów socjalistów, nauczycieli, mieszkańców wsi i robotników, którym po przewrocie przypięto łątkę „anarchistów”, aresztowano i torturowano. Ale do historii pucz 1971 roku przeszedł przede wszystkim z powodu trzech egzekucji przez powieszenie. Zabici znani są dziś w Turcji jako Denizlerzy, co jest liczbą mnogą od imienia jednego z nich. Denizlerzy reprezentują przemianę w zbiorowej wyobraźni Turków. Duch jednego z tych młodzieńców, Deniza Gezmişa, niespodziewanie powróci w późniejszych rozdziałach zarówno tej książki, jak i historii kraju. Czekajcie no tylko! Ale najpierw przyjrzyjmy się prawicowym parlamentarzystom skandującym: „Trzech! Trzech! Trzech!”, podczas głosowania nad wyrokami dla trójki młodzieńców w sali Wielkiego Zgromadzenia Narodowego 24 kwietnia 1972 roku. Czemu oni tak krzyczeli?

Faszizm czy zwykła zemsta?

Zdążyliśmy sobie wyjaśnić, że przygoda Turcji z wypaczeniem demokracji i człowieczeństwa sięga daleko wstecz. Skoro już zaczęliśmy podróż w czasie, cofnijmy się do 24 kwietnia 1972 roku, czyli do dnia głosowania nad egzekucją Denizlerów. Wymaga tego chór prawicowców krzyzących: „Trzech! Trzech! Trzech!”. Dlaczego trzech? Ponieważ w 1960 roku mieliśmy jeszcze jeden zamach stanu. On także sprawił, że trzy życia zakończono na szubienicy. Członkowie prawicowego rządu zostali zgładzeni przez, jak mówiono, „wojskowych liberałów”. Tak się też składa, że wydarzenia tego roku przez wiele lat nazywano „rewolucją”, a nie puczem. Co więcej, jego rocznicę świętowano jako Dzień Wolności i Konstytucji. Ale żadne świętowanie i ciągłe unikanie słowa „pucz” nie mogły przesłonić faktu, że przewrót także miał swoje ofiary. To dlatego prawicowy pucz roku 1971 domagał się trzech śmierci po lewej stronie – żeby „być kwita”, by krew zmyła krew. Skoro przywódca prawicy, premier Adnan Menderes, minister finansów Hasan Polatkan i minister spraw zagranicznych Fatih Rüştü Zorlu zostali straceni w czasie przewrotu w 1960 roku, to dogrywka w roku 1971 też musiała się zakończyć trzema egzekucjami. Tak też się stało. Zemsta dokonana się wraz z powieszeniem trzech dwudziestoletnich chłopaków: Deniza Gezmişa, Yusufa Aslana i Hüseyina İnana. Na czele spragnionych lewicowej krwi parlamentarzystów z prawicy, którzy 24 kwietnia 1972 roku krzyczeli „Trzech! Trzech! Trzech!”, stał Süleyman Demirel. Ten sam, który lata później na Cornell University miał powiedzieć: „Wczoraj to wczoraj, dzisiaj to dzisiaj!”. Tamtego dnia był w parlamencie, odwracał się

do członków swojej partii i zachęcał ich do poparcia wyroków śmierci, wołając: „Unieście ręce! Unieście je!”.

Sami zdecydуйте, czy Turcja jest drzewem gnijącym, czy może uschniętym od zbyt częstego przycinania w ramach politycznych porachunków. Trudno wybrać, gdy rozstrzygana przez nas kwestia jest kroniką wendety, a jej uczestnicy od zawsze odnoszą się do siebie z wrogością. Wciąż jednak możemy omawiać symboliczne znaczenie i konsekwencje tych historycznych kamieni milowych. Ale najpierw musimy się przebić przez nudne dane historyczne.

Atatürk rządził Republiką Turcji mniej więcej od jej założenia w 1923 roku do swojej śmierci w 1938 roku. Klimat tamtej epoki najlepiej da się wyczuć, przywołując kilka jego powiedzeń: „Turku, bądź dumny, pracuj i ufaj!”, „Szczęśliwym jest człowiek, który może zwać się Turkiem!”, „Wzniesiemy kulturę naszego narodu powyżej poziomu współczesnej cywilizacji”.

Naród był świeżo po wyniszczającej wojnie, a jednak wszyscy, pomijając uciszonych dysydentów, wzięli się do pracy i przy wsparciu ojca założyciela utemperowali głodem swój honor i dumę. Albowiem Atatürk oświeślał koniec tunelu w każdym postawionym zadaniu, w każdym obszarze życia. Jego maksymy obejmowały prawie każdą profesję; podobno powiedział nawet: „Taksówkarze są ludźmi najszlachetniejszej wrażliwości”. Resztę możecie sobie wyobrazić. Atatürk był rodzajem polityka, który przenikał każdy aspekt życia w Turcji, całą świadomość narodu, nie pozostawiając niczego nietkniętym.

Lata 1938–1946 są natomiast znane jako okres „Wodza Narodu”. Towarzysz broni Atatürka i prezes CHP^{*****}, İsmet İnönü, został najpierw premierem, potem prezydentem. Zawsze zajmował drugą pozycję, nawet jego rządy zbiegają się z drugą wojną światową.

^{*****} Republikańska Partia Ludowa (tur. *Cumhuriyet Halk Partisi*) – najstarsza partia w Turcji; istnieje od 1919 roku i jest dziś największym ugrupowaniem opozycyjnym w tureckim parlamencie. Reprezentuje idee socjaldemokratyczne i kemalistyczne.

Okres „Wodza Narodu”, wspominany zawsze przez pryzmat napięć politycznych i kartek na żywność, zakończył się w 1946 roku, po pierwszych wyborach wielopartyjnych. Sprzeciw wobec narzuconej przez władze modernizacji, jednopartyjnych rządów i autorytarnego interwencjonizmu państwowego zmaterializował się pod postacią prawicującej Partii Demokratycznej. Pierwsze demokratyczne – wcześniejsze takie nie były – wybory w 1950 roku doprowadziły to ugrupowanie do władzy. Hasłem wyborczym Partii Demokratycznej było zdanie umieszczone poniżej dłoni uniesionej na znak „stop” i brzmiało: „Dość! Lud przemówił!”.

To znaczy, że zaledwie dwadzieścia siedem lat od założenia Republiki drogi „ludu” i „państwa” rozeszły się po raz pierwszy. Turcja wkroczyła na szlak demokracji, by dowieść swojej dojrzałości politycznej. Wizja kraju jako jednego bytu, maszerującego ścieżką wyznaczoną przez Atatürka w kierunku realizacji jego zamierzeń, pierwszy raz oficjalnie się rozpadała. Lud wygrywał z państwem jeden do zera. Wiał wiatr wolności. Sprawy nie potoczyły się jednak tak, jak można by się spodziewać. Zamiast obiecywanej demokracji partia wkrótce ustanowiła prawicowy autorytaryzm. Okazuje się, że tradycje tureckiej demokracji nie pozwalają na nic innego ponad nadzieję na lepsze i strach przed najgorszym wraz z następowaniem rządów każdego kolejnego ugrupowania politycznego. W trakcie swoich rządów Partia Demokratyczna wprowadziła Turcję do NATO (1952 rok) i poparła pogrom mniejszości wyznaniowych w Stambule (6–7 września 1955 roku). Wobec korupcji władz i rozkwitu muzułmańskiej bigoterii dowódcy wojskowi zor-

ganizowali w 1960 roku zamach stanu przeciwko prawicowym członkom rządu, czyli partii rządzącej. Patriotyczni żołnierze Atatürka „ocalili państwo przed demokracją i ludem”. Poprzewrotowa konstytucja rozszerzyła zakres praw i wolności obywatelskich. W kolejnej dekadzie rozprzestrzeniały się ruchy lewicowe, natomiast prawicowe rosły w siłę dzięki dozbajaniu bojówek przez kolejne sprzyjające im rządy. Turcja utknęła między ZSRR a NATO i stała się przez to areną, na której skupiła się i zintensyfikowała zimna wojna. Wobec tego zamętu pucz roku 1971 był usprawiedliwiony. Ale żaden wysiłek nie był w stanie skutecznie odciągnąć tłumów od polityki; nie mając ujścia, chaos rozlał się na ulice. Eskalacja obserwowana w latach 1971–1980 była narastającą wojną domową. A kiedy uwikłano w nią jeszcze problem wyznań religijnych, doszło do najkrwawszych rzezi w historii Turcji. Trzydzieści cztery osoby zginęły 1 maja 1977 roku^{*****}. W masakrze w Maraş w 1978 roku zamordowano stu pięćdziesięciu lewicujących alewitów, kolejnych pięćdziesięciu siedmiu w masakrze w Çorum w roku 1980. Ataki na wyznających socjalistyczne poglądy studentów, nauczycieli, robotników i pracowników administracji były tak częste, że na początku lat osiemdziesiątych ginęło średnio dwadzieścia osób dziennie. W latach 1977–1980 życie straciło pięć tysięcy ludzi. Ze względu na nasilenie wydarzeń zarówno ci, którzy mieszkali wtedy w Turcji, jak i czytelnicy mogą przeoczyć jeden fakt: w 1980 roku Republika liczyła zaledwie pięćdziesiąt siedem lat. Dokonany wtedy zamach stanu, po raz kolejny „powstrzymujący bratobójczą wojnę”, miał niewyobrażalne skutki. Dla siedmiu tysięcy osób zażądano kary śmierci, z czego skazano na śmierć pięćset siedemnaście. Do parlamentu wysłano dwieście pięćdziesiąt dziewięć nakazów egzekucji, stracono czterdzieści dziewięć osób. Aresztowano sześćset pięćdziesiąt tysięcy osób, milion sześćset osiemdziesiąt trzy tysiące wciągnięto na „czarną listę”. W dwustu dziesięciu tysiącach procesów oskarżono dwieście trzydzieści tysięcy osób, a dziewięćdziesiąt osiem tysięcy czterysta czworo ludzi oskarżono o przestępstwo, jakim było „członkostwo w organizacji”.

^{*****} Mowa o masakrze na placu Taksim, na wiecu z okazji Święta Pracy zorganizowanym przez Konfederację Postępowych Związków Zawodowych Turcji (tur. *Türkiye Devrimci İşçi Sendikaları Konfederasyonu*). Nieznani sprawcy oddali strzały w półmilionowy tłum zgromadzony na placu, co spowodowało wybuch paniki, a następnie brutalne rozpedzenie zgromadzenia przez policję. Popularna teoria na temat tożsamości strzelców głosi, że byli to członkowie *Kontrgerilla*, tajnej organizacji antykomunistycznej wspieranej przez NATO.

Trzydzieści tysięcy zwolniono z pracy za nieprawomyślność.

Trzystu osiemdziesięciu ośmiu tysiącom odmówiono wydania paszportu, obywatelstwa pozbawiono czternaście tysięcy osób. Trzydzieści tysięcy uciekło z kraju jako uchodźcy polityczni.

Trzysta tysięcy zginęło w niewyjaśnionych okolicznościach. Na skutek tortur udokumentowano śmierć ponad stu siedemdziesięciu jeden osób, a na skutek więziennych strajków głodowych zmarło czternaście.

Dwudziestu trzem tysiącom sześciuset sześćdziesięciu siedmiu stowarzyszeniom zabroniono działalności.

Stanowisk pozbawiono trzech tysięcy ośmiuset pięćdziesięciu czterech nauczycieli, stu dwudziestu akademików i czterdziestu siedmiu sędziów. Siedem tysięcy dwustu trzydziestu trzech funkcjonariuszy państwowych wypędzono z ich regionów, a kolejnych dziewięć tysięcy czterystu zwolniono lub na stałe zakazano im pracy w służbie publicznej.

Dziennikarzy skazano w sumie na trzy tysiące trzysta piętnaście lat i sześć miesięcy więzienia – domagano się jednak czterech tysięcy lat pozbawienia wolności. Napadnięto trzystu, zabito trzech.

Trzynastu największym dziennikom wytoczono trzysta trzy sprawy. Na łącznie trzysta dni zawieszono wydawanie prasy w Stambule. Czterdzieści dziewięć ton gazet, czasopism i książek zniszczono pod zarzutem szerzenia nieprawomyślnych idei.

Zakazano wyświetlania dziewięciuset trzydziestu siedmiu filmów ze względu na tak zwane nieodpowiednie treści.

O co chodziło w tym puczu, który miał miejsce tylko pięćdziesiąt siedem lat po założeniu Republiki?

Choć prawicowe władze starały się jak mogły, by dostosować kraj do bujnie rozkwitającego światowego kapitalizmu, turecka gospodarka w taki czy inny sposób pozostawała gospodarką mieszaną. Bezwzględność kapitalizmu spotykała się z oporem zarówno nacjonalistów, jak i lewicowców. Dlatego na osiem miesięcy przed zamachem stanu podjęto niesławne „decyzje ekonomiczne 24 stycznia”.

Gospodarka państwowa miała zostać poddana programowi na wzór rozwiązań Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Dzięki niemu tureckie liry stałyby się wymienne, sektor państwowy zmniejszyłby się za sprawą prywatyzacji, rozwinęto by rynek finansowy i wprowadzono rynek kapitałowy. Regulacje dotyczące importu i eksportu miały zliberalizować handel z zagranicą. Kapitał zagraniczny był mile widziany, stopy procentowe miały zostać uwolnione, planowano wprowadzenie polityki płynnego kursu walutowego. Podatek od kapitału i koszt zatrudnienia pracownika miały ulec obniżeniu. Ponieważ nic z tego nie mogłoby zaistnieć przy obecności silnego i zorganizowanego lewicowego ruchu robotniczego, trzeba było zapłacić powyższą cenę. To dlatego 12 września 1980 roku zorganizowano pucz.

Gdy kilkadziesiąt lat później odtajniono akta CIA, ustalono, że zaraz po przewrocie szef tureckiej placówki amerykańskiego wywiadu, Paul Henze, wykonał telefon do Jimmy’ego Cartera, ówczesnego prezydenta USA. Jego słowa, lata później ryczące z telewizorów w Turcji, brzmiały: „Naszym chłopakom się udało!”.

Tymczasem nasze wykształcone, postępowe, sumienne chłopaki i dziewczyny ginęły w salach tortur własnego kraju, a odpowiedzialni za to puczyści, nawet ci najniżsi rangą, szykowali się do objęcia stanowisk w zarządach międzynarodowych przedsiębiorstw albo największych korporacji w stolicy, po czym mieli dalej żyć swoim życiem.

Na koniec zajmijmy się tym, co stało się w zbiorowej świadomości kraju w toku tej dość krótkiej, a zarazem nieznośnie długiej historii; przyjrzyjmy się fotografiom i obrazom, jakie wryły się w naszą pamięć na kolejnych zakrętach losu. Być może w ten sposób uda nam się wrócić do pierwotnego pytania i znaleźć na nie odpowiedź: czy Turcja jest drzewem gnijącym przez nieumiejętną uprawę czy usychającym z powodu ciągłego przycinania w ramach krwawych porachunków politycznych? Tą zagadką zaczęłam niniejszy podrozdział. Moje próby przywołania i oddania przeszłości służą odkryciu przeszłych prądów, które naniósł obecne błoto, nieprawdaż? Staramy się zrozumieć nasze położenie w historii wendet.

Nieprawdaż?

Nieuporządkowany album fotograficzny Turcji

Obdarzony straszliwie zabałaganionym umysłem, domem i życiorysem Pan Turcja (zgodzimy się chyba wszyscy, że on to on?) chciałby nam pokazać swój album. Są w nim fotografie wspomnień i skojarzeń, które zrobiły na nim największe wrażenie, najbardziej go ukształtowały lub z innych powodów wywołały w nim obsesję, choć trudno mu to dokładnie wyjaśnić. Album nie

został jednak uporządkowany. Co więcej, cała sterta zdjęć w ogóle się w nim nie mieści. Tak jak każdą próbę zorganizowania biblioteczki przerywa nam zamyślenie nad listem, książką, dziennikiem lub notatką, tak samo Turcji ciągle coś przerywało kolejne próby poukładania jego zdjęć z przeszłości. Nawet ta uporządkowana część nie jest ułożona chronologicznie. Dlaczego? Bo „wczoraj” nie chce tutaj stać w miejscu. Raz się zbliża, innym razem znów oddala, odbija się w dzisiejszych politycznych walkach, w konfliktach społecznych, w narastających kontrowersjach jak w lustrze. Odległe wspomnienia potrafią być świeże jak wiosenny kwiat, podczas gdy te bliskie traktuje się, jakby zdarzyły się całe eony temu.

– Nie da się tak postrzegać czasu – mówicie. – Czy to wszystkiego nie komplikuje?

– Owszem, komplikuje – odpowiada Turcja. – I powinno!

– Gdy przeszłość ciągle zmienia położenie, igranie z ludzką pamięcią musi być bardzo łatwe.

– Zgadza się – replikuje ze śmiechem. – A skoro już o tym, opowiem wam „symboliczną” i „ironiczną” historię o tym bałaganie.

I opowiada o czymś, co wydarzyło się w kwietniu 2012 roku...

„To ironiczne” – głosił opublikowany niedawno wpis na profilu jednego z użytkowników Twitera. – „Żeby dotrzeć do sądu na proces Kenana Evrena, trzeba minąć bulwar Kenana Evrena, a potem ulicę Kenana Evrena”. Turcja, która nadal kroczy ścieżką okaleczonej demokracji, wyznaczoną przez pucz 1980 roku, była niedawno świadkiem pierwszej symbolicznej rozprawy byłych generałów Kenana Evrena i Tahsina Şahinkayi. Byli oni jedynymi żyjącymi członkami grupy wojskowych odpowiedzialnych za ostatni zamach stanu. Żaden z nich się nie stawiał ze względu na zły stan zdrowia. Podobnie nieobecny jak pozwani był entuzjazm Turków do przyglądania się niedawnej historii. 12 września 2010 roku, w trzydziestą rocznicę przewrotu, obywatele poszli do urn, by zagłosować nad poprawkami do konstytucji. Choć niektóre z nich dotyczyły zmian w składzie najwyższych sądów, które sprzyjałyby egzekutywie, rząd reklamował ten pakiet jako „wielki krok naprzód dla demokracji”. Przekonywano, że dzięki niemu przed sądem staną sprawcy puczu z 1980 roku i kraj wreszcie rozliczy się ze swoją niedawną krwawą historią. Rzeczony zamach stanu był jednym z najokrutniejszych w obecnej epoce: miało miejsce sześćset pięćdziesiąt tysięcy zatrzymań, dwieście trzydzieści tysięcy procesów przed sądem wojskowym, trzysta zgonów w więzieniu, z czego sto siedemdziesiąt jeden na skutek tortur. Wykonano czterdzieści dziewięć egzekucji, wliczając w to powieszenie siedemnastoletniego Erdala Erena. Abstrahując od okrucieństwa, przewrót ukształtował turecką gospodarkę i ustalił dziesięcioprocentowy próg wyborczy dla partii politycznych.

W debacie publicznej poprzedzającej referendum opozycja podkreślała zakorzenienie puczu w systemie politycznym i ekonomicznym Turcji. Przekonywano, że skazanie kilku wojskowych nie będzie wystarczającą odpowiedzią na zamach stanu i jego skutki. Premier Erdoğan postanowił odpowiedzieć na tę krytykę pełnym emocji przemówieniem na temat młodych ofiar puczu. Mowa zamieniła się w polityczny trik, gdy nazwał oponentów obrońcami przewrotu. Po zatwierdzeniu w referendum zmian w konstytucji i zniesieniu trwającej trzydzieści lat nietykalności generałów Kenan Evren został wezwany do sądu. Było to w równym stopniu ważne symbolicznie, co pozbawione realnego znaczenia. Na ten niezwykły proces Turcja czekała ponad rok.

Z powodu złamania ręki i innych problemów zdrowotnych Kenan Evren, szafarz krwi i łez, nie stawiał się w sali rozpraw – stawili się za to powodowie. W tej grupie była stuczteroletnia Berfo,

matka Cemila Kirbayıra, który zaginął podczas puczu. „Jestem tu!” – powiedziała z karetki, którą przyjechała. – „Gdzie jest pasza Kenan?!”.

Ofiarom zamachu stanu, przez lata dźwigającym ból utraty, pozwolono ścigać oprawcę tylko po to, by po raz kolejny im się wyślizgnął. Stowarzyszenie Postępowych Prawników [CHD] głosiło odstąpienie od procesu, który opisało jako „pokazowy”. Podobnego zdania byli przeciwnicy sprawy w mediach społecznościowych.

Prawie wszyscy, włączając w to najgłośniejszych krytyków rządu, zgadzali się co do symbolicznego znaczenia rozprawy, ale nie przyjmowali twierdzenia władz, że postawiono ostateczny krok ku demokratyzacji kraju. Był to sprzeciw szczególnie słuszny, jeśli wziąć pod uwagę tysiące więźniów pozostających w aresztach na mocy prawa antyterrorystycznego, które brzmiało niemal identycznie jak prawo z okresu stanu wojennego z 1980 roku. Krytycy rządu komentowali krótko: „Wtedy przypinano łatkę anarchisty, teraz terrorysty”.

Podczas wtorkowego procesu Twitter zaalała fala krytycznych komentarzy. Jeden z nich się wyróżniał.

Dziennikarz Özgür Mumcu udostępnił artykuł opublikowany w czerwcu 1981 roku, prawie rok po puczu. Był to tekst napisany przez Matthew Rotschilda dla „Multinational Monitor”. Nosił tytuł *After the Tanks Come the Banks* [Po czołgach przychodzą banki] i dotyczył głównie cudownego sukcesu gospodarczego Turcji po zamachu stanu. Rotschild pisał w nim: „Turcja jest trzecim największym beneficjentem amerykańskiego wsparcia ekonomicznego i wojskowego – po Izraelu i Egipcie. I ta pomoc wzrasta: zadeklarowano zwiększenie zapomogi gospodarczej do 350 milionów dolarów amerykańskich w bieżącym roku rozliczeniowym w porównaniu do 295 dolarów amerykańskich w roku ubiegłym. Wsparcie wojskowe skoczy o 60 procent. W roku rozliczeniowym 1981 USA dało Turcji 250 milionów dolarów w kredytach na sprzedaż materiałów wojskowych poza granicami i w gwarancjach pożyczek na 4 procent poniżej bazowych stóp procentowych. [...] Skąd ten finansowy zastrzyk ze strony Stanów Zjednoczonych? »Odzwierciedla to nasze duże zainteresowanie Turcją o zdrowej i silnej gospodarce« – twierdzi Larry Benedict, urzędnik amerykańskiego Departamentu Stanu na Turcję. Mając drugą co do wielkości armię w NATO (500 tysięcy żołnierzy) i będąc punktem zaczepienia na Bliskim Wschodzie, Turcja jest w oczach amerykańskich polityków kluczowym sprzymierzeńcem. »Wystarczy spojrzeć na jej położenie geograficzne«, mówi Benedict”.

Lektura tego artykułu wykazuje wiele podobieństw w zakresie retoryki stosowanej obecnie przez polityków na arenie międzynarodowej. Zestawiając owe tysiące więźniów pozostających wciąż w izolacji od społeczeństwa z hasłami głoszącymi „gospodarczy sukces modelu tureckiego”, nietrudno zrozumieć, dlaczego wciąż mijamy bulwar Kenana Evrena.

Najbardziej znaczący jest fakt, że Kenan Evren, puczysta z krwią na rękach, nigdy nie miał bulwaru swojego imienia, by wejść do sali rozpraw. Co więcej, tuż przed wytoczeniem procesu twierdził: „Zabiję się, jeśli mnie oskarżą”. Samobójstwa też nie popełnił...

Patrzycie w osłupieniu na Pana Turcję i pytacie:

– Naprawdę tak było? Ludzie się nie zbuntowali?

Znów się śmieje.

– Jeśli chcecie, mogę wam powiedzieć, w jaki sposób wszystkie kryzysy w kraju są rozwiązywane symbolicznie, z użyciem prostych sztuczek. Ale teraz może was to zdezorientować. Lepiej,

żebyśmy najpierw przejrzeni album. Jak skończymy, z chęcią przedstawię wam te niby-pojednania.

No więc dobrze, zajrzyjmy do albumu. Wyciągnijmy losowo zdjęcia Pana Turcji i obejrzyjmy je.

1. Zdobycie Stambułu: słynny obraz Fausta Zonaro

Czy nie rozmawialiśmy o Republice Turcji? Dlaczego cofamy się aż do schyłku średniowiecza, do zdobycia Stambułu? Ponieważ ta data, 29 maja 1453 roku, jest jedną z najważniejszych w tureckiej historii i ponieważ część mieszkańców kraju czuje się dziś coraz bardziej „osmańska”. Dla nich najbliższym wczoraj, do którego czują najsilniejsze przywiązanie, jest właśnie 29 maja. Tego dnia organizuje się najhuczniejsze w roku uroczystości: stadiony, wcześniej wykorzystywane do świętowania obchodów rocznicy założenia Republiki (29 października), pękają w szwach. Na ich murawie przeprowadza się historyczną rekonstrukcję zdobycia miasta – zastępy mężczyzn w strojach z czasów Imperium Osmańskiego atakują drewnianymi mieczami mężczyzn ubranych na bizantyjską modłę. Czasami, ze względu na nieumiejętną grę aktorską lub nadgorliwość „żołnierzy osmańskich”, zdarzają się ranni. Stambuł uważa się za zdobyty na nowo, gdy tylko w polu karnym boiska zatknięta zostanie flaga Imperium. Widownia skanduje: „Allahu akbar! Allahu akbar!”.

Mimo że powiązanie jest niejasne, owej uroczystej rekonstrukcji podboju towarzyszą liczne pokazy walk judo i karate nazywane „zachwycającymi popisami sportowymi”. Apetyt publiczności jest nienasycony: choć miasto co roku jest „podbijane”, wydaje się, że ludzie są ciągle głodni emocji, jakie zapewnia im widowisko. Zupełnie tak, jak gdyby Stambuł nigdy całkiem do nich nie należał. To miasto nie daje się zdobyć do końca. Z tego samego powodu w różnych punktach Stambułu wiszą ogromne tureckie flagi i nie można zrobić zdjęcia Bosforu bez przynajmniej jednej z nich w kadrze. Pomimo to Stambuł nigdy nie jest dość muzułmański, dość turecki, nie wciska się w swój sunnicki mundurek tak sprawnie jak Anatolia. Lecz ile w nim nieukierunkowanej chęci zdobywania! Można by pomyśleć, że te tłumy na stadionach to heroiczni janczarowie, a nie zwykli ludzie ze swoim małym życiem w swoich małych dzielnicach i, dajmy na to, ratami za lodówkę.

Ale na zdjęciu z albumu Mehmed Zdobywca, który faktycznie podbił Stambuł pod muzułmańskim sztandarem, w ogóle nie wygląda na podekscytowanego, rozsierzonego, rozochoczonego czy targanego namiętnościami. Przejeżdżając spokojnie na białym koniu przez mury miasta, nie trzyma nawet miecza w dłoni. Obraz ten jest ozdobą rozmaitych tureckich kawiarni i biur. Na innej fotografii, rzuconej na kupkę obok albumu, Mehmed Zdobywca toczy spokojną rozmowę z ówczesną głową Patriarchatu Konstantynopolitańskiego, już po zajęciu miasta. Według historii Turcji osmańskiej spisanej przez de Lamartine’a sułtan osobiście odprowadził patriarchę do drzwi. Jeśli to prawda, władca musiał mówić do kapłana po grecku^{*****}. Gdybyście powiedzieli to bywalcom stadionów, którzy tak silnie odczuwają, że są Osmanami, nie uwierzyliby, ponieważ nie jest to wystarczająco atrakcyjne i nie kojarzą tego z podbojem. Od prawdziwych obrazów historii wolą przeszłość, którą zbudowali z drewnianych mieczy i marszów janczarów. To chyba z tego powodu *Fetih 1453* [Podbój 1453] z 2012 roku był najczęściej oglądanym

filmem w historii tureckiej kinematografii. Może zaskakiwać, że kiedy Devrim Evin, który w tym filmie wcielił się w rolę Mehmeda Zdobywcy, ogłosił w 2013 roku na swoim profilu na Twitterze, że nie dotrze na uroczystą rekonstrukcję podboju miasta, ponieważ będzie w tym czasie protestować w parku Gezi, uznano go za niegodnego roli sułtana, a następnie zasypano hejtem w mediach społecznościowych. Ale nikt nie złościł się na niego bardziej niż pełniący wówczas funkcję dyrektora do spraw kultury i turystyki w regionie stambulskim profesor Ahmet Emre Bilgili, który zgromadził na pokazie filmu pięciuset uczniów o imionach Fatih [zdobywca], Sultan oraz Mehmed. Tymczasem imię Devrim znaczy „rewolucja”.

***** Chodzi o dzieło *Histoire de la Turquie* Alphonse’a de Lamartine’a, opublikowane po raz pierwszy w Paryżu w 1855 roku. Patriarcha Konstantynopola, o którym mowa, to Gennadiusz II Scholar, piastujący ów urząd z woli sułtana Mehmeda II od 1453 roku.

Tak czy inaczej, niektórzy dzisiejsi Turcy nawet Osmanów uznają za nie dość osmańskich. Na przykład prezydent Erdoğan stwierdził, że w serialu *Wspaniałe stulecie* kobiety z haremu noszą zbyt skąpe stroje, a sułtan powinien prowadzić wyprawę zamiast bawić ciągle w pałacu. Z kolei w mediach społecznościowych pojawił się mem, na którym przedstawiono członków wygnanej z Turcji dynastii Osmanów (blondyni o europejskich rysach, w drogich, modnych strojach), a obok wklejono fotografie „osmańskich potomków” z Anatolii (bruneci o śniadej cerze i wschodnich rysach, ubrani w tradycyjne stroje muzułmańskie). Obrazek ten, który opatrzone podpisem: „Prawdziwi Osmanowie i ci, którzy się Osmanami czują”, dowodzi, że zrewidowana wersja historii i tym razem nie pokrywa się z rzeczywistością. Mehmed Zdobywca mówiący po grecku i odprowadzający księdza do drzwi? Broń cię Panie Boże!

2. Mapa Turcji: niezwykle delikatne granice

Poeta Nâzım Hikmet pisał: „Ten kraj, co się ku morzu wyciąga jak chrapy / z daleka, z Azji cwałującej klaczy/ – jest naszym krajem”^{*****}. Porównywał kształt Anatolii do końskiego pyska. Kontury kraju łatwo opisać wierszem, lecz gdy przychodzi do polityki, zaczynają się kłótnie. Nie wiem, czy w innych krajach uczniom podstawówek każe się rysować granice ich państw z pamięci, ale moje pokolenie miało w zeszytach dziesiątki bibulek, na których przerysowywało kontury Turcji, by je zapamiętać. Nie waź się ominąć Hatayu przy granicy z Syrią! Nie omijaj wzgórków i zakrzywień Tracji, bo ukradną je nam Bałkany! Nie oddawaj Grekom wysepek na Morzu Egejskim! Uważaj na Iran, Irak i Armenię!

***** W przekładzie Małgorzaty Łabęckiej-Koecherowej.

Od wieków Turcję martwił zarys jej granic. Nagłówki gazet przekazywały straszne wieści, na przykład: „Znaleziono łże-mapę!”. Na jednym z takich dokumentów część terytorium zagarnęli Ormianie, na innej Kurdowie. Do tureckiej prasy przeciekł kiedyś ze spotkania greckich nacjonalistów inny, przedstawiający kraj pomniejszony o wyspy. Opinię publiczną karmiono też teorią o syryjskim spisku przygotowywanym po to, żeby „coś nam zabrać z tamtej strony”. Ziar na lęku i niepewności zasiano już przy pierwszym nakreśleniu granic. Jak powiedział reżyser Nuri Bilge Ceylan, odbierając nagrodę w Cannes: „Dzieci tego »pięknego, samotnego kraju« wychowały się na komunale, który miał je utwierdzać w wierze, że Turcja jest »otoczona przez wrogów«”.

Innym używanym przez lata frazesem było „strategiczne położenie Turcji”, które w równym stopniu stanowiło źródło zmartwień, co politycznego potencjału. Tymczasem w oczach zwykłych ludzi wiązało się to z wszelkiego rodzaju tragicznymi, dziwacznymi i barwnymi historiami. Kolejne zdjęcie w albumie, które przyczepiono właśnie do mapy, mówi wiele na ten temat. Co roku ozdabia ono gazety w dniach świąt religijnych, zawsze z tym samym nagłówkiem: „Wesołe święta na granicy!”.

W rejonie wschodniej i południowo-wschodniej Turcji ludzie po obu stronach granicy rzucają sobie podarki i wyciągają do siebie ręce, rozstawiają stoły i głośno składają życzenia. Na zachodzie, czyli na wyspach, tureckojęzyczni Grecy przyjeżdżają w odwiedziny do przyjaciół, prowadzą długie rozmowy w kawiarenkach, rozstawia się też stragany. Na tych spotkaniach nie liczy się „znaczenie strategiczne”. Są tylko rodziny i przyjaciele rozdzieleni przy kreśleniu granic. Na zachodzie, w Izmirze, wypiwszy drugi kieliszek raki, mieszkańcy wnoszą kolejne ku świątłom Grecji i dziwią się, że jest tak blisko.

Są też oczywiście zdjęcia, których nie włączono do albumu. Chodzi zwłaszcza o te, na których widać setki przewróconych ciężarówek na poboczach drogi wiodącej od granicy z Iranem w głąb Turcji. Dlaczego tak je ustawiono? Żeby przed dotarciem do miasta wyciągnąć ze schowków kontrabandę, irański olej napędowy. Te wozy, które wydają się chować głowy w skałach z rozpacy, wiele mówią o tym, jak silnie zarysowane, a zarazem wątle są granice Turcji.

Tymczasem najbardziej podobni do nas bywają najdalsi sąsiedzi. Po obu stronach granicy z Armenią stoją wycelowane w drugi kraj armaty. Choć Armenia jest pełna niedrogich tureckich towarów, a Ormianki są w Turcji najczęściej zatrudniane jako nianie, granicę wytyczono stanowczo, grubą kreską. Mapa Turcji w roli paszportowego zdjęcia jest równie nędzna i nijaka, co fotki w naszych papierach.

3. Litery, kapelusze, stroje... Wzory Republiki

Gdy byłam nastolatką, czytałam artykuł o atrakcyjności Atatürka jako mężczyzny i zastanawiałam się: „Czy on jest przystojny?”.

Zdałam sobie sprawę, że nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Choćbym nie wiem jak się starała, nie potrafię postrzegać Atatürka jako osoby, jako mężczyzny. Stoi mi na drodze olbrzymia przeszkoda. Kiedy ogląda się czyjeś zdjęcia od rana do wieczora, od podstawówki do końca studiów, dostrzeżenie w nim mężczyzny staje się prawie niemożliwe. Przynajmniej moje pokolenie i pokolenia po nim widziały Atatürka wystarczająco często, by zapomnieć, że był człowiekiem. Pomijając nawet fotografie, po puczu w 1980 roku postawiono tak wiele jego posągów na wysokich piedestałach, że nie sposób go sobie już wyobrazić w ludzkich rozmiarach. Z setek zapamiętanych zdjęć wybierzmy trzy. Na pierwszym: Atatürk przy tablicy prezentuje nowy alfabet. Przy pomocy kawałka kredy przedstawia narodowi litery łacińskie. Ci, którzy tak jak ja musieli się uczyć alfabetu arabskiego sprzed reformy, są niewątpliwie wdzięczni za tę zmianę. Słusznie jest wspominać reformę z radością i uznaniem: była chyba najważniejszym elementem rewolucji kulturowej, jaka nastąpiła po założeniu Republiki, lecz zarazem w ciągu jednej nocy zerwała więzi ludzi z ich przeszłością. Mowa o wnukach, które nie mogły przeczytać listów od własnych dziadków. O ludziach, którzy nie rozumieli testamentów i dokumentów własności z czasów osmańskich. O tym, że nie umieliśmy przeczytać starych wierszy i listów miłosnych znalezionych na strychu. Mogłabym całe strony zapełnić pisaniem o pustce, jaką to zostawiło w naszej zbiorowej świadomości, ale jeden przykład powinien być szczególnie obrazowy.

Teherańskie dzieci dorabiają sobie sprzedają starych wierszy na różowych bibułkach wielkości biletu autobusowego. Do najpopularniejszych należą gazete Fuzûliego, jednego z moich ulubionych poetów epoki osmańskiej. Pamiętam, jak pewnego razu kupiłam w Teheranie jego wiersz: mogłam tylko gapić się bez zrozumienia. Ośmiolatkowi, który mi sprzedał kartonik, zrobiło się mnie żal, więc odczytał dla mnie utwór:

Niechaj moja ukochana
staje się coraz piękniejsza.
Jeszcze większy smutek,
pochodzący od niej, daj mi, Panie!*****

***** W przekładzie Şahli Kazımowej i Janusza Krzyżowskiego.

Czy to możliwe, by lud, który nie może czytać własnych wierszy miłosnych, miał jakąkolwiek historię miłości? Zastanawiam się, jak by to było, gdyby Niemiec nie umiał przeczytać Goethego albo Anglik wpatrywał się tępo w sonety Szekspira. Turek, który nie jest w stanie przeczytać Fuzûliego, to dokładnie to samo.

Kolejne zdjęcie budzące tak gorące emocje dotyczy reformy nakryć głowy.

Choć najpopularniejszą pamiątką, jaką na Wielkim Bazarze kupują turyści, jest fez, w Turcji nie nosi się go od 1925 roku. A przy okazji: tak samo nie pija się jabłkowej herbaty. Nie wiem, jaki geniusz marketingu podsunął ten napój odwiedzającym Stambuł, ale każdy z nich natychmiast się od niego uzależnia. Herbatkę sprzedaje się jednak tylko w sklepach z pamiątkami i w strefie wolnocłowej na lotnisku – uważam, że ktoś musiał w końcu powiedzieć prawdę!

Słowami: „To nakrycie głowy zwane jest kapeluszem”, Atatürk wprowadził kapelusz w życie Turków 27 sierpnia 1925 roku. Jednocześnie tradycyjne style ubierania się zostały zakazane. Europejczycy mogą to pamiętać z *Małego Księcia* de Saint-Exupéry’ego. Planetę tytułowego bohatera (B-612) odkrywa turecki astronom. Przedstawia swoje znalezisko na międzynarodowej konferencji, ale przez fez i wschodnie szaty nikt nie traktuje go poważnie. Po tym, jak turecki dyktator przeprowadza reformę ubioru i każde wszystkim naśladować Europejczyków, ten sam astronom jedzie na konferencję we współczesnym stroju i tym razem publiczność daje się przekonać. Ten znany europejskim czytelnikom fragment *Małego Księcia* jest raczej nierozpoznawalny w Turcji. Z powodu krytyki Atatürka i jego reformy książka była do niedawna dostępna tylko w wersji ocenzurowanej.

Ale dlaczego to zdjęcie z albumu, które odbiło się echem nawet w *Małym Księciu*, jest dla Turcji takie ważne? Dlaczego wybraliśmy Atatürka pokazującego kapelusz zamiast jakiejś fotografii z wojny o niepodległość, która ocaliła naród?

Ten kapelusz jest czymś więcej, niż się wydaje. Niczym fajka René Magritte’a, przedmiot, który Atatürk trzyma w dłoniach, „*n’est pas une chapeau*” [nie jest kapeluszem]. To ilustracyjna miniatura przedstawiająca odłamek ducha Turcji. Tak jak reforma alfabetu symbolizuje porzucenie rozległej przeszłości na rzecz świetlanej przyszłości, podobnie reforma kapeluszu jest znakiem rozdziału religii od państwa.

Osiemnaście osób w różnych częściach Turcji stracono za sprzeciwianie się nowemu prawu, które weszło w życie w 1925 roku. Wielu ludzi uwięziono lub wygnano z kraju. Funkcjonariusze publiczni, dla których kapelusze były obowiązkowym elementem stroju, dostawali specjalne za-

datki na ich zakup. W czasach, gdy zadatek kapeluszowy wynosił osiemdziesiąt lir, bochen chleba kosztował pięć kuruszy, co znaczy, że jeden kapelusz był wart tysiąc sześćset chlebów. W państwach, które przymusowo unowocześniały swoich obywateli, słyszy się tysiące dramatycznych historii o rewolucjach kulturalnych. Ale w przypadku Turcji ciekawe jest to, że starano się przemodelować lud, który do jej obrony ruszył w fezach, turbanach i chustach na głowie; który w tej walce poświęcił swoich synów i córki. Wyobraźcie sobie, że jesteście przymierającymi głodem funkcjonariuszami publicznymi, którzy trzy lata temu wrócili z wojny o Republikę. Podejrzewam, że wasze historie byłyby nie mniej mroczne niż *Szyneł Gogola*. Tak jak literatura rosyjska rzekomo wyszła spod tego płaszcza, tak samo wiele tragicznych absurdów dzisiejszej Turcji wyskoczyło z kapelusza Atatürka. „Odkryte na nowo” albo „wracające do łask” tradycje nigdy nie będą tym samym, czym były wcześniej. Teraz powracają, obarczone nagromadzonym przez lata resentymentem. To dlatego kapelusz znów pojawił się w agendzie Turcji na przełomie lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych – tym razem jako symbol zachodnich wartości jednoczący zwolenniczki Atatürka przeciwko islamskiemu konserwatyzmowi. Te „świeckie ciotki” poznaje się właśnie po nakryciach głowy. W dzisiejszej Turcji przypominają jednak emerytowane rosyjskie urzędniczki, które nawet po rozpadzie ZSRR wciąż obchodzą pierwszomajowe święto – bohaterki przestarzałego projektu społecznego próbujące udowodnić, że ów nadal ma się dobrze.

Turban, strój muzułmański, a wreszcie także chusty zaczęły wracać od lat osiemdziesiątych i w końcu szturmem podbiły tureckie ulice, stając się najjaskrawszym symbolem kryzysu kulturowego. Trzymanej na zdjęciu przez Atatürka fedory nie nosi dziś nikt poza wiekowymi dziadkami na wakacjach. Podczas stypy w Turcji wystawia się przed dom parę butów zmarłego na znak żałoby. Przed drzwiami dzisiejszego kulturalno-społecznego chaosu powinno się moim zdaniem wystawić fedorę.

A tu mamy zdjęcie Mevhibe İnönü, pierwszej Turczynki, która otrzymała prawo jazdy. Powszechnie znano ją w roli żony drugiego człowieka w Republice, „Wodza Narodu” – İsmeta İnönü. Mevhibe-*hanım*^{*****} była tak drobna, że zaskoczyłby was widok ubrań wystawionych w jej willi. İsmet i Mevhibe İnönü mieszkali w Pembe Köşk [Różowej Willi] w Ankarze, gdzie obecnie otwarto ekspozycję upamiętniającą ich życie. Jeśli się tam wybieriecie, zobaczycie sukienki i buciki Mevhibe-*hanım*, niczym wyciągnięte z *Alicji w Krainie Czarów*. Wszystkie te stroje i akcesoria stanowiły w tamtych czasach szczyt mody. Z wywiadu z córką Mevhibe-*hanım* wynika jednak, że pierwszej damie było w nich strasznie niewygodnie, kiedy zakładała je po raz pierwszy, i że wcale nie chciała odsłaniać głowy. W końcu jednak uległa, ponieważ jej obowiązkiem było dawać przykład Turcji. Nie była ani pierwszą, ani ostatnią kobietą, którą społeczny projekt potraktował jak wystawowy manekin. Na całym świecie kobiety ugniata się jak plastelinę, by osiągać polityczne cele. Przykładem odwrotnym do Mevhibe-*hanım* jest obecna pierwsza dama, Emine Erdoğan, która wyznała kiedyś w jednym z wywiadów – choć potem zdementowała tę informację – że brat przemocą zmusił ją do noszenia chusty.

^{*****} *Hanım* – (tur.) tytuł używany w stosunku do kobiet z arystokracji lub wyższych sfer, odpowiednik męskiego *han*; w języku polskim znane są warianty „chanum” i „chan”.

Nie patrzmy na Mevhibe-*hanım* po to, by zdemaskować fałsz tkwiący w przymusowej modernizacji i na tej podstawie krytykować założycieli Republiki. To już ograny chwyt. Nie chodzi też o zdemaskowanie bezwzględności, z jaką tępiiono sprzeciw społeczeństwa wobec tamtych przepisów. Ważniejsze jest dla nas to, że naśladowanie Zachodu i dążenie do nowoczesności

od zawsze polegało na stawianiu kobiet w oknie wystawowym i zmienianiu im ubrań. Te stare fotografie stanowią podstawę do dyskusji o całym kryzysie tożsamości, który się uwidacznia w konflikcie „miniówki kontra hidżaby”. Gorsze od tego sporu jest naiwne przekonanie, że został zażegnany, ponieważ Republiki nie reprezentują ani ciotkowate, świeckie *kadın*, ani nowobogackie *hanım* w strojach od Gucciego i Versace (o tym więcej w kolejnej części książki). Pozwolę sobie przy tej okazji wspomnieć, że słowa *kadın* [kobieta] i *hanım* [dama] mają w dzisiejszej Turcji wydźwięk polityczny. To pierwsze zostawiono ludziom świeckim jako termin niemal erotyczny, bowiem status *hanım* jest przywilejem wyłącznie kobiet w chustach. To oczywiście tylko jedna z niezliczonych sztuczek w repertuarze kraju, który używa kobiet jak dzokerów w grze o realizację projektów społecznych. Jeszcze do tego powrócimy.

4. Wieże z chłopców i dziewczęce orkiestry marszowe

Na pierwszych zdjęciach nowo założonej Republiki, prezentowanych w kolejnych dekadach w bardzo zróżnicowany sposób, widać wieżę – figurę gimnastyczną z ustawionych jeden na drugim chłopców, uformowaną na stadionie z okazji Dnia Młodzieży i Sportu przypadającego na 19 maja. Pomińmy fakt, że rocznica wybuchu tureckiej wojny o niepodległość stała się świętem kultury fizycznej i przywołuje na myśl symbolikę falliczną; zamiast tego spójrzmy na dziewczęta. Są ubrane na biało, tak samo jak chłopcy, i grają na trąbkach, maszerując ulicami miast na wojskową nutę. Ubrana od stóp do głów w nieskazitelną biel młodzież zdecydowanie kroczy ku świetlanej przyszłości, układając przy tym własne ciała w zaprzeczające prawom grawitacji wieże. Kiedy stadiony zapełnią się już uczniami, dziewczęta i chłopcy zaczynają pokaz. Tancerki w szortach ustawiają się na murawie w kształt tureckiej flagi, mapy albo podpisu Atatürka.

Różnice między przeszłością a teraźniejszością ilustruje się często fotografiami kobiet, zwłaszcza gdy mowa o Afganistanie. Dzisiejsze burki zestawiane są z minispódniczkami noszonymi w latach sześćdziesiątych. Podobne porównania dotyczyły Iranu w latach dziewięćdziesiątych. Nie sposób sprawdzić, na ile te zdjęcia ukazują zwyczajnych ludzi tamtych czasów – być może przywilej noszenia krótkich spódnic dotyczył tylko wyższych sfer, tak jak obecnie. Niemniej osadzone na równie fałszywych przesłankach porównanie można skonstruować przy użyciu fotografii z obchodów święta 19 maja w latach czterdziestych. Wraz z nasilaniem się tureckiego konserwatyzmu najpierw nakazano dziewczętom nosić spódnice o długości za kolano, a następnie zamienić spódnice na haremki. Obostrzenia te zapoczątkował pucz w 1980 roku, poza granicami Turcji funkcjonujący jako synonim laicyzacji: to wtedy dziewczynkom nakazano zakładanie do szkoły dłuższych niż dotąd spódnic. Mordująca studentów w salach tortur dyktatura zapełniała stadiony odzianą w śnieżną biel młodzieżą, by zademonstrować „nieśmiertelny czystego umysłu blask”. 19 maja był dawniej świętem szlachetnych ideałów, najczystszej młodzieży i największej sprawności fizycznej. Z czasem jednak zaczęto uznawać go za tak staroświecki, że aby go ożywić, trzeba było zejść do poziomu pokazów tańca brzucha w rytmie muzyki pop. Najbardziej wymownym elementem tej transformacji, który przypadł na pierwsze lata nasilenia się tarć między wartościami świeckimi i konserwatywnymi, był moment, gdy popularność zyskał taniec do remiksu *Marsza na dziesięciolecie Republiki*. Potem przez całe lata grano ten kawałek w klubach, gdzie apolityczni Biali Turcy^{*****} śpiewali i machali do rytmu rękami, dając w ten sposób wyraz świeckim przekonaniom.

^{*****} Biali Turcy (tur. *Beyaz Türkler*) – nazwa używana w Turcji na określenie bogatej, wykształconej klasy o świeckich poglądach, głównie z zachodnich miast; mianem Czarnych Turków (*Siyah Türkler*) okre-

śła się dla kontrastu mniej zamożnych, konserwatywnych muzułmanów, głównie z Anatolii.

Najsmutniejsze jest to, że w obliczu „zagrożenia” islamskim konserwatyżmem to, jak mawiał Kenan Evren, „pokolenie bez ideologii” nie umiało zareagować inaczej, jak tylko desperacko trzymać się przestarzałego święta. Potem, po roku dwutysięcznym, frakcja laicka nie potrafiła już bronić własnego stylu życia znakami innymi niż turecka flaga i twarz Atatürka. Owo wykastrowanie świeckiej retoryki zawdzięczamy puczowi i konstytucji z 1980 roku, która zakazała wszystkich symboli i słów!

5. Brodacz, który powiedział: „To wstyd, to grzech, to okrucieństwo”

W tym miejscu widzimy dwa zdjęcia. Jedno przedstawia twarz mężczyzny z długą ciemną brodą i malującym się na obliczu wyrazem melancholii, drugie – triumfującą młodą pilotkę. Ale zanim wyjaśnię, dlaczego te dwa zdjęcia z 1937 roku wklejono obok siebie do albumu, opowiem wam o pewnym wierszu.

Każdy turecki nastolatek, choćby nie interesował się poezją, zna te słowa:

Teraz odchodzisz
Idź
A twoje oczy
One też odchodzą.

Napisał je sławny „poeta miłosny” Cemal Süreya. Jego nazwisko – Süreyya – zapisuje się po turecku z błędem, ponieważ jedno „y” przegrał w karty! To krotocwilny jegomość znany ze swoich humorystycznych wierszy. Sam mówił tak: „Być może wykształciłem poczucie humoru po to, żeby uniknąć wulgarności. Tak mi się wydaje, gdy wracam myślami do czasów dzieciństwa. [Zrobiłem to po to,] żeby uniknąć upokorzenia. Żeby móc się pośmiać”.

Rozgłosu nie zyskały ani wspomniane upokorzenie, ani poniższy wiersz:

Otworzyłem oczy w wagonie towarowym
Najpierw załadowali nas na ciężarówkę
Pilnowało nas dwóch mężczyzn z karabinami
Potem z oboma żołnierzami załadowali nas do wagonu towarowego
Po kilkudniowej podróży wyrzucili nas w wiosce
Pośród szczekania psów z zamierzchłej przeszłości
Nigdy nie zapomniałem tej podróży, szczekania, policjantów
Być może moja wrażliwość żywi się trochę tymi wrażeniami z dzieciństwa
Moja matka umarła na wygnaniu, mój ojciec umarł na wygnaniu.

Poeta Cemal Süreya przeżył masakrę w Dersim, a następnie padł ofiarą wypędzeń w latach 1937–1938. Opisane przeze mnie zdjęcia brodatego starca i młodej pilotki wiążą się właśnie z tym okresem. Mężczyzna to przywódca powstania alewickich Kurdów, Seyit Rıza. Kobieta na drugiej fotografii to Sabiha Gökçen, którą Republika ogłosiła przywódczynią bombardowania wycelowanego w „buntowników” z prowincji Dersim. Po masakrze, w której zginęło około dwięćdziesięciu tysięcy ludzi, pozostały tylko port lotniczy imienia Sabihy Gökçen po anatolijskiej stronie Stambułu i ostatnie słowa Seyita Rızı: „To wstyd, to grzech, to okrucieństwo”. Miejsce, gdzie pochowano go po powieszeniu, do dziś pozostaje nieznanne. Po wypędzeniach z Dersim na zachodzie Turcji „z nieznanych przyczyn” założono wioski alewickich Kurdów.

Seyit Rıza, najsławniejszy spośród tych, którzy odmówili wbicia się w skrojony przez Republikę mundurek Turka-sunnity, rzekomo powiedział także o ówczesnej władzy: „Nie mogłem znieść waszych kłamstw i to stało się przyczyną moich kłopotów. Nie uklęknąłem przed wami i oby to stało się przyczyną waszych kłopotów”. Sabiha Gökçen, która zrzuciła pierwszą bombę na Dersim, wyznała lata później w wywiadzie: „Nie czuje się żadnej litości, zrzucając bomby na żywe cele. Myśli się tylko o swoim zadaniu, by cel wyśledzić i zaatakować”.

Ostatnie słowa Seyita Rızı do dziś powtarza się w proteście przeciwko przemocy władz. Po śmierci chłopców zabitych podczas zamieszek w parku Gezi właśnie to zdanie najczęściej pojawiało się w mediach społecznościowych: „To wstyd, to grzech, to okrucieństwo”.

Po śmierci Rızı i zdławieniu powstania prowincję Dersim przemianowano na Tunceli^{*****}. Nie uchroniło to przed torturami ludzi, którzy w rubryce „miejsce urodzenia” mieli wpisaną nową nazwę. Jeśli spotkacie w Turcji kogoś, kto mówi o Dersim zamiast o Tunceli, wiedźcie, że hołduje Seyitowi Rızie, nie Sabisze Gökçen. I choć temat w Turcji przycichł, wciąż budzi dużo emocji. W kontrowersyjnym artykule opublikowanym na łamach gazety „Agos” ormiański dziennikarz Hrant Dink sugerował, że Sabiha Gökçen była dzieckiem oszczędzonym z deportacji Ormian. Niektórzy twierdzą, że właśnie ten tekst był przyczyną zamordowania Dinka 19 stycznia 2007 roku. Żeby dziecko ocalone z jednej masakry przyczyniło się do drugiej masakry...? Tak, trudno uwierzyć w tragiczną ironię tej historii.

^{*****} Dersim to nazwa kurdyjska, Tunceli – turecka.

6. Chłopiec ze wsi grający na mandolinie

Długo by wyjaśniać, dlaczego Turcy zwykle nie płaczą nad okropieństwami, nieszczęściami i pełnymi goryczy historiami. Być może to kwestia przyzwyczajenia do takiego stanu rzeczy – umiemy szybko się pozbierać, niełatwo nas zaskoczyć. To piękno najczęściej wyciska z nas łzy. Na przykład ta fotografia z 1940 roku, przedstawiająca chłopca, który wprawdzie jest chudy i w dziurawych butach, ale za to wesoło gra na mandolinie. Jak on poważnie spogląda w obiektyw, jak ładnie się uśmiecha, jak szczerze cieszy się życiem! Czy to dlatego zbiera się nam na płacz, że takie dzieci zawsze spotyka rozczarowanie? Rok 1940: wychudłe wiejskie dzieci o ogolonych głowach i wielkich oczach budują szkoły i sadzą drzewa, czyniąc w kraju cuda, które zbyt szybko przemijają. Przewodzi im człowiek, który zaznajomił Turcję ze światową klasyką literatury, minister edukacji Hasan Âli Yücel. Kim jest ten krzątający się w pośpiechu mężczyzna?

Gdy tylko przyjdzie, odchodzi
Zawsze, zawsze w pośpiechu.

Tak opisał swojego ojca Can Yücel, prawdopodobnie najbardziej wulgarny, acz bez wątplenia genialny turecki poeta. Hasan Âli Yücel stworzył Instytuty Wiejskie, których zamknięcie pozostanie na zawsze bolesnym rozdziałem w historii kraju. Celem tych dobroczynnych placówek było zapewnienie jak najlepszego wykształcenia ubogim dzieciom ze wsi, by one same zostały następnie wiejskimi nauczycielami. Inicjatywa skończyła się po sześciu latach ze względów politycznych. Według niektórych historyków zmiana układu sił w przededniu zimnej wojny uniemożliwiła przetrwanie tego rodzaju szkół, ponieważ wychowywały ludzi o „komunistycznej duszy”. W 1947 roku podzielono Instytuty Wiejskie na osobne szkoły dla dziewcząt i chłopców.

W tym samym roku wydano dekret nakazujący zgromadzenie i spalenie wszystkich przekładów światowej klasyki! W 1948 roku przemianowano Instytuty na zwyczajne szkoły, *de facto* odbierając im ich funkcję. W końcu zlikwidowano je w 1954 roku, pod rządami prawicowej Partii Demokratycznej. Jednak nawet w ciągu marnych sześciu lat skutecznej działalności placówki te zdążyły wychować jedno pokolenie i dlatego Turcja do dziś wspomina je z żalem.

Przejdźmy do pytania, dlaczego zamiast wszystkich dzieci z Instytutów Wiejskich, które grały na skrzypcach, pianinach, trąbkach i harmonijkach, wybrałam właśnie chłopca z mandoliną. To zakrawa na ironię, ale pomimo zlikwidowania Instytutów, gra na mandolinie stała się nienaruszalnym elementem nauki w szkołach podstawowych. Mandolina i śpiew były też nierozdzielnie związane z obchodami Narodowego Dnia Niepodległości i Dnia Dziecka 23 kwietnia. Ale tylko do puczu w 1980 roku. Przewrót sprawił, że zniknęły dawniej rozśpiewane, paradujące z mandolinami dzieci. Ich miejsce zajęły całe pokolenia, którym nakazano grać na plastikowych fujarkach. Po zamachu stanu na lata zatkań nas gwizdkami, a mandoliny nikt od tamtego czasu nie widział.

7. Amerykańska puszka z mlekiem, zdjęcia ślubne w stylu hollywoodzkim i „japońsko-chiński dynks”

Kolejne trzy zdjęcia wydają się niepowiązane, lecz tworzą obraz przeobrażeń w Turcji w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Cała ta historia zaczęła się od puszki z mlekiem podpisanej łamaną turczyzną: „Dla narodu Turcji od narodu Stanów Zjednoczonych Ameryki”. Pod inskrypcją widnieją dwie dłonie w uścisku. Wyglądają tak, jakby jedna z nich ścisnęła drugą mocniej po to, by nie mogła się wyślizgnąć. Według opisu pojemnik zawiera mleko w proszku.

Następna fotografia przedstawia dzieci, drugie pokolenie Republiki: roześmiane, siedzą w szkolnych ławkach, piją mleko z proszku z miedzianych kubeczków. Swoją radość zawdzięczają planowi Marshalla, który objął kraje zniszczone drugą wojną światową, a dzięki politycznym akrobacjom premiera Adnana Menderesa – także Turcję, choć nie brała w wojnie udziału.

Dzieci nie wiedziały, że dwadzieścia pięć lat później słono zapłacą za to wsparcie. Zadośćuczynieniem za poniesione wówczas straty jest stojący w zapomnianej części stolicy „japońsko-chiński dynks”, czyli pomnik weteranów wojny w Korei podarowany Republice przez Koreę Południową dla upamiętnienia poległych tam Turków.

Wojny w Korei prawie się w Turcji nie wspomina, pomimo dumy, z jaką mówimy o wojskowości i bohaterstwie. Uczestnictwo w niej było właśnie ceną słynnego planu Marshalla, z którego jedno pokolenie zapamiętało tylko mleko pite z zatkanym nosem w szkołach. Żołnierze, których wysłano na trzyletnią wojnę w ramach członkostwa Turcji w NATO, padli ofiarą syndromu wietnamskiego – wrócili do kraju z depresją i alkoholizmem, a opinia publiczna milczała na ich temat. Nikt nie chciał słuchać o heroizmie ludzi walczących w cudzej wojnie. Także dlatego, że innym owocem planu Marshalla było zarzucenie rozbudowy kolei na rzecz sieci autostrad, zaś drogami, które wkrótce połączyły cztery końce kraju, najczęściej rozwożono szpule z hollywoodzkimi filmami. Anatolijska publiczność tłoczyła się w nowo postawionych kinach: szkoda czasu na weteranów z Korei, kiedy ma się zacząć projekcja! To właśnie wtedy pojawiła się moda, by fotograf stylizował młode pary na Gretę Garbo i Humphreya Bogarta. Wszyscy zaczęli trochę przypominać wielkie gwiazdy i filmowych amantów. Drogi, którymi Hollywood przyjechało do miasteczek w głębi Anatolii, były też szlakiem pierwszej dużej migracji z prowincji do Ankary i Stambułu.

Opowiedziawszy się w zimnej wojnie zdecydowanie po stronie USA, Turcja szybko oddalała się od postawionego sobie celu „pełnej niezależności” w sferze społecznej i ekonomicznej. Na przykład gotową do rozpoczęcia produkcji fabrykę samolotów w Eskişehir zamknięto na rzecz importowanych maszyn z Ameryki. Choć Partia Demokratyczna powstała w opozycji do opresyjnej polityki z czasów systemu jednopartyjnego, wkrótce zbudowała własny rodzaj autorytaryzmu. Teraz władzę sprawował „lud”. Zgodnie z jego wolą językiem religii przestał być turecki, jak dawniej zarządziły władze, a stał się nim znów arabski, zaś „lud” był wdzięczny z odzyskania wiary. Jednak pewne fakty ukryto przed jego oczami – na przykład to, że premier i potentat ziemski Adnan Menderes odebrał mieszkańcom wsi prawo do posiadania ziemi, a na prośbę USA zatrzymał budowę kolei. Powieściopisarz Kemal Tahir przemiany w Turcji w tamtej dekadzie streścił jednym zdaniem: „Intelektualiści i uczeni zawsze rządzą ludem – a potem nadeszły lata pięćdziesiąte”.

Zdjęcia zrobione podczas pewnej nocy w 1955 roku są w albumie Turcji schowane szczególnie głęboko. Pod wpływem prowokacji prawicowej prorządowej prasy w nocy z 6 na 7 września zaatakowano i splądrowano domy i biura ludności niemuzułmańskiej. Tragikomicznym aspektem tego incydentu był fakt, że o te wywołane nacjonalistyczną polityką rządu ataki obwiniono „komunistów”, co doprowadziło do aresztowania setek działaczy socjalistycznych.

„Intelektualiści i uczeni” czekali na zemstę jakieś dziesięć lat...

8. 555K i lewa pięść

W maju 1950 roku na murach w Ankarze pojawiła się tajemnicza inskrypcja: „555K”.

Co ona oznacza, wiedziała tylko młodzież, która w sekrecie zdążyła przełożyć swoją wściekłość na systematyczne działanie. Chodziło o młodych „intelektualistów i uczonych”, którzy zgromadzili się piątego dnia piątego miesiąca o piątej po południu w dzielnicy Kızılay w Ankarze, żeby zaprotestować przeciwko polityce premiera Adnana Menderesa. Człowiek, który doszedł do władzy, obiecując wolność, miał usłyszeć młodzież skandującą: „Chcemy wolności!”.

Kiedy premier rządu sprowadził w to samo miejsce młodzieżówkę własnej partii, po raz pierwszy z ust demonstrujących popłynął osmański marsz w wersji z przeinaczonymi słowami:

Jak tak być może?
Jak może brat strzelać do brata?
Przekłęci dyktatorzy
Nie odziedziczycie świata!

27 maja 1960 roku, zaledwie dwadzieścia dwa dni po inicjatywie inteligenckiej młodzieży, młodzi oficerowie przejęli władzę.

Na zrobionej 5 maja 1960 roku fotografii wyróżniają się dwie wzniesione lewe pięści. Protestujący używający tego gestu nawiązywali przede wszystkim do wojny o niepodległość, widzieli siebie jako *Kuvâ-yi Milliye* [Siły Narodowe] po raz kolejny pod wodzą „uczonych z ludu”, broniące narodu przed imperializmem^{*****}. Ale te pięści oznaczały coś innego: dla wielu młodych Atatürk i wojna o niepodległość były wciąż istotnymi punktami odniesienia, jednocześnie zaś zaczęto odkrywać marksizm i inne ruchy lewicowe. Przy tym był to również czas stopniowej utraty szacunku do „intelektualistów i uczonych”; czas, kiedy ukuto powiedzenie: „W nadmierne aktywne głowy lęgną się głupie pomysły”...

********* *Kuvâ-yi Milliye* to narodowowyzwoleńcza partyzantka uformowana w odpowiedzi na okupację Imperium Osmańskiego przez ententę po rozejmie w Mudros w 1918 roku; *Kuvâ-yi Milliye* działały oficjalnie do powołania w 1920 roku Wielkiego Zgromadzenia Narodowego Turcji, które włączyło bojowników do swojej armii.

9. Ręce, pięści i niekończący się uścisk dłoni

Trzeciego czerwca 1963 roku w Moskwie pewien mężczyzna wyszedł ze swojego mieszkania na drugim piętrze, udał się do kiosku i sięgnął po gazetę. Ledwie zdążył ją unieść, kiedy jego ręka opadła bezwładnie, a on sam przewrócił się na ziemię. Nâzım Hikmet – gigant poezji tureckiej, którego więziono przez dwanaście lat za pisanie wierszy, zmuszono do ucieczki z kraju, a w końcu ukarano odebraniem obywatelstwa – umarł szybko, godną śmiercią, tak dobrze pasującą do wspaniałości jego życia...

To pewne, że w tym samym czasie w Anatolii dłonie jakiegoś młodego wiejskiego nauczyciela, który literaturę światową poznał za pośrednictwem tłumaczeń wprowadzonych do szkół przez Hasana Âlego Yücela, przepisywały przy świecy zakazane wiersze Nazıma Hikmeta. Były też inne dłonie: chłopców chodzących na uniwersytet w garniturach i pod krawatem, dziewczyn w żakietach i spódnicach, przymierających głodem asystentów badawczych, młodych prawników, młodych rolników... Pierwsze pokolenie wychowanej przez Republikę patriotycznej młodzieży gromadziło się, zawdzięczając to wolności słowa i tworzenia stowarzyszeń, jakie nadała Turkom konstytucja z 1961 roku. Ponad stołami triumfalnie wznoszono pięści w szczerym przekonaniu, że preambuła ustawy zasadniczej niesie ze sobą obietnicę wolności: „Naród turecki niniejszym ogłasza i wprowadza w życie Konstytucję spisaną przez Zgromadzenie Konstytucyjne Republiki Turcji i powierza ją opiece swoich synów i córek, którzy oddani są ideom wolności, sprawiedliwości i uczciwości, w przekonaniu, że podstawowa jej gwarancja spoczywa w sercach i umysłach obywateli”.

Oddani i czujni synowie i córki zaczęli pytać, jak w pełni niepodległy naród ma się opierać na uzależnionej od zagranicy gospodarce, rolnikach bez własnej ziemi i robotnikach żyjących w nieludzkich warunkach. Lewe pięści wznosiły się coraz gęściej, podczas gdy prawe próbowały wyrwać się ze zbyt ciasnego uścisku USA przedstawionego na puszkach z mlekiem w proszku. Ludzie na wsi chcieli ziemi. Górnicy chcieli praw pracowniczych. Studenci chcieli, żeby żołnierze z wietnamską krwią na rękach, którzy w 1968 roku zacumowali w Izmirze, natychmiast opuścili nasze terytorium!

Pod koniec lat sześćdziesiątych wiersze Nazıma Hikmeta wydawano i czytano publicznie, a w 1965 roku swoją premierę miała sztuka Halduna Tanera *Gözlerimi Kaparım, Vazifemi Yaparım* [Zamykam oczy, wypełniam swój obowiązek]. Występuje w niej chór krzyczący: „W nadmiernie aktywnych głowach lęgną się głupie pomysły!”.

Te „nadmiernie aktywne głowy” poprowadziły rolników i studentów do odebrania ziemi potentatom, a organizacje studenckie przeistoczyły w biura polityczne. Dłoń poety, która opadła w Moskwie, uniosła się nad Turcją. Lata sześćdziesiąte były w tym kraju równie poetyckie i legendarne, co w Europie. Świetlana przyszłość rysowała się na horyzoncie... aż do dnia, gdy zrobiono zdjęcie wysokiemu, przystojnemu młodemu mężczyźnie stojącemu pomiędzy dwoma policjantami.

10. Tarzan, filozofia i książka z dziurami

Na długo zanim Johnny Weissmuller zaczął jodłować i huśtać się na lianach jako Tarzan, w lesie obok miasta Manisa w zachodniej Turcji mieszkał pewien mężczyzna. Nosił tylko szorty i nie rozmawiał z nikim, ale dołączał do każdego świątecznego pochodu, przypięwszy sobie do palmowego liścia na piersi medal z wojny o niepodległość.

Czy to filmy naśladowują życie, czy może na odwrót? Mieszkańcy miasta wpadli na pomysł, żeby go nazwać Tarzanem z Manisy, dopiero po obejrzeniu filmu w latach pięćdziesiątych. Naprawdę nazywał się Ahmet Bedevi i niemal w pojedynkę przywrócił do życia okoliczne lasy po tym, jak w czasie wojny spustoszył je ogień. Ludzie do dziś spekulują, w jaki sposób tak szybko wspinał się po górach boso, a w rocznicę jego śmierci urządzają uroczystości pod jego pomnikiem. Ale pewnych pytań nikt nie zadaje. Co takiego ten człowiek widział na wojnie, że całkowicie zanie-mówił? Dlaczego poszedł własnoręcznie zasadzić cały las, nie biorąc nikogo do pomocy? I czy postawiono by mu pomnik, gdyby nie filmy o Tarzanie? Tak czy inaczej, poetycki scenariusz napisany dla Turcji przez realistów, marzycieli i – kto wie? – może nawet filmy skończył się nagle w dniu śmierci Tarzana. Był rok 1963 i zaczęło się prawdziwe życie, którego treść można stre-ścić w zdaniu: „Powszechny triumf proletariatu nie jest utopią, lecz przekonaniem znajdującym oparcie w obiektywizmie”.

W rękach młodzieży pojawiła się pomarańczowa książka: *Principes élémentaires de philosophie* Georges’a Politzera. Od 1966 roku była to święta księga czytanej młodzieży. Słodki wzlot lewicy w latach sześćdziesiątych był jednak co chwila hamowany kolejnymi represjami, co zresztą czyniło ją tylko bardziej upartą. W latach siedemdziesiątych w rękach młodych dało się zobaczyć nową lekturę: „książkę z trzema dziurami”. Pod taką nazwą znana jest w Turcji. Okładka przedstawia slogan *Viva la revolución!* częściowo zakryty przez trzy dziury po kulach, więc w księgarniach prosi się o „książkę z trzema dziurami”[*****](#).

[*****](#) Chodzi o książkę brazylijskiego rewolucjonisty i pisarza marksistowskiego Carlosa Marighellogo zatytułowaną *Minimanual do Guerrilheiro Urbano*, która opisuje metody służące walce przeciw autorytar-nym reżimom i wywołaniu rewolucji.

Głównym tematem dyskusji wśród młodzieży przestają być szczegółowe zagadnienia materia-lizmu dialektycznego, a zaczyna być pytanie, czy zbrojna rewolucja rozpocznie się w miastach i rozszerzy na wieś czy na odwrót.

Około pięćdziesięciu lat po założeniu Republiki „intelektualiści i uczeni” mieli podjąć próbę rewolty. Przeszkodziło im w tym jednak memorandum z 1971 roku. Chciałabym, żebyście zapamiętali Deniza Gezmişa i jego dwóch przyjaciół, Hüseyina İnana i Yusufa Aslana, których wtedy powieszono „ku przestrodze”. To Deniz jest tym przystojnym mężczyzną trzymanym przez dwóch policjantów na kolejnej fotografii. Wiele lat później zobaczymy ją ponownie.

Ta potrójna egzekucja była dla Turcji kamieniem milowym. Państwu wprawdzie zdarzało się prześladować i więzić swoich uczonych, lecz po raz pierwszy za pośrednictwem parlamentu ska-zało kogoś na publiczne powieszenie. Otworzyły się bramy piekieł. Wraz z zabiciem trzech mło-dzieńców krocących tą samą ścieżką co Siły Narodowe Republika w oczach ludu nie była już taka sama. Młodość nagle oznaczała bycie podejrzanym. Postać Atatürka nabrała tego dnia dwóch różnych znaczeń: z jednej strony kojarzył się on z ogółem „antylewicowych” idei, ujed-noliconych, skostniałych i bronionych przez wojsko, z drugiej – z lewicującym patriotyzmem opartym na zasadzie „pełnej niezależności” kraju od innych państw. Dualizm ten uwidoczniał się na ostatniej rozprawie Deniza Gezmişa.

Oskarżyciel powiedział: „Ci mężczyźni nie mówią o Atatürku, oni tylko zakładają kołpak Mu-

stafy Kemala”. Nazwanie Atatürka z imienia i nazwiska i wspomnienie jego futrzanej czapki jest odniesieniem do wcielenia wodza z czasów rewolucji, jeszcze zanim założył Republikę. Prokurator miał zresztą rację: idący na śmierć młodzieńcy unikali odwołań do Atatürka, którego postać została zawłaszczona przez wojsko i stała się symbolem opresyjnego reżimu. Ci mężczyźni zaczęli swoją aktywność polityczną od protestów przeciwko obecności VI Floty Stanów Zjednoczonych w Izmirze – w tym samym porcie, nazywanym w czasach Imperium Smyrną, gdzie podczas greckiej okupacji padły pierwsze strzały w wojnie o niepodległość Turcji. Ta trójka poszła na wojnę tak samo, jak szedł „Mustafa Kemal”. Dla nich nie było różnicy między Mustafą Ke-malem a Che Guevarą. To wielkie, widoczne do dziś pęknięcie w zbiorowej świadomości Tur-ków miało miejsce nad ranem 6 maja 1972 roku w więzieniu Ulucanlar. Według obrońców ska-zanej trójki, gdy ich wieszano, z dziedzianca poderwała się gołębnica. Kraj nadal czeka na jej po-wrót...

11. Chór Dziecięcy z Fatsy, logo Instytutu Mięsa i Ryb, zaświadczenie o wieku kostnym

W Fatsie, maleńkiej miejscowości nad Morzem Czarnym, śpiewają dzieci. Unoszą główki do góry, żeby je było lepiej słyszeć. Jest maj 1980 roku. Zaproszona ze Stambułu inteligencja za-cznie się wkrótce rozpisywać o w pełni demokratycznym i sprawiedliwym życiu, jakie wiedzie się w tym przypominającym komunę miasteczku, które rząd wykorzysta niebawem w roli kozła ofiarnego. Ale na razie inteligencja patrzy i słucha, jak dzieci, śmiejąc się i gestykulując, śpiewa-ją piosenkę:

Poszedłem na rynek, żeby kupić chleb
Powiedzieli, że zdrożał, zmartwiłem się
Oni byli grubi, ja nie rosłem wcale
Co mam zrobić, dokąd pójść
Tam było najtaniej, jak sobie poradzę?

Poszedłem na rynek, żeby znaleźć ludzi
Powiedzieli, że są w ruchu oporu, ucieszyłem się
Robotnicy i chłopci maszerują, ja patrzę
Co mam zrobić, dokąd mam pójść?
Moi ludzie stawiają opór, muszę z nimi iść

Poszedłem na rynek z karabinem w dłoni
Z robotnikami i chłopami szukam grubych brzuchów
Złodzieje uciekają, ja biegnę za nimi
Co mamy zrobić, dokąd mamy pójść?
Ścieżką do władzy musimy razem iść.

Devrimci Yol [Rewolucyjna Ścieżka], najbardziej aktywna organizacja lewicowa w kraju, za po-średnictwem swojego pierwszego burmistrza pokazuje narodowi wypracowany przez siebie wzór zarządzania. W tym samym czasie w innych częściach Anatolii mordowani są lewicujący alewici, ale najbardziej przygnębiające wieści mają dopiero nadejść z Fatsy. Ponieważ właśnie tu najgłośniej słycać odgłosy marszu lewicy, którego dźwięk narastał w całej Turcji przez ostatnią

dekadę. Cała postępową inteligencja pisze o tej wiosce z entuzjazmem. Na przykład socjolog Ünsal Oskay spogląda na Fatsę z perspektywy historii ludzkości i tymi słowami kończy jeden ze swoich artykułów: „W Fatsie zobaczyłem inne społeczeństwo. U mieszkańców tej miejscowości da się zaobserwować cechy, które są bezpowrotnie zatracane w postępującym procesie modernizacji. Fatsa ucieleśnia nadzieję, że pozornie nierozwiązywalne problemy społeczne dają się rozwiązać, jeśli tylko pozwoli się ludziom podejmować decyzje wpływające na ich własne życie. W imieniu epoki, w której żyjemy, chciałbym podziękować ludziom z Fatsy”.

Zaledwie miesiąc później władze organizują nalot na samorząd wioski, oskarżając go o tworzenie „państwa w państwie”. Ludzie w kominiarkach zapędzają wszystkich mieszkańców do budynku Instytutu Mięsa i Ryb, a następnie poddają ich torturom. Nie oszczędzają nawet Chóru Dziecięcego z Fatsy. Nikt jednak nie reaguje z odpowiednim przerażeniem, ponieważ bieg wydarzeń zapoczątkowany trzema egzekucjami w 1972 roku zdążył zaowocować tysiącami aresztowań i śmierci.

Do końca lat siedemdziesiątych polityka spolaryzowała się tak drastycznie, że co najmniej dwadzieścia osób dziennie ginęło w starciach między lewicą a prawicą. Każdy człowiek, nawet najmłodszy, stał się przedmiotem polityki. Każda metropolia była Bejrutem. Dzielnica przeciwko dzielnicy, ulica przeciwko ulicy. Otwarcie wspierane i dozbrajane przez prawicowy rząd faszystowski komanda Szarych Wilków patrolowały ulice, a lewicowe bojówki broniły swoich osiedli każdym możliwym rodzajem broni, jaki udało im się zdobyć. W niektórych prowincjach stan wojenny obowiązywał już wtedy od kilku lat. Zabójstw politycznych dokonywano według zasady „jeden z prawej, jeden z lewej”. Od 1978 roku powtarzały się pogromy alewitów, a w miastach, gdzie miały nastąpić, z niewyjaśnionych przyczyn pojawiali się handlarze losami na amerykańską loterię wizową. Na koniec do małej miejscowości nad Morzem Czarnym wkroczyli wojskowi.

Operacja Punkt w czerwcu 1980 roku była pierwszym sygnałem puczu, który miał nadejść we wrześniu i przyćmić resztę tureckiej historii. Ucichł Chór Dziecięcy z Fatsy, a zabrzmiało zdanie, które zdawało się nie mieć końca: „Lud i terytorium Republiki Turcji stanowią niepodzielną całość... itede, itepe... potrzebujemy teraz narodowej jedności i wspólnoty... itede, itepe”. Generał, którego twarz w kolejnych latach mieliśmy oglądać bez przerwy, wypowiedział te słowa w telewizji rankiem 12 września. W następnych dniach, gdy tylko zniknął z ekranu, w głośnikach rozlegała się ta sama piosenka:

Dęba stanął wodza biały koń
Nad granicę ruszyć nam czas
Dudnią bębny, głęboki ich ton
Nad granicę ruszyć już czas.

Trzeba nam iść, iść już na wojnę
Wiosna najmiłsza jest jesienią
Różane lica podstępem niech wielbią
Wojacy, co ich na wojnę wciąż gna.

Powyższy utwór jest marszem janczarów z ery osmańskiej i nieoficjalnym hymnem puczu z 1980 roku. Teraz już chyba rozumiecie, dlaczego na początku albumu tyle miejsca poświęci-

łam obrazowi Mehmeda Zdobywcy. Z piosenki, która rozbrzmiała zamiast Chóru Dziecięcego z Fatsy, płynie następująca nauka: armia turecka poszła na wojnę i nie może z niej wrócić. Ale wie, że musi okazywać miłość swojej dziewczynie – narodowi – choćby podstępem. Tragikomicznym szczegółem w całej historii jest zaś to, że Hasan Mutlucan, wykonawca utworu, który stał się nieformalnym hymnem puczu, był zadeklarowanym socjalistą. Choć przez lata mówił o swoim sprzeciwie wobec tamtych wydarzeń, całe pokolenia znają go ze ścieżek dźwiękowych do filmów dokumentalnych o zamachu stanu. Podobno zmarł ze zgryzoty. Niestety, jego złamanego serca i milionów innych nie uwzględnia się nawet w statystykach dotyczących łamania praw człowieka w 1980 roku.

Lecz wszystkie nasze złamane serca biją w czyjejs piersi – to pierś stojącego w otwartych drzwiach, odzianego w za duży płaszcz dziecka. Ile ma lat? Matka twierdzi, że szesnaście. Ale dokument, którego wydanie generał Kenan Evren wymusił na Instytucie Medycyny Sądowej, zaświadcza: jego wiek kosztny to osiemnaście lat. Egzekucja Erdala Erena, którego sprawcy puczu „postarzyli”, aby można go było powiesić, była wtedy jedną z pięćdziesięciu podobnych. Zabicie Deniza Gezmişa, Hüseyina İnana i Yusufa Aslana otworzyło bramy piekiel, przez które przegania się wciąż kolejne dzieci.

Mówiono, że Erdal Eren zabił żołnierza, ale jedynym widocznym dowodem przeciwko niemu były inicjały nielegalnej organizacji, które wydrapał na blacie szkolnej ławki. Jego śmierć była jednym z najokrutniejszych przykładów niewyobrażalnej grozy zamachu stanu. Żeby poznać kolejny, musimy odwiedzić inne miasto i przyjrzeć się fotografii, która na pierwszy rzut oka nie ma w sobie nic z okrucieństwa.

12. Słodki piesek Joe i lekcje tureckiego

„Kto okaże skruchę za grzech, jakby grzechu nie popełnił” – te przypisywane Mahometowi słowa widniały u wejścia do więzienia w Diyarbakır, położonego w samym środku regionu kurdyjskiego. Choć oficjalnie pucz miał się wiązać z laicyzacją, ówczesne władze – tak samo jak wiele lat później AKP – nie zdecydowały się na krok w stronę równouprawnienia wszystkich wyznań, lecz potraktowały dominujący w Turcji sunnizm jako czynnik niezbędny do religijnego zjednoczenia. Mimo to Esat Oktay Yıldıran, niesławny naczelnik jeszcze bardziej niesławnego więzienia, krzyczał do kurdyjskich lewicowców: „Tu nie ma Allaha, tu jestem ja!”. Jego stanowisko potwierdzały napisy na używanych do tortur pałkach: „Allaha nie ma w domu, a Prorok jest na wakacjach!”.

Pośród rezydentów Diyarbakır, zwanego czasem „Auschwitz 12 września”, był też owczarek Yıldırana, Joe. Nie dość, że więźniom kazano zwracać się do psa per „komandorze”, to jeszcze odwiedzający osadzonych musieli się u niego zameldować. Joe stał się znaną postacią w historii politycznej Turcji, a z istnienia tych straszliwych kazamatów i przeprowadzania w nich niemożliwych do opisanego tortur zrodziła się zbrojna kurdyjska organizacja separatystyczna – PKK. Zanim odcisnęła piętno na wydarzeniach z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, zmanifestowała swoje narodziny krwawymi atakami w 1984 roku^{*****}. Kurdowie, którzy odmawiali podczas przesłuchań składania zeznań, teraz przemówili głośno, ale nie po turecku. Na ścianach strefy odwiedzin w więzieniu, w którym przebywali tak wiele lat, było bowiem napisane: „Mówcie po turecku, mówcie dużo”. Znając tylko kurdyjski, matki skazańców nie mogły nawet odezwać się do swoich dzieci, które siedziały naprzeciwko w zakrwawionych koszulach. Popularną

anegdotą z tamtego okresu jest opowieść o aresztowaniu kurdyjskiego pisarza i myśliciela Musy Artera za to, że „gwizdał po kurdyjsku”.

***** 15 sierpnia 1984 roku siły PKK zaatakowały placówki wojskowe na południowym wschodzie kraju, rozpoczynając tym samym zbrojne powstanie trwające aż do jednostronnego zawieszenia broni w 1999 roku.

Ciekawostka: pewnego dnia, w 1988 roku, naczelnik więzienia Diyarbakır, Esat Oktay Yıldırım, usłyszał nagle tuż przy uchu: „Człowiek, którego skatowałeś na śmierć, przesyła pozdrowienia”. W głowę Yıldırana oddano pojedynczy strzał z przyłożenia.

Grunt pod krwawe lata dziewięćdziesiąte został przygotowany. Ale chwileczkę! Nie możemy się wcześniej trochę zabawić?

13. Dwóch wásaczy

Gruby wásaty mężczyzna w szortach wita się z żołnierzami. To Turgut Özal, premier wprowadzony na urząd przez puczystów, a jego krótkie spodnie oznaczają, że wreszcie jesteśmy wolni. Czas na zabawę!

Migracja ze wsi do miast w latach pięćdziesiątych przyniosła ze sobą rozkwit kultury *arabesk*. Muzycy tego gatunku, którzy do tej pory chwalili w piosenkach swoje ubóstwo, zaczęli zawodzić jak inny wásacz, piosenkarz İbrahim Tatlıses: „Chcę więcej!”. W końcu „intelektualiści i uczeni” siedzą w więzieniach, premier wymachuje sztandarem gospodarki wolnorynkowej i następuje ogólne rozprężenie. Zawrotną karierę robi zdanie rodem z komiksowych stripów: „Może i jestem wsiurem, ale to ja mam kasę!”. Wszystko, co poprzednie pokolenia uznawały za wulgarne, nowy premier zachwala. W filmie popularyzującym drugi most nad Bosforem jedzie mercedesem i mówi do żony: „Włącz kasetę, Semra, niech nam będzie miło”.

W czasie, gdy Turcja demilitaryzuje się przez zakładanie szortów, w wojskowych więzieniach nadal giną ludzie, którzy głodówką protestują przeciwko przymusowej codziennej recytacji państwowego hymnu. Nadal goli im się głowy i wciska w uniformy, lecz dźwięk tureckiego popu zagłusza ich jęki. Czasy się zmieniają, a do języka na stałe wchodzi słowa *vizyon* i *misyon* [od angielskich *vision* i *mission*]. Nauka staje się synonimem technologii, postęp – rosnącego kapitału, wolność utożsamia się z osobistymi wyborami, a szczęście – z tańcem brzucha.

14. Płaczące dziecko

Z początkiem lat osiemdziesiątych w tureckich domach, samochodach i kawiarniach pojawił się obrazek przedstawiający płaczącego chłopca. Z jakiegoś powodu cały naród niemal obsesyjnie przywiązał się do tej ilustracji. Murat Belge, turecki literaturoznawca, tłumacz, dziennikarz i działacz na rzecz praw człowieka, tak próbował rozwikłać tę zagadkę:

„Co przedstawia ów obrazek? Jako pierwsza nasuwa się odpowiedź: sierotę. To postać wręcz archetypowa w kręgu kultury ludowej. Turcy przejmują się losem sierot, ale jako naród, który czuje się winny wobec swoich dzieci, czynią to w sposób paradoksalny: niby je kochają, ale abstrakcyjnie, „z daleka”. W naszej kulturze miłością obdarza się szczodrze cudze dzieci, uczucie skierowane do nich jest namacalne, ale gdy chodzi o własne potomstwo – pozostajemy w sferze abstrakcji. Płaczące dziecko nigdy nie jest sierotą: należy po trosze do wszystkich (przy czym bardziej kojarzy się z dzieckiem sąsiadów niż z naszym), budząc swoim smutkiem głęboko uśpione w nas wyrzuty sumienia. Popularność wizerunku tego chłopca jest naturalna: przynosi-

my go do domu, żeby uzyskać przebaczenie win, bez konieczności bezpośredniej konfrontacji z jego nędzą. Obrazek niespodziewanie wyciska z nas łzy, które zbywamy słowami: »Zdarza się, ludzki odruch«”.

W latach siedemdziesiątych na tureckich ulicach codziennie ginęły dzieci, a po zamachu stanu nie było dnia, w którym nie umarłby w więzieniu młody człowiek. W tym samym czasie płaczący chłopiec z obrazka robił zawrotną karierę, aż w końcu prawie każda rodzina z klasy średniej miała w domu kopię z jego podobizną. Rzeczywistość, która się pod nią ukrywała, nie miała w sobie jednak nic z sentymentu.

Również w latach siedemdziesiątych coraz większe poparcie zdobywał pewien imam z Izmiru. Nazywał się Fethullah Gülen. Kiedy zbliżał się pucz, a krajem bezustannie targły konflikty, on niósł swoim zwolennikom przesłanie: „Nie zadawajcie pytań. Nie buntujcie się. Kto za dużo pyta, staje się narzędziem diabła”. Wierzył w równowagę i był przeciwny uprawianiu polityki. Według niego zamiast dać się porywać wichrom współczesności, należało wychować nowe pokolenie. Pod koniec dekady pod jego okiem powstały cenione obozy letnie dla chłopców, które koncentrowały się na wychowaniu fizycznym i religijnym, niepostrzeżenie produkując cichych i posłusznych bojówkarzy. Wspólnocie Gülena podobało się, że po puczach wprowadzono do szkół obowiązkowe lekcje religii, zaś Kenan Evren w każdej przemowie odwoływał się do kwestii wiary. Periodyk imama, „Sızıntı”^{*****}, zaczął więc publikować artykuły sławiące „paszę” Evrena, na przykład: „Gdyby wojsko w porę nie wkroczyło, pozostałoby nam tylko ronić łzy rozpaczy!”.

^{*****} Islamski miesięcznik „Sızıntı” (lit. tur. – źródło) założony przez zwolenników Gülena publikowano od lutego 1979 roku do zamknięcia 27 lipca 2016 roku, zaś wersję anglojęzyczną (najpierw w formie dwumiesięcznika, a następnie kwartalnika) zatytułowaną „The Fountain” wydawano od 1993 do 2008 roku.

Nasz zapłakany chłopiec pojawił się na okładce pierwszego numeru „Sızıntı”. Tematem wydania było wezwanie do „ocalenia” przyszłej generacji. Należało wychować „złote pokolenie”: wykształconą młodzież o fundamentalistycznym światopoglądzie i misjonarskich ambicjach. Efekt był taki, że wspólnotę Gülena wspierał każdy prawicowy rząd po 1980 roku, co pozwoliło jej stać się ponadnarodowym ruchem z wpływami w sferze społecznej, gospodarczej i politycznej. Rządy AKP są uzależnione od intelektualnych, ekonomicznych i politycznych osiągnięć „złotego pokolenia”, a także od ich międzynarodowych kontaktów. Pozwolę też sobie dodać, że od czasu puczu nikt nie skontrolował struktury finansowej wspólnoty.

Płaczący chłopiec wyrósł na srogiego, dojrzałego bywalca politycznych salonów. Kto wie? Może miejska legenda o klątwie ciężącej na obrazach Giovanniego Bragolina zawiera w sobie ziarno prawdy...

15. Plastikowy dywanik do modlitwy i buty Mekap

Na początku lat dziewięćdziesiątych przeprowadzałam wywiady z „anatolijskimi tygrysami”, właścicielami małych i średnich przedsiębiorstw działających w środkowej Anatolii, którzy rozruszali krajową gospodarkę. Choć w Turcji jak zwykle panował bałagan, ich twarze wyrażały spokój, a oczy z nadzieją spoglądały w przyszłość. Odwiedziwszy z tuzin takich osób, zdałam sobie sprawę, że u każdego, z kim rozmawiałam, stał drogi regał wypełniony tomami *Encyklopedii Britannica*. Na najwyższej zaś półce leżał plastikowy dywanik do modlitwy – taki, jakiego używa się w meczecie, kiedy zjawi się szczególnie dużo wiernych. Najtańszy! Najbardziej tandetny! Umieszczony w najbardziej widocznym miejscu. Po co ktoś miałby w ten sposób zabu-

rzać wystrój biura? Gdy zadawałam to pytanie, odpowiadały mi tylko sarkastyczne uśmiešky. W końcu pewien człowiek wyjaśnił mi w czym rzecz: „Nikt w naszym kraju nie chce robić z tobą interesów, jeśli nie masz takiego dywanika”. Lata później ekonomiści i socjologowie doszli do wniosku, że w Turcji przedsiębiorcy wykluczeni ze wspólnoty nie mają szans prosperować. Dla mieszkańców Anatolii w latach dziewięćdziesiątych było to oczywiste. Nie wystarczyła sama deklaracja pobożności – należało się z nią obnosić. W tamtych czasach nawet meczety starały się być przepełnione w taki sposób, by jak najbardziej zakłócać ruch uliczny. A gdy owe „niemieszczące się w świątyniach tłumy” stały się w końcu gospodarczą i polityczną potęgą, konflikt między islamskim konserwatyzmem a sekularyzmem zaczął przyćmiewać wszystkie inne. Ale czy na pewno wszystkie?

Oglądając turecką telewizję w latach dziewięćdziesiątych, nie sposób było nie zobaczyć martwych ludzi. Leżeli na ziemi w szarawarach i brudnych żółtych trampkach. To wszystko „teryty”, których „pojmano martwych” w ich „jaskiniach”. A skoro żyją pod ziemią i nie da się ich złapać żywcem, to z całą pewnością nie są ludźmi. Nie żałuj ich, wracaj do obiadu. Moje pokolenie przywykło do rozpoczynania posiłków od widoku martwych ciał na ekranach telewizorów. Członków ruchu kurdyjskiego bez przerwy „pojmovano martwych”, ponieważ od lat osiemdziesiątych „zasadzali się na jedność i nienaruszalność granic kraju”. Nie mieli imion, lecz z niewyjaśnionych przyczyn wszyscy nosili buty znanej marki Mekap.

Mieszkańcy zachodniej Turcji nigdy nie poznali nazwisk ludzi, których Kurdowie czcili i opłakiwali. Pamięć o nich, podobnie jak popularność obrazków z płaczącym chłopcem i plastikowych dywaników, kwitła niezauważona...

16. Czerwone goździki, kreda, skały i kamyki, mercedes oraz gwizdek

Nie przepadam za czerwonymi goździkami. W Turcji nikt ich nie lubi. Czerwone goździki były chyba najczęściej sprzedawanymi kwiatami w latach dziewięćdziesiątych; kupowali je ludzie tłumnie przychodzący na pogrzeby ofiar zabójstw na tle politycznym. Mamy dobry powód, żeby wzdrygać się na widok tych kwiatów. Tamta dekada chyba zawsze będzie przywozić nam na myśl masowe pochówki. Ginęli dziennikarze, naukowcy i postacie publiczne kojarzone z ruchem laicyzacyjnym. W Sivas trzydziestu siedmiu przedstawicieli inteligencji spłonęło żywcem w hotelu podpalonym przez fanatyków religijnych^{*****}. Zgromadzeni w konduktach najczęściej skandowali hasło: „Mułowie do Iranu!”. Lecz „mułowie” nie tylko nie wyjechali: stali się także wpływowymi i poważanymi figurami na politycznej scenie.

^{*****} Chodzi o masakrę w Sivas 2 lipca 1993 roku. Celem ataku miał być rzekomo Aziz Nesin, pisarz i satyryk, który tłumaczył na język turecki *Szatańskie wersety*, jednak udało mu się ująć z życiem. Wśród ofiar śmiertelnych byli głównie alewicy, w tym wielu wybitnych przedstawicieli świata kultury.

Z kolei ludziom, którzy walczyli wówczas pod egidą „płaczącego chłopca”, prawdopodobnie chodziło wyłącznie o wychowanie własnych dzieci w wierze. Nie zainteresował ich los szesnastoletniego dziecka z miejscowości Manisa, które w 1995 roku aresztowano za pisanie kredą na murach „darmowa edukacja”, a następnie torturowano. Krzyk matki jednego z nich na zawsze wrył się w zbiorową pamięć: „Nie zabierajcie go! Jest za młody!”.

Podczas gdy kawałek kredy wystarczał, by zgasić dziecięce życie, piękna pani z prawicy, premier Tansu Çiller, demonstrowała siłę politycznego argumentu, krzycząc: „Prędzej oddamy życie niż choćby jeden kamyk!”. Na podobieństwo Margaret Thatcher w wojnie o Falklandy pre-

mier miała obsesję na punkcie kawałka skały wystającego z Morza Egejskiego^{*****}. Wściekła na wojsko, rzucała w jego kierunku oskarżenia o brak reakcji i tchórzostwo. Wreszcie szukający wytchnienia od grozy wydarzeń rozgrywających się na południowym wschodzie kraju dziennikarze popłynęli szalupami, by zatknąć turecką flagę na zaledwie czterech setnych kilometra kwadratowego morskiej skały.

^{*****} Mowa o Kardak, grupie dwóch bezludnych wysp, które były wtedy obiektem grecko-tureckiego sporu.

Kiedy w meczetach zaczęto propagować nacjonalizm, a w wypowiedziach polityków pojawiła się religijna retoryka, z więzień niewielkimi grupkami wypuszczano ludzi aresztowanych w wyniku puczu. Wracając do zupełnie innej Turcji niż ta, którą znali, bohaterowie lat siedemdziesiątych postrzegani byli dwadzieścia lat później jako przegrani. W efekcie usuwali się w cień i nie angażowali w życie społeczne.

Nikogo nie powinno dziwić, że uroczystości pożegnalne ku czci świeżo wcielonych do armii żołnierzy zmieniły się w tamtym okresie w pełen hysterii rytuał. Turcja była w stanie powszechnej mobilizacji przeciwko „kurdyjskim separatystom”. Ale określenie „wojna domowa” było niedozwolone – to był tylko „konflikt zbrojny o niskim natężeniu”. Wypowiadanie skrótów PKK po kurdyjsku stało się niebezpieczne, a mówienie czy śpiewanie w tym języku groziło śmiercią. W poważnych tarapatkach mógłby się znaleźć nawet ktoś, komu rabatka zakwitła na czerwono, żółto i zielono, czyli w kolorach kurdyjskiej flagi. Było tak, jakby wciśnięcie guzika „wojna” na jakimś symbolicznym pilocie wyciszyło wszystkie inne konflikty w kraju. Paranoja na punkcie separatystów zepchnęła na boczny tor pozostałe tarcia polityczne. Dwunastu młodych więźniów zmarło w wyniku strajku głodowego przeciwko budowie więzień z izolatkami^{*****}. Syndrom wietnamski, który przez lata odciskał się na życiu społecznym, został ponownie przemilczany. Mężczyźni powracający z obowiązkowej służby wojskowej wydawali się „trochę dziwni”, ale gdy próbowali wyjaśniać, jak się czują, słyszeli: „Przecież w Turcji nie ma wojny!”. W tym samym czasie pojawiły się też pierwsze przypadki kobietobójstwa, będące preludium sytuacji, w której takie morderstwa nikogo już nie dziwią.

^{*****} Tak zwane więzienia typu F powstały na mocy prawa antyterrorystycznego z 1991 roku. W przeciwieństwie do zwykłych więzień, gdzie skazani byli słóczeni w wieloosobowych celach, te miały składać się z pomieszczeń jedno- i trzyosobowych oraz całkowicie uniemożliwiać osadzonym kontakt ze współwięźniami. Wspomniany incydent miał miejsce w 1996 roku, podczas próby przetransportowania więźniów do pierwszego zakładu tego typu.

Istniała jednak jeszcze inna Turcja, a najczęściej poruszonym w niej tematem była miłość. Wszyscy mówili o „boomie na muzykę pop”, do głosu doszło „spragnione rozrywki społeczeństwo” i „pokolenie obojętności”. Prywatne stacje telewizyjne transmitowały jeden bezmyślny program za drugim. Kodeks etyczny kraju, który dotąd nie pozwalał „być sytym, gdy inny głoduje”, uległ drastycznemu przewartościowaniu. Cnoty skromności i oszczędności, a także wartości takie jak prostota, solidarność czy umiejętność dzielenia się szybko zostały zastąpione swoimi przeciwieństwami. Za hymn takiej postawy można by uznać dżingiel z ówczesnej reklamy serka topionego: „Smaruj grubo! Zjadaj prędko!”.

28 lutego 1997 roku na ulicach Ankary, w dzielnicy Sincan, pojawiło się wojsko. Powód był oczywisty: należało skorygować konserwatywny muzułmański rząd, który ewidentnie zapomniał o rozdziale religii od władzy. Wydarzenia te przeszły do historii jako „postmodernistyczny pucz” albo „wojskowe memorandum 1997 roku” i były zamachem stanu bez zamachu stanu. Poprze-

dzał go swoisty klimat społeczno-polityczny, który można przybliżyć, przywołując kilka faktów. Jednym z nich był wypadek samochodowy, do którego doszło w miejscowości Sursuluk, kojarzonej do tej pory wyłącznie z produkcją napoju ajran (czyli po prostu jogurtu z wodą). Pasażerowie mercedesa, który wjechał w ciężarówkę, stanowili nader interesującą kompanię. A tworzyli ją: poseł partii rządzącej, komendant policji i były faszystowski bojówkarz z fałszywymi dokumentami. Tym samym wyszły na jaw powiązania między politykami, służbami mundurowymi i zorganizowaną przestępczością. Społeczeństwo zaczęło domagać się śledztwa. Na znak protestu ludzie w całym kraju dokładnie o dwudziestej pierwszej zapalali i gasili latarki oraz światła w mieszkaniach, ale ówczesny premier Necmettin Erbakan nic sobie z tego nie robił. Nie zauważył, że światła gasły i zapalały się także w koszarach.

Innym elementem wpływającym na społeczeństwo Turcji tamtych lat było zetknięcie się po raz pierwszy na większą skalę z grupą wyznaniową Aczmendi. Jej adepci pojawili się najpierw na ulicach, a potem w telewizji. Nosili turbany i długie szaty i wykrzykiwali: „Chcemy szariat!”.

Były też proszone kolacje dla szejków i przywódców sekt organizowane przez premiera Erbakana – przykład szczególnie rażący, ponieważ siedziba prezesa rady ministrów jest jednym z symboli władzy świeckiej. Choć prawo tego zabrania, władza zawsze współpracowała z przywódcami religijnymi, nawet tymi najbardziej reakcyjnymi. Ale żeby przyjmować ich w sercu stolicy? To było nie do pomyślenia! Zdjęcia kolejnych gości Erbakana co chwila trafiały na pierwsze strony gazet.

W styczniu 1997 roku miało miejsce spotkanie wysokich rangą oficerów armii, na którym za najpoważniejsze zagrożenie dla kraju uznano reakcjonizm religijny.

Kroplą przepełniającą czarę stało się dziwaczne widowisko zorganizowane przez zarząd dzielnicy Sincan. Wystawiono sztukę, która jawnie zachwalała dżihad, a jednym z zaproszonych na spektakl gości był ambasador Iranu. Właśnie dlatego miesiąc później do Sincan wjechały czołgi.

28 lutego 1997 roku natychmiast zmienił się układ sił w polityce i społeczeństwie. Wspinających się po drabinie władzy przedstawiciele upolitycznionego islamu ściągnięto z powrotem na ziemię. Doszło do aresztowań, ruszyły procesy. Najbardziej widocznym elementem tarć społecznych był natomiast zakaz wstępu na uczelnię studentkom w chustach. Na uniwersytetach zaczęły się demonstracje. Rządząca islamistyczna Partia Dobrobytu [tur. *Refah Partisi*] została zaskarżona do Sądu Konstytucyjnego i rozwiązana, a premier Necmettin Erbakan ustąpił. Partia socjaldemokratyczna uformowała koalicję z prawicowymi konserwatystami. Nikt wówczas nie przewidywał, że polityczne i prawne represje wobec fundamentalistów zrodzą resentyment, który po latach będzie napędzał niekończącą się wendetę.

6 grudnia 1997 roku na wiecu zorganizowanym gdzieś w Anatolii pewien wysoki islamista wyrecytował wiersz, który na zawsze zmienił bieg tureckiej historii. Na razie jednak kraj żył w nieświadomości, ile będzie musiał wycierpieć.

17. Edi z BBG, islam od Versace, flaga Turcji

Edi jest prawdopodobnie jedynym chrześcijaninem, którego pokochało tak wielu Turków. To zwycięzca pierwszej edycji programu *Biri Bizi Gözetliyor*, czyli „Ktoś Nas Podgląda” [tureckiej wersji *Big Brother* – przyp. tłum.]. Ten wysoki, zadziorny fan drużyny piłkarskiej Fenerbahçe był bez wątpienia najczęstszym tematem rozmów w 2001 roku. Stało się tak dlatego,

że wszyscy zaczęliśmy się nawzajem podglądać. Przełączaliśmy się pomiędzy reality show a relacjami wojennymi na żywo. W tym samym czasie z więzienia wyszedł inny fan Fenerbahçe. Odsiedział cztery z dziesięciu miesięcy, na które został skazany za wyrecytowanie wiersza na wiecu gdzieś w Anatolii i zdążył uzyskać status politycznego bohatera. Większość społeczeństwa kpi jednak z żarówki, którą wybrał na logo swojej partii, a sondaże nie dają mu szans. Turcja nie zna jeszcze nazwiska Recep Tayyip Erdoğan. Tymczasem za kilka lat to jego podobizna będzie na plakatach ze sloganem „Cel: 2023!”, a podglądany dawniej całymi dniami Edi popadnie w zapomnienie.

Premier Recep Tayyip Erdoğan, zwany „wysokim mężczyzną”, „wodzem” lub „szefem”, reprezentuje interesy „anatolijskich tygrysów” z ich wyeksponowanymi plastikowymi dywanikami. Wkracza do polityki jak burza: opowiada o demokracji, łamie tabu dotyczące wypowiadania się publicznie na temat Kurdów, dotyka kwestii związanych z alewitami i, co najważniejsze, obiecuje odseparować wojsko od wpływu na politykę. Nienawidzi, kiedy ktoś używa określenia „umiarkowany islam” – nie wierzy w coś takiego. Gada jak najęty i ciągle robi aluzje do represji, jakie go spotkały za przeczytanie na głos jednego wiersza. Ludzie, nieświadomi faktu, że najwybitniejsi tureccy poeci spędzili w więzieniach całe lata albo ginęli nocami w niewyjaśnionych okolicznościach, wybuchają płaczem na samą myśl o ogromie cierpień, jakie zniósł ten człowiek w imię poezji. Treści utworu nikt nie pamięta. Ludzie są zbyt zaferowani niewyjaśnionym wzrostem gospodarczym. Tymczasem tekst, za który Erdoğan poszedł do więzienia, jasno wykląda jego plany na kolejne lata:

Minarety to nasze bagnety, kopuły są hełmami,
Meczety to nasze baraki, wierni są żołnierzami.
Mojej wiary strzeże Boża armia,
Allahu akbar, Allahu akbar*****.

***** Wiersz autorstwa nacjonalistycznego poety Ziyi Gökalpa nosi tytuł *Asker Duası*. Wersja odczytana przez Erdoğaną różni się od oryginalnego tekstu. Publiczne odczytanie wiersza podczas wiecu uznano za złamanie prawa o rozdziale religii od państwa i podżeganie do nienawiści na tle religijnym. Niniejszy przekład jest tłumaczeniem wersji przytoczonej przez autorkę w wydaniu angielskim.

Świeckie frakcje zaczynają przejawiać niepokój nagłym wkroczeniem religii do sfery polityki: ich przedstawiciele łapią za flagi i wylegają na ulice. Owym zgromadzeniom, nazywanym Wiecami Republikańskimi [tur. *Cumhuriyet Mitingleri*], zostaje przypięta łatka „niepotrzebnych demonstracji poparcia dla wojska i zamachów stanu”. Ich uczestnicy stają się obiektem drwin, a organizatorzy setkami trafiają na ławę oskarżonych, a następnie do specjalnie w tym celu zbudowanych więzień.

Dziesięć lat u władzy zapewnia AKP tak daleko posuniętą dominację, że opozycja z trudem utrzymuje się na powierzchni politycznej egzystencji, podczas gdy rząd na swoją korzyść obraca afery korupcyjne, śmierć robotników, kompromitacje na arenie międzynarodowej i... wszystko inne. Krytyka władzy staje się praktycznie niemożliwa, a najzwyczajszym ludziom zaczyna się wydawać, że są podsłuchiwanymi. Społeczeństwo rozбивa się na zwolenników i przeciwników partii rządzącej, a rząd z premedytacją pogłębia ten podział. „Anatolijskie tygrysy” przeprowadzają się do stambulskich willi nad Bosforem, a Erdoğan zaczyna sobie stawiać pałac na terenie farmy leśnej Atatürk Orman Çiftliği i ogrodu zoologicznego w Ankarze. Tłumy muzułmanów świętują społeczne i polityczne zwycięstwo, kupując sobie chusty od Versace i inwestując w najnowsze

modele samochodów. Popierający AKP biznesmen z dumą mówi dziennikarzom: „Kiedyś nie widywało się w meczecie takich marek butów – Gucci, Armani. Cudowna sprawa”.

I w takim stylu Erdoğan ze swoją AKP sunie w kierunku jednoosobowych rządów. Aż pewnego dnia Turcję obiega wiadomość, że w ramach przebudowy placu Taksim wycięte zostaną trzy drzewa. Historia po raz kolejny niespodziewanie zmienia bieg, gdy w obronie drzew staje cały kraj. I tak docieramy do chwili obecnej...

A skoro jesteśmy przy końcu albumu, pora przypomnieć Panu Turcji, że obiecał nam wyjaśnić, w jaki sposób wszystkie kryzysy w kraju rozwiązują symbole i sztuczki.

Na to Pan Turcja nurkuje w stosie nieposegregowanych fotografii i błyskawicznie wydobywa zdjęcie dwóch chłopców o ogolonych głowach.

– Kim oni są? – pytacie.

– Nikim.

– To o co chodzi?

– Zaraz wam opowiem.

Siedzą na wysepce pośrodku ronda. Mają pięć, może sześć lat. Rozłożyli sobie prowiant na trawie. Nie jest to zwykły piknik – to przyjęcie urodzinowe. Przed chłopcami leży kawałek ciasta z wetkniętą świeczką i pudełko zapalek. Ayvaz i jego przyjaciel cieszą się z tego małego święta i wpatrują w kupione za jedną lirę ciastko, jakby było ze złota. Nie udaje się tylko zapalić świeczki, bo silny wiatr zdmuchuje ogień ze wszystkich zapalek. Ale to im nie psuje zabawy, jasna sprawa: impreza trwa nadal, ze świeczką czy bez. Takie nagranie z miejskiego monitoringu puszczane jest w telewizji „ku pocieszeniu serc”. To jednak nie koniec historii.

Duzi, silni panowie policjanci też widzą dwa skrzaty na rondzie i jadą w ich kierunku. Najpierw zapalają świeczkę. Chłopcy są zaskoczeni, ale nie podejrzliwi. Ayvaz zdmuchuje płomień, wszyscy śmieją się i klaszczą. Dopiero potem następuje chwila prawdy: policja łapie ich za ramiona i wsadza do furgonetki. Pojadą do domu. Kończy się ich przygoda, ale to nadal nie koniec historii.

W wiadomościach pokazują przyjęcie urodzinowe urządzone dla Ayvaza. Przed jego domem stoi stół, a na nim wielki, wyglądający na drogi tort, który sprawia, że wszystko wokół wydaje się jeszcze brzydsze, biedniejsze i bardziej zaniedbane. Ayvaz stoi na baczność z ogoloną głową. Państwo zafundowało mu strzyżenie na urodziny. Ależ z niego teraz żołnierz! Jego kolega z wysepki też tam jest i też przypadła mu w udziale państwowa łysina.

To jasne, że ktoś poza kadrem rzuca polecenia: „Uśmiech! Uśmiechnij się teraz! Zdmuchnij świeczkę! Teraz oklaski! Klaszcz!”. Radosne przyjęcie wyprawione przez ojca-kraj odbywa się zgodnie z planem. Wiadomości zdradzają, że Ayvaz i jego rodzina żyją w skrajnym ubóstwie. Chłopiec jest spięty i zmieszany, lecz wciąż nienaturalnie uśmiechnięty. Jego przyjaciel gdzieś zniknął. W kadr wchodzi inne dzieci i krzyczą: „Wszystkiego najlepszego, Ayaz!”. Nie znają jubilatę, po prostu chcą być na filmie.

Ayvaz wpatruje się w przekraczające jego imię dzieciaki, stłoczone wokół stołu pośrodku biednej dzielnicy. Uśmiecha się do nich, bo musi. Teraz już tylko odgrywa rolę Ayvaza. Już nie ogląda się na kolegę, patrzy głównie do kamery. Żaden z tych chłopców nie przypomina dziecka. Żaden z nich nie wygląda swobodnie z tym przyklejonym do twarzy uśmiechem. Stoją na scenie zbudowanej przez media i dużych, silnych panów policjantów. I bardzo szybko, na naszych

oczach, uczą się grać.

Byli kimś innym, gdy śmiali się i klaskali z własnej woli, nieumiejętnie próbując zapalić świeczkę podczas urządzonych po swojemu urodzin na rondzie. Po pierwsze, mieli włosy. Po drugie, na nikogo się nie oglądali. Nie wykrzywiali się pod dyktando kamer, ani też nie wiedzieli, jak są biedni, dopóki państwo ich nie ogoliło.

I tak Turcja rozwiązała problem z zapałkami na prywatnej imprezie dwójki dzieci. „Cywilny” tort zastąpiono państwowym, spontaniczną radość – wojskową musztrą. Uśmiechnij się teraz! A teraz jedz tort! Rutyna i sztuczność są łatwiejsze w utrzymaniu. Niech Allah ma nasze państwo w opiece!

Te ogolone na łyso dzieci nie są pierwszymi. Tradycja ujednolicania ludzi i usuwania potencjalnie groźnych różnic sięga początków Republiki. Ale i samego Pana Turcję łapano za poły, golono i stawiano na baczność, gdy tylko próbował wyjść z domu, przeżyć przygodę, dojrzeć, zbudować własne „ja”. Według tego samego klucza można by na przykład opisać pucz z 1980 roku, w którego cieniu żyjemy do dziś. Tysiące ludzi upchnięto w więzieniach, ogolono jak Ayvaza, męczono, wciśnięto w jednakowe łachy i musztrowano całymi dniami. Zresztą na wolności nie było inaczej. To z powodu puczu wszyscy mężczyźni mieli do niedawna jednakowo obcięte włosy, ponieważ władze narzuciły fryzjerom obowiązujący wzór fryzury. Nie tylko państwo i armia działają według tego schematu. Wprawdzie wojsko to wojsko, ale cywile cywilami nie są. Większość ujarzmiono tak jak Ayvaza – ich ciała i dusze od dziecka przyzwyczajano do stania na baczność. Ponieważ przy wnętrzu nie da się łatwo majstrować, kryzysy polityczne w Turcji rozwiązuje się ujednolicaniem tego, co na zewnątrz.

Dla kobiet nie robi się wyjątku. Pozwolę sobie przytoczyć pewien cytat: „Chusta pani Unakitan przeszła w ciągu ostatniego półrocza wyraźną ewolucję w kierunku nowoczesnej estetyki. Projektanci mody wysoko punktuja jej gust także dzięki temu, że dobiera kolor chusty pod kolor reszty stroju. Zwracają również uwagę, że jej sposób wiązania jest wzorem »nowej mody chustowej«, szczególnie popularnej wśród młodych kobiet. Chustę związuje się na karku w supeł, który się potem spina szpilką lub agrafką”.

Fragment ten pochodzi z artykułu w dzienniku „Hürriyet” z 2003 roku. To najpoczytniejsza gazeta w Turcji, dająca dobry obraz aktualnej sytuacji w kraju. Pod nagłówkiem „Żona gospodarnego ministra znajduje na siebie pomysł” czytamy radosne wieści o miłym dla oka, nowoczesnym stylu małżonki ministra finansów Kemala Unakitana, Ahsen-*hanım*. Artykuł besza też inne żony ministrów za noszenie się „po staremu”.

Jako przykładna uczennica Ahsen-*hanım* posiadała też umiejętności niezbędne dla „kobiety republikańskiej”, takie jak gra na pianinie i gra w tenisa. Doszło do tego, że publikowano zdjęcia „przed” i „po” zmianie stylu wiązania chusty, jakby dla potwierdzenia: „Patrzcie, jak dobrze się do nas dostosowała!”. Laicka Turcja zdała sobie sprawę, że nieprędko pozbędzie się konserwatywistów, dlatego usilnie próbowała wyróżnić i pochwalić „dostatecznie nowoczesne” islamistki.

Nas jednak najbardziej interesuje hasło wklejone nad cytowanym artykułem, które brzmiało: „Niech nastanie pokój!”. To znaczy: czy nie byłoby cudownie, gdyby starcie postępowości i reakcjonizmu, te ciągłe, osadzone głęboko w historii przepychanki, dało się zakończyć zawiązaniem takiego modnego supła na karku? Przesłanie artykułu jest następujące: „Wszystkie problemy zostałyby rozwiązane, gdybyście tylko zakrywały głowy w taki, a nie inny sposób”.

Mamy takie powiedzenie, którego w innych krajach używa się chyba tylko do zażegnania dziecięcych sporów: „Przeproście się i pocałujcie”. Turcja każdy kryzys rozwiązywała w ten sposób, od początku Republiki ani jeden nie został rzeczywiście załagodzony. Na przykład

członkowie wrogich obozów, którzy przed puczem w 1980 roku mordowali się na ulicach, byli wsadzani do wspólnych cel, a gazety donosiły o tym, jak świetnie się dogadują. Bo przecież ogolone głowy są identyczne na zewnątrz i w środku, a kwestię chusty rozwiąże supełek. Taką samą funkcję spełniał także symboliczny proces przeciwko puczystom, o którym była mowa wcześniej w tym rozdziale. Tymczasem kryzysy wciąż podskórnie ewoluują. Nic się nie zmieniło. Ludzie, którzy zamordowali trzech dwudziestoparolatków po 12 marca 1971 roku i powiesili szesnastolatka po 12 września 1980 roku, są tymi samymi ludźmi, którzy w 2013 roku wystrzelili pocisk z gazem łzawiącym w głowę czternastoletniego Berkina Elvana, a gdy umierał, nazwali go terrorystą.

Dość mam fotografii. Przejdźmy do tej „fajnej” części – do teraźniejszości.

Dzisiaj

„Geografio, czego ode mnie chcesz?”
graffiti w Stambule, 2015 rok

„Witajcie w krainie uzależnienia od bodźców. To zupełnie inny kosmos, który nie jest częścią tego świata”
Engin Geçtan (psychiatra), *Hayat*

İdare et! Czy to przypadek, że w języku tureckim zwroty „radzić sobie” i „patrzeć przez palce” wyraża się tymi samymi słowami? A może z biegiem lat przeżycie i ignorowanie niewygodnych faktów tak bardzo się do siebie zbliżyły, że wystarcza nam jedna fraza na ich opisanie? I dlatego już po raz trzeci śni mi się aresztowanie? W każdym z tych koszmarów odczytują w sądzie moje pamiętniki. Ogarnia mnie wstyd i gniew... Ale przynajmniej przeszła mi już paranoja. Albo po prostu pocieszam się świadomością, że od kilku lat nikt w kraju nie śpi spokojnie. Jeśli paranoja, to zbiorowa. Rankami moi przyjaciele i ja opowiadamy sobie ze śmiechem nasze „wspomnienia z rozpraw”.

Dzisiaj też obudziłam się z podobnymi myślami, dlatego zrobiłam jedyną rzecz, która pomaga mi pozbyć się dręczących zmartwień: poszłam pobiegać. Robię to, odkąd Haruki Murakami zwrócił uwagę, że pisanie powieści jest bardzo szkodliwą dla ciała profesją i pisarze powinni wieść zdrowy tryb życia, na przykład uprawiać jogging. Na razie nie widzę jednoznacznych efektów, takich jak zwiększona sprzedaż moich książek, ale przynajmniej mogę powkurzać znajomych, prawie bez wyjątku zdołowanych stanem kraju.

Biegam na europejskim brzegu Bosforu, między dzielnicami Ortaköy i Bebek. Droga wiedzie pod górę, pnie się od mieszkań klasy średniej do coraz wyższej. Knajpki z *kokoreç* i kebabem stopniowo ustępują miejsca restauracjom ze stekami, kutry rybackie – luksusowym jachtom, kawiarnie – ekskluzywnym nadmorskim bistro. Dlatego nie muszę się martwić, że założyłam legginsy. Człowiek nawet nie zauważa, że takie rzeczy zaprzatają mu głowę. Zastanawiam się, jaki wpływ na zdrowie psychiczne kobiety ma podświadomy lęk, że coś jej się stanie, bo ma na sobie legginsy. Jak to wpływa na jej zdolności umysłowe? Gdyby Turczynki spisały swoje codzienne zmartwienia, rozterki i przemyślenia, lista byłaby chyba równie długa, co ilość miejsc po przecinku w liczbie pi. Jeśli wasza znajomość Turcji ogranicza się do wakacji spędzanych w kąpielówkach i bikini, możecie nas wziąć za paranoiczki, lecz nasze urojenia są uzasadnione, bo znamy historię młodej Didem Yaylalı, która obrazuje codzienność kobiet w Turcji. Może się wam z początku wydawać, że niepotrzebnie zalewam was szczegółami, ale zaufajcie mi – poznacie dzięki temu sporo naszych problemów.

Kobietobójstwo doskonałe

„Była miłą, uroczą dziewczyną. Po prostu nie żyła tak, jak oni by sobie tego życzyli”.

Tak mówi mi o Didem Yaylalı jej przyjaciółka, inżynierka o imieniu Evrim. Słyszę, jak płacze do słuchawki. Zwłoki Didem znaleziono w hotelowym pokoju w 2013 roku. Popełniła samobójstwo. Co pchnęło wesołą rudowłosą aplikantkę sędziowską w ramiona śmierci? Otóż były to legginsy oraz fakt, że chociaż spełniła wszelkie wymagania, aby rozpocząć pracę w zawodzie, Wysoka Rada Sędziów i Prokuratorów (HSYK) nie mianowała jej na stanowisko. To oczywiście za mało, by nazwać tę sprawę morderstwem. Oddajmy więc jeszcze raz głos Evrim, od której dostałam list następującej treści:

Chciałabym przekazać wam historię śmierci Didem Yaylalı, którą w profesjonalny i wyrachowany sposób doprowadzono do samobójstwa. Aż do zeszłego roku Didem była wesołą i pełną życia prawniczką, która na pamięć znała każdą ustawę i zmianę w przepisach. Potem dowiedziała się, że nie mianują jej sędzią – ale nie została też wyrzucona z aplikacji. Z rozmysłem wepchnięto ją w świat kafkowskiego koszmaru, gdzie celowo zaciemniano, komu i w jaki sposób ma przedstawiać swoje racje. Każdy z czcigodnych sędziów Wysokiej Rady, do którego zwracała się o pomoc, odpowiadał – choć nigdy wprost – że powinna zapomnieć o własnych zasadach, uznać wyższość swoich zwierzchników i ukorzyć się przed nimi. Kiedy pewnego dnia wróciłam z pracy, Didem zadała mi pytanie: „Evrım, co to jest konserwatyzm?”. Odpowiedziałam, że to reakcjonizm, i zapytałam, dlaczego chce to wiedzieć. Odparła: „Sędzia z HSYK powiedział mi, że gdybym była konserwatywna, nie spotykałyby mnie te rzeczy”.

W ostatnich miesiącach życia chciała już tylko ocalić swój honor: przepracować jeden dzień jako sędzia, a potem odejść. Nawet na to jej nie pozwolili. Trzymali ją w zawieszeniu. Planowała, że gdy ją tylko wyrzucą, pójdzie na staż adwokacki – więc jej nie wyrzucili. Była uwięziona, z premedytacją wpędzona w ślepą uliczkę. W tym samym czasie rozpatrywano sprawę jej kolegi, który miał być wydany z aplikacji z innych przyczyn. Decyzja zapadła, Nebi wyleciał, ale w sprawie Didem nikt się nawet nie zająknął. I tak jeszcze kilka razy: publikowano nazwiska mianowanych i odrzuconych, a jej nie było na żadnej liście. Skoro nie spełniała wymagań, dlaczego nie kazali jej odejść? Ponieważ wiedzieli, że dla niej byłyby to nagroda.

Tylko dwie osoby z jej roku pojawiły się na pogrzebie. Ci, którzy otrzymali nominacje sędziowskie i prokuratorskie, nie przyszli. Wiedzieli, że prawda i racja była po stronie Didem, ale drżeli o własną przyszłość. Zastraszeni przez konserwatywną większość Rady, zamknęli się na głosy ludzi takich jak ona, domagających się wolności. Didem znała wielu przyszłych sędziów i prokuratorów, zarówno ze swojego rocznika, jak i starszych. Wspólnie imprezowali, powtarzając: „Byle tylko nikt się o tym nie dowiedział”. Ona była niezdolna do takiego fałszu.

Ci wszyscy ludzie popchnęli Didem do samobójstwa; z premedytacją zabili zdolną prawniczkę, ponieważ chcieliby usunąć słowo „wolność” ze słownika. Wiemy, kim są, i wiemy, że są winni.

Tolga Onur, przyjaciel Didem, który także nie został sędzią ze względu na „nie dość konserwatywną” postawę, w taki sposób opisał makiaweliczne morderstwo tej młodej, wykształconej kobiety:

Schemat jest taki, że biorą cię pod lupę i zrobią wszystko, by znaleźć na ciebie jakiś haczyk. Muszą się do czegoś przyczepić, żeby wprowadzić atmosferę lęku. Nieważne, po której stronie stoisz: wystarczy im drobny sygnał, że nie jesteś z nimi, by dobrali ci się do skóry. Przejrzeli więc wszystkie papiery Didem i tam trafili na stare zwolnienie lekarskie. Była w szpitalu z zapaleniem płuc. Dokument miał pieczętkę i numer w rejestrze, ale zapomniał podpisać go lekarz. To wystarczyło, żeby karnie zamrozić jej awans na tydzień przed ogłoszeniem. Sędzia z HSYK powiedział Didem, że musi „zostać konserwatystką”. Nie zrozumiała, więc wyjaśnił: „Bądź roztropna. Sędzia nie może paradować w legginsach”. Była w szoku, bo legginsy nosiła tylko w weekendy. Inny członek Rady zapytał: „Czy to zapalenie płuc nie było przypadkiem spowodowane nadużyciem alkoholu? Masz jakieś problemy osobiste?”.

Słowem, da się bez trudu zabić kobietę parą legginsów i nie zostawić ani śladu. Nawet nie trzeba jej nimi dusić! Liczba morderstw popełnianych na kobietach w Turcji wzrosła drastycznie w ostatniej dekadzie. Można by wręcz pomyśleć, że ktoś wypowiedział Turczynkom wojnę. Co dziennie wstrząsa krajem przynajmniej jedna taka okropna, niezrozumiała zbrodnia. Ale kobieto-bójstwo niewidzialne? To wymagało drobnej zmiany w konstytucji.

W 2010 roku Turcja postanowiła poprawić konstytucję z 1982 roku. Brzmiało to pięknie: mieliśmy wreszcie wprowadzić zmiany do ustawy zasadniczej i „wyciągnąć ją z cienia puczu”. Tak

przynajmniej przedstawiono to rzeszom zwolenników AKP. Choć nie byłyby to pierwsze poprawki, propaganda partii opierała się na sugestii, że Turcja „wreszcie stanie się demokratyczna”. Ziarenkiem prawdy był fakt, że generałowie puczu mieli w końcu zostać osądzeni dzięki usunięciu zapisu o nietykalności sprawców zamachu stanu. Jak wiecie z poprzedniego rozdziału, w rzeczywistości nikt nie stanął przed sądem, ale referendum konstytucyjne poprzedzała atmosfera napięcia i oczekiwania, podsycana zresztą przez AKP. Recep Tayyip Erdoğan, wówczas pełniący funkcję premiera, ciężko pracował na rzecz poprawek, wobec których sprzeciw lub przynajmniej wątpliwości zgłaszały wszystkie pozostałe ugrupowania. Doszło nawet do tego, że publicznie płakał (co robił regularnie przed wszystkimi, bez wyjątku, wyborami). Najgorsze, że jego pokazowe wzruszenie dotyczyło tych samych kwestii, nad którymi łączyli wszyscy działacze na rzecz wolności, równości i sprawiedliwości w Turcji. Pamiętacie Erdala Erena, szesnastolatka powieszonoego dzięki zawyżeniu jego wieku kostnego? Premier łkał, czytając z parlamentarnej mównicy pożegnalny list chłopaka, a także listy innych straconych po 12 września. Czyżbyśmy nie chcieli osądzenia puczystów i rozliczenia katów? Chcieliśmy. Ale w zamian musieliśmy dać Erdoğanowi to, czego pragnął, czyli pozwolić mu na zmianę składu Sądu Konstytucyjnego na taki, który by sprzyjał rządowi. Dobrze byłoby też powstrzymać Radę Stanu przed wtrącaniem się w sprawy gabinetu i, jeśli to tylko możliwe, pozwolić, by to władza nominowała członków Wysokiej Rady Sędziów i Prokuratorów, organu dotychczas niezależnego. Innymi słowy: żeby postawić przed sąd zabójców Erdala Erena, trzeba było wydać wyrok śmierci na Didem Yaylali. Tak właśnie zrobiliśmy.

Rzygać się chce na myśl o tym, co działo się przed referendum. Inteligencja znów się podzieliła, jeszcze bardziej niż po dojściu AKP do władzy. Jedni zwracali uwagę, że poprawki łamią zasadę trójpodziału władzy, drudzy zbywali te słowa krzywymi uśmiechami i przypinali krytykom łatkę „miłośników puczu”. W debacie publicznej królował slogan: „To za mało, ale mówię tak!”, co miało znaczyć, że może zmiany w ustawie zasadniczej są niedoskonałe, ale i tak należy się na nie zgodzić. Rozpowszechnili ten dyskurs poważni liberałowie, podnosząc swoim autorytetem rangę rządowych postulatów. Tym sposobem, dzięki genialnym zabiegom propagandowym, obywatele przegłosowali poprawki do konstytucji, które w innych okolicznościach nie miałyby szans stać się podstawą naszego prawa.

Didem Yaylali nie była jedyną ofiarą. Ludzie bardzo szybko zaczęli udzielać sobie rad przed wejściem do sali rozpraw: „Jeśli nie jesteś jednym z nich, to nigdy nie orzekną na twoją korzyść”. Rodzaj procesu był w tym momencie bez znaczenia.

Partia rządząca, której ordynacja wyborcza zapewniła już pełną kontrolę nad legislatywą i egzekutywą, teraz zyskała wpływ na sądownictwo – ostatnią niezależną władzę w państwie. Jako obcokrajowcy możecie zapytać: „Jak to możliwe? Jak można oszukać cały kraj?”. Moja odpowiedź brzmi: *Gleichschaltung!*

Filozofka polityczna Hannah Arendt stwierdziła [w wywiadzie telewizyjnym z 1964 roku]: „Można powiedzieć, że wśród inteligencji *Gleichschaltung* było zasadą. Ale wśród innych grup już nie. Na zawsze to zapamiętałam: z Niemiec wyjechałam z założeniem, przyjętym oczywiście na wyrost, że nigdy więcej nie będę się już mieszać w żadne inteligenckie historie”.

Gleichschaltung... Osobie niemówiącej po niemiecku trudno to przeczytać, a co dopiero wymówić. A jednak, jeśli się ów koncept zdefiniuje, wiele osób w Turcji powie: „Aha, o to chodzi!”. Termin ten, tłumaczony jako „ujednoczenie”, oznacza powszechne poddanie się klimatowi politycznemu, jakie miało miejsce w Trzeciej Rzeszy, w celu zachowania swojej dotychczasowej pozycji lub znalezienia pracy. Hannah Arendt, która obserwowała to na własne oczy, dodaje,

że ludzie nie ulegali nazistom pod wpływem odgórných nacisków, ale zupełnie dobrowolnie. To dlatego miała ochotę całą inteligencję posłać w diabły. Kto w ostatnich latach miał jakąkolwiek styczność z intelektualistami w Stambule, ten wie, jak to wygląda: literaci bez specjalnych próśb składają donosy, jajogłowi z własnej woli ustawiają się w szeregu, „konkursy w chwaleniu rządu” zaskakują nawet samą władzę. Na szczęście tureckie *Gleichschaltung* to dziś już trochę przebrzmiałe zjawisko, ponieważ ideologiczny i polityczny monopol wspomnianych „ochotników” w drobny mak rozbiły protesty w Gezi. Co nie znaczy, że problem całkiem zniknął.

Znajomy dziennikarz pracujący w Turcji, Nick Ashdown, powiedział mi kiedyś: „Turcja jest jak więzienie”. Myślałam, że chodzi mu o ucisk, łamanie praw czy coś takiego. Ale on miał na myśli inną rzecz: „Tak samo jak w więzieniu: albo dołączasz do politycznego gangu, albo giniesz”. Miał absolutną rację. Jest tylko jeden problem. W inteligenckim świecie Stambułu istnieje jedna duża grupa: Gang Gorliwych, który skwapliwie popiera dowolny aktualnie popularny prąd ideologiczny czy polityczny. Od pierwszego dnia po wygranej AKP gang pracował w pocie czoła, by zarekomendować rządzących jako heroldów demokracji. Jego autorytet podupadł jednak po protestach w Gezi – do tego stopnia, że nawet Neil Faulkner we wstępie do tureckiego wydania swojej książki *A Marxist History of the World* pisze: „Turcja nie wróci do swoich przyzwyczajęń sprzed Taksim. Zaczęła się nowa epoka protestów”.

Jednak w latach poprzedzających Gezi, kiedy AKP była nie tylko u władzy, ale także w modzie, sytuacja nie była taka jednoznaczna. Choć wiele osób bezprawnie aresztowano i skazano w procesach politycznych, duża część pisarzy, dziennikarzy i intelektualistów bała się nie represji, a wykluczenia z kręgu umysłowej arystokracji. Bycie marudą, w czasie gdy inni się świetnie bawią, jest równie straszne w dorosłym życiu, co w dzieciństwie.

W tym kontekście bardzo pouczające były wydarzenia, które miały miejsce po oskarżeniu grupy Çarşı (fanklubu drużyny piłkarskiej Beşiktaş, biorącego udział w protestach) o próbę organizacji zamachu stanu. Sklepikarz Cem Yakışkan, rzecznik fanklubu, wykazał się podczas rozprawy błyskotliwością i odwagą, jakiej zabrakło wielu inteligentom.

– Jesteście oskarżeni o próbę przeprowadzenia puczu – powiedział sędzia. – Co macie na swoją obronę?

– Gdybyśmy byli tak potężni, by przeprowadzić zamach stanu, wolelibyśmy sprawić, że Beşiktaş wygra mistrzostwa! – odparł Cem Yakışkan.

Niewielu przedstawicieli „klasy myślącej” zdobyło się na podobnie jednoznaczną odpowiedź, gdy dziennikarzy, działaczy związkowych, prawników i studentów oskarżano o działalność wywrotową na podstawie fałszywych dowodów. Liczba gotowych do kolaboracji z rządem była boleśnie wysoka. Nie dało się też zignorować komentarzy z zagranicy. Inteligencja międzynarodowa zareagowała na rządy AKP z takim entuzjazmem, jakby od dawna tylko na nie czekała. Wiele osób przekonał fakt, że USA uznały Turcję za wzór do naśladowania dla krajów arabskich. Jedną z nich był Slavoj Žižek. Ponieważ powtarzał on oficjalne stanowisko USA w czasie, gdy setki dziennikarzy, związkowców i aktywistów siedziało w więzieniu z przyczyn politycznych, nie mogłam się powstrzymać od napisania listu otwartego [*****](#):

[*****](#) Pierwotnie list opublikowano na łamach „New Statesman” 17 lutego 2012 roku.

Szanowny Panie Žižek,
jako osoba uważnie śledząca Pański dorobek, czuję się w obowiązku, by do Pana napisać w sprawie komentarzy, jakie wygłosił pan na temat Turcji. Podzielam Pańskie uznanie dla mojego kraju, bo chyba ono kazało Panu powiedzieć: „Jeżeli świat arabski potrzebuje jakiegoś wzoru, to może nim być Turcja”. Jed-

nak nie mogę nie powtórzyć zdania, którym zakończyłam swoje wystąpienie na debatach w Dosze 12 stycznia [tego roku]: „Turcja nie może być wzorem dla świata arabskiego, bo i bez tego ma on dość kłopotów”.

Możliwe, że wie Pan z własnego doświadczenia, iż jednym z najwstrętniejszych aspektów reżimów autorytarnych jest zamienianie pisarzy w półgłówków poprzez zmuszanie ich do ciągłego pisania oczywistości. Na przykład: „Nie powinno się aresztować dziennikarzy”, „Trzymanie nieletnich Kurdów w aresztach to okrucieństwo”, „Gazu łzawiącego nie należy nadużywać, zwłaszcza w zabójczych stężeniach”, „Za trzymanie transparentu z hasłem »darmowa edukacja« nie powinno się spędzać wielu lat w areszcie,” „Nie można wymierzać kary bez prawnego wyroku” itd., itp.

Sama zauważyłam u siebie przerażający spadek IQ, który wynika z powtarzania faktu, że Turcja zamienia się w państwo strachu. Dobrzy obywatele Turcji są już wykończeni bieganiem od jednego sądu do drugiego na procesy polityczne, które mogłyby zainspirować Kafkę do przeredagowania całej swojej twórczości.

To właśnie dlatego mój drogi przyjaciel, dziennikarz Ahmet Şık, broniąc się przed niedorzecznymi zarzutami, cytował Rolanda Barthes’a: „Faszyzm bynajmniej nie zabrania mówić, on zmusza do mówienia”^{*****}. Ahmet i stu trzech innych dziennikarzy spędzili w areszcie rok bez jakiegokolwiek wyroku. Oto najnowszy krzyk mody w tureckim sądownictwie: mętne zarzuty i brak dowodów połączone z miesiącami, a nawet latami pozbawienia wolności. Mając na koncie ponad dziewięć tysięcy skarg do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (dane z 2011 roku), Turcja jest najgorszym recydywistą w dziedzinie łamania wolności słowa.

^{*****} Fragment *Wykładu* Rolanda Barthes’a w przekładzie Tadeusza Komendanta.

Jeśli nie wystarczą te liczby, to musi Pan wiedzieć, że parę dni temu obrońca Ahmeta powiedział sędziom o groźbach prokuratorów. Według nich mowa końcowa może być podstawą do oskarżenia go na mocy prawa antyterrorystycznego. Chyba zgodzi się Pan, że adwokat był słusznie zaniepokojony, ponieważ czterdziestu innych prawników zostało już uwięzionych na podstawie tych samych antyterrorystycznych – i antydemokratycznych – przepisów.

Wiem już, że stracił pan wiarę w Europę, więc może nie zainteresują Pana te dane. Ale słyszałam też, że wciąż inspiruje Pana zew wolności na placu Tahrir. Uważam, że nasi wspólni przyjaciele w Egipcie, Tunezji i Syrii zasługują na coś lepszego niż życie „jak w Turcji”. Ponieważ przez rok mieszkałam w Bejrucie, pisałam o wydarzeniach wokół placu Tahrir, a obecnie pracuję w Tunezji, wydaje mi się, że Turcja mogłaby stawiać sobie za wzór poszanowanie dla ludzkiego życia, jakim charakteryzują się tamte strony.

Moi rodacy, którzy dokonują samospalenia, nigdy nie byli tak sławni jak Mohamed Bouazizi z Tunezji. 22 czerwca 2010 roku dwudziestoletni Erkan Gümüştaş podpalił się na znak protestu przeciwko warunkom panującym w więzieniach. Jestem pewna, że tylko garstka osób w Turcji zna jego nazwisko. W raporcie tureckiego Stowarzyszenia Praw Człowieka został pominięty, więc co dopiero mówić o przebiegu się tej informacji do ogólnokrajowych mediów.

Nasza policja jest nie mniej bezlitosna niż egipska Najwyższa Rada Sił Zbrojnych. Metin Lokumcu, nauczyciel, umarł na zawał serca wywołany działaniem gazu łzawiącego, którego użyto do rozpędzenia demonstracji antyrządowych 31 maja 2011 roku. Jego przyjaciele zostali aresztowani na mocy prawa antyterrorystycznego, gdy chcieli zaprotestować przeciwko brutalności wobec demonstrantów.

Kurdyjskie dzieci, które próbowały zarobić, przemycając papierosy przez górzystą granicę z Irakiem, miały równie mało szczęścia, co młodociane ofiary wojny w Syrii. Ale ich zdjęć nie pokazano w wiadomościach po tym, jak dziewięcioro z nich zginęło na skutek „błędu operacyjnego” w Uludere^{*****}. Nasz premier postanowił zamieść ten incydent pod dywan i ogłosił, że wszelka krytyka jest niesprawiedliwością wobec rządu. W ostatecznym rozrachunku wychodzi na to, że wyższość Turcji sprowadza się do ładniejszych dekoracji i wyższych ocen, jakie przyznaje Międzynarodowy Fundusz Walutowy za reformy gospodarcze.

^{*****} Bombardowanie w Uludere, znane także jako masakra w Roboski albo masakra w Şirnak, miało miejsce 28 grudnia 2011 roku o godzinie 9.37 czasu lokalnego niedaleko granicy turecko-irackiej, nieopo-

dal wioski Uludere w prowincji Şırnak. Tureckie Siły Zbrojne otrzymały informację o zwiększonej aktywności przemytników w regionie na podstawie wiadomości zebranych przez amerykańskie drony dzień przed zdarzeniem. Nagranie zostało zinterpretowane jako aktywność Kurdów związanych z PKK. Dwa samoloty wielozadaniowe F-16 należące do Tureckich Sił Zbrojnych zbombardowały teren. Trzydziestu czterech członków grupy zostało zabitych, trzy osoby przeżyły, dwoje ludzi uciekło do Iraku, jeden mężczyzna, Servet Encü, powrócił do swojej wioski. Z całkowitej liczby zabitych dwadzieścioro ośmioro ludzi należało do jego rodziny. Servet Encü zeznał, że całe pokolenia ludzi w tej wiosce i w sąsiednich osadach trudniły się przemytem ze względu na warunki ekonomiczne, w jakich od lat żyli. Dodał, że aktywność ta była dobrze znana służbom bezpieczeństwa patrolującym granicę. Autorka w liście do Slavojka Žižka podaje, że podczas masakry w Roboski zginęło dziewięcioro dzieci – upublicznione dane mówią o siedemnastu, czasem dwiętnastu nieletnich ofiarach śmiertelnych.

Nie chcę być jedną z tych pisarek, które nie piszą o swoim kraju nic dobrego, wyłącznie obnażając jego grzechy. To nie tylko krzywdzące wobec Turcji, ale też bolesne dla mnie samej. Cierpi emocjonalna więź z moim ukochanym krajem, szczególnie gdy piszę w obcym języku. Pan z pewnością wie, co mam na myśli. Ale boli mnie też, kiedy widzę, że służy Pan międzynarodowemu projektowi marketingowemu, głosząc, że „Turcja może być wzorem dla świata arabskiego”. My, Turcy, zasługujemy na coś lepszego. I Arabowie też.

Pozdrawiam
Ece Temelkuran

Wygląda na to, że inteligencja w kraju i na świecie postanowiła przybić Turcji stempel *Bon pour l'Orient* ^{*****}, uznając, że krajowi Wschodu wystarczy namiastka demokracji. W tym miejscu kończy się wyczerpujące wyjaśnienie przyczyn śmierci Didem Yayılları. Ale powód, dla którego jej znajomi nie przyszli na pogrzeb, jest trochę bardziej skomplikowany. Lepiej załóżcie te nieszczęsne legginsy i przebiegnijcie się ze mną nad Bosforem. Odrobina świeżego powietrza pozwoli wam trochę oczyścić umysł, zanim przejdziemy do „wesołego” tematu „niebycia jednym z nich”.

^{*****} *Bon pour l'Orient* (fr. [wystarczająco] dobre dla Orientu) – stempel przybijany na dyplomach studentów ze Wschodu przez władze francuskich uniwersytetów w czasach Imperium Osmańskiego, sugerujący, że uczniowie ci odebrali gorsze wykształcenie.

My i oni

Na brzegu Bosforu roi się od łódek i, w bogatszych dzielnicach, jachtów. Niektóre z tych ostatnich są obecnie urządzone w stylu osmańskich pałaców. Albo raczej: wedle wyobrażeń o Osmanach, jakie mają ich właściciele lub karmieni turecką telewizją turyści znad Zatoki Perskiej, czyli z mnogością złocień, jedwabiu i strojnych haftów. Niektóre jachty zdobią nawet ubrane w strój osmański kukły – na sam ich widok nawet najbardziej wytrawny żeglarz dostałby choroby morskiej. Turyści najwyraźniej lubią fotografować się z manekinami, którym ktoś dokleił wąsy i wystroił na wzór dawnych paszów. Gdyby znudził się wam widok przybrzeżnych „rekonstrukcji historycznych”, od strony lądu stoi rząd billboardów. (Warto dodać, że mój edytor tekstu nie uznacza słowa „billboard” jako błędu, choć piszę to po turecku. Oto nasz świat: billboardy są tureckie, a Turcy – osmańscy!). Reklamy dzielą się na dwie kategorie: jedne promują produkowane obecnie na potęgę seriale i filmy (o tym później), drugie zaś dotyczą „nowego, lepszego życia”, czyli budowanych właśnie osiedli mieszkalnych. Coraz częściej sprzedaje się je sloganami przekonującymi o „spokoju ducha” w otoczeniu „ludzi takich jak ty”, co wiele mówi na temat naszego narodu. Graffiti, ogłoszenia i wygląd ulic są sekretnym dziennikiem każdego kraju. Jeśli

umie się je rozszyfrować, może się okazać, że ich treść bywa ściśle powiązana z samobójstwem pewnej aplikantki sędziowskiej, młodej, zdrowej kobiety z klasy średniej, która targnęła się na swoje życie, ponieważ nie była „jedną z nich”. Owszem, sektor budowlany stanowi koło ratunkowe nierozwiniętej gospodarki i to dlatego pączkują wokół kompleksy mieszkalne i apartamentowce, ale głębsze przesłanie wszechobecnych reklam jest takie, że „musisz żyć pośród swoich”.

Aby lepiej to zrozumieć, cofnijmy się do wieczoru 22 lipca 2007 roku. AKP właśnie wygrała wybory i premier ma wygłosić jedną ze swoich słynnych mów balkonowych. Odkąd partia doszła do władzy, te powyborcze wystąpienia zdobyły status instytucji, a deklaracje prezesa rady ministrów traktuje się jak proroctwa ważniejsze od wszelkich ustaw. Tego wieczoru, u progu drugiej kadencji rządów AKP, Recep Tayyip Erdoğan staje przed rozwrzeszczanym i rozdygotanym z emocji tłumem i tak się do niego zwraca: „Pokażcie mi swoje flagi. To krew, która je barwi, czyni je flagami. Powiedzmy z tego miejsca całej Turcji: jeden naród, jedna flaga, jedna ojczyzna, jedno państwo!”. Pan Erdoğan może nie wie, ale w oryginale zdanie to brzmiało: *Ein Volk, ein Reich, ein Führer*, i było hasłem ludzi pozwalających żyć tylko podobnym do siebie, a resztę skazujących na zagładę. Zestawcie powyższe frazy z hasłem „Cel: 2023!”, padającym z ust lidera partii opartej na islamskim konserwatyzmie, a łatwo będziecie mogli sobie wyobrazić, co się jeszcze wydarzy.

Tego wieczoru w dalszej części przemówienia Erdoğan wielkodusznie oznajmia, że wyborcy innych partii „także są częścią naszego narodu”, sprowadzając tym samym połowę ludności do roli „przystawki” do głównego dania, czyli Turcji. Dalej dowiadujemy się, że „AKP jest teraz ośrodkiem społeczeństwa!”. Słowom tym towarzyszy przemyślany w najdrobniejszych detalach obraz, na który składają się Erdoğan i jego okryta chustą żona, Emine-*hanım*, oraz stojący obok Abdullah Gül i jego okryta chustą żona, Hayrūnnisa-*hanım*. To jest teraz mediana, to jest wzór tego, co normalne. Jeśli komuś się to nie podoba, jest odstającym, zbędnym elementem, a to oznacza, że wówczas ani państwo, ani naród już do tego człowieka nie należą, jest „innym” – w najlepszym wypadku przystawką!

Po wieczorze wyborczym każdy zaproszony do telewizji komentator mówił tylko o jednym: o pojednaniu społecznym. Biznesmeni, media i politycy, którzy nie popierali AKP, twierdzili, że partia musi pojednać się z pozostałymi frakcjami. Powtarzali: „Mamy nadzieję...”, „Chcielibyśmy...”. W rzeczywistości było to błaganie o litość. Nie da się bowiem wywierać nacisku na przywódcę, którego władza nad społeczeństwem jest tak wielka, że ma po swojej stronie prawie połowę wyborców. Można się tylko przed nim uniąć i modlić, żeby ten „führer” nie postanowił zniszczyć nieprzystających. Błagano jednak na próżno. Zaraz po wyborach AKP zrzuciła maskę ogłady i demokracji. Premier zaczął jednoznacznie definiować, co znaczy „my”, zaś wszystkich stojących po przeciwnej stronie karcic, przyklejając etykietkę „oni”.

W kwestii „onych” pan Erdoğan był w Turcji pionierem. Odkąd wypromował podział na „swoich” i „nie swoich”, naród, w którym kultura współistnienia już przedtem nie była zbyt trwałym elementem życia społecznego, został podzielony. W czasie pierwszej kadencji rządów AKP wydawało się, że rozdźwięk ten dotyczy bycia za lub przeciw laicyzacji. W prasie pojawiły się nawet reklamy osiedli mieszkaniowych gwarantujące „spokój ducha” wierzącym, a „zachodni styl życia” tym, którzy swoje życie wiedli niezależnie od religii.

Wspomniany „spokój ducha” stanowił dla konserwatystów zaszyfrowany przekaz, który dawał do zrozumienia, że jedyną przeszkodą na drodze do błogostanu są wyłącznie „oni”. W ten sposób napędzano bałkanizację przestrzeni życiowej. Gdy tylko premier wchodził na mównicę, stosował następującą retorykę: „Jesteśmy ofiarami. Prześladowali nas. A jednak my, będąc u władzy, tolerujemy ich”.

Jest takie rubaszne powiedzenie: „Kiedy imam pierdnie, wierni pójda o krok dalej”. Ze względu na jego wulgarny charakter, często wygładza się je do wersji: „Jeśli nawet imam tak się zachowuje, to do czego zdolni są wierni?”. Im więcej nasz „imam” mówił o tolerancji i dzielnym znoszeniu przeciwności i trudów, tym bardziej partyjna awangarda, po niej szeregowcy AKP, a wreszcie także zwykli obywatele zaczęli robić wszystko co tylko w mocy, aby usunąć „ich” poza nawias społeczeństwa. Didem Yayıllı była jedną z ofiar tego naporu.

To znany mechanizm, który Fethi Açıkel, politolog, opisał w następujący sposób: „Ideologiczne zwycięstwo [uświęconej ofiary] polega na zdolności do przenoszenia negatywnej energii tłumów (»małej Ameryki«, »Wielkiej Turcji«, »świata tureckiego od Adriatyku po Wielki Mur« itp.) na wyższy poziom polityki i upowszechnieniu optymistycznej wiary, że negatywizm społeczny rozładuje się w dążeniu do wyższego celu. Nagromadzenie »energii opozycyjnej«, wynikające z niezadowolenia społecznego, zostaje opóźnione dzięki obietnicy przyszłego zwycięstwa, [które] tworzy mechanizm sublimacji, obracający tę energię na korzyść wyższego celu. [Uświęcona ofiara] skupia rzesze ubogich wokół jakiegoś na wpół wiarygodnego, na wpół agresywnego *telos* [celu], które przyswajane jest na poziomie duchowym, i zarządza negatywną energią społeczeństwa”.

Od początku swojej kariery politycznej Erdoğan mówił o historycznym i kolektywnym poczuciu bycia ofiarą: „ONI nie traktowali nas poważnie, nie pozwalali nam praktykować wiary, powstrzymywali nasz rozwój, odbierali nam prawa, gardzili nami, poniżali nas”. Zupełnie jakby Turcją od zarania rządził surowy, antyreligijny reżim socjalistyczny i w końcu, jak w hasle Partii Demokratycznej, padło: „Dość! Lud przemówił!”. Premier wieszczył „nową, wielką Turcję” i zupełnie jak w cytowanym wyżej artykule odkładał jej nadejście w czasie, postulując „Cel: 2023!”. Zwiększając i tak już wysoki poziom biedy poprzez politykę drapieżnego kapitalizmu, jednocześnie rozpałał zgromadzone na wiecach tłumy hasłem: „Wy jesteście Turcją, myślcie ambitnie!”.

Ci, którzy w tym obłudnym entuzjazmie dostrzegali patologię i odmawiali bycia jej częścią, teraz również byli „onymi”. Kto się nie dostosował, zostawał sam jak Didem Yayıllı. A jednak to owi „my” zawsze stawiali się w roli ofiar. Zawsze – nawet gdy oskarżano ich o defraudację publicznych pieniędzy na podstawie niezbitych dowodów. Nawet gdy wtrącili do więzień setki osób z przyczyn politycznych i uniemożliwili wyrażenie sprzeciwu w mediach. Gdy za ich przyzwoleniem bito ludzi na śmierć za złamanie postu religijnego. Gdy lira turecka leciała na łeb na szyję względem dolara. Gdy trzystu jeden górników zginęło w katastrofie kopalni zarządzanej przez powiązaną z władzą spółkę. W każdej z tych sytuacji rząd był stroną „skrzywdzoną i prześladowaną”, ofiarą jakiegoś spisku. Status „uświęconej ofiary” zawsze usprawiedliwiał też zemstę.

Kulminacją opisywanych procesów były wydarzenia z 2012 roku, które z dzisiejszej perspektywy wydają się czarną komedią. Na stronach internetowych trzech wielkich przedsiębiorstw mleczarskich pojawił się wówczas następujący komunikat:

Słyszeliśmy, że produkowaliście i rozprowadzaliście niedobre mleko, więc postanowiliśmy wpaść i zoba-

czyć, z kim mamy do czynienia. Nie zrozumcie nas źle: nie uważamy, żebyście byli jedynymi winnymi w tej sprawie. Prawdziwą winę ponoszą ci, którzy podpisali z wami kontrakty, bo dali się nabrać na wasz trefny olejek różany i wasze umiarkowanie islamskie wąsy.

To naturalne, że taki zepsuty rząd produkuje zepsute mleko. Teraz nie macie dokąd uciec. Bo teraz przyszedł czas na Redhack!

PS Tak naprawdę wcale was nie zhakowaliśmy. To, co tu widzicie, ma podłoże czysto psychologiczne!

Do komunikatu dołączone było jeszcze zdjęcie, na którym anonimowi hakerzy pozowali w uśmiechniętych maskach znanych z *V jak vendetta*. Po tej akcji wielu użytkowników mediów społecznościowych publicznie chwaliło Redhack, nazywając ich „Robin Hoodami Turcji”. Możecie pomyśleć, że to przesadna reakcja na zaatakowanie witryn trzech producentów mleka. Nawet dla zorientowanych w aktualnych wydarzeniach Turków nie było to całkiem jasne, dlatego pozwolę sobie objaśnić sytuację.

Wszystko zaczęło się dobrze: od projektu, by milionom uczniów w kraju zapewnić darmowe mleko w szkołach. Przez kilka pierwszych godzin akcji rząd zbierał pochwały. Potem z dwunastu miast nadeszły niepokojące wiadomości. Dzieci zaczęły trafiać do szpitali z objawami zatrucia pokarmowego, a ich liczba rosła tak szybko, że serwisy informacyjne nie nadążały z jej aktualizowaniem. Gdy dziennikarze zwrócili się do władz o potwierdzenie doniesień, któryś z burmistrzów wpadł na błyskotliwą odpowiedź: „Dzieci się nie zatrują, ich stan zdrowia ma podłoże czysto psychologiczne” (stąd właśnie pomysł Redhack na „psychologiczne” zhakowanie firm mleczarskich). Pod koniec pierwszego dnia w szpitalach leżało już tysiąc sto dziewięćdziesięcioro troje dzieci.

Nazajutrz media czekały na jakieś oświadczenie rządu w tej sprawie, przynajmniej odnośnie do stanu zdrowia dzieci, a nie ich kondycji psychicznej. Na scenę wkroczył więc rzecznik rządu i powiedział coś, co jeszcze bardziej wszystkich zszokowało: „Nie mamy do czynienia z zatruciem, lecz prawdopodobnie z przedawkowaniem. Zdarzają się takie przypadki, gdy po raz pierwszy pije się mleko”. W tej krótkiej wypowiedzi zawarło się wystarczająco dużo absurdu, by wywołać falę oburzenia i gorzkich żartów. Ludzie nie mogli się zdecydować, co było bardziej bulwersujące: stwierdzenie, że dzieci „przedawkowały” mleko, czy może fakt, że tysiące dzieci w kraju zetknęło się z nim po raz pierwszy dopiero w szkole.

Podobne do stanowiska rzecznika zdania padały z ust kolejnych ministrów. Jako potencjalny powód hospitalizacji uczniów podawano nawet „nadmierne wygłodzenie”. Na portalach społecznościowych – bo oczywiście nie w prasie – mnożyły się wypowiedzi pełne gniewu, co rządzący błyskawicznie nazwali „nagonką” na swój wspomniały projekt. Minister żywności, rolnictwa i hodowli zwierząt zapowiedział, że „projekt będzie kontynuowany pomimo prowokacji”. Po tym oświadczeniu w internecie pojawiły się żarty, że dziećmi lada dzień zajmie się prokuratura, bo dając się otruć, działały na szkodę rządu, albo że to one powinny zostać zbadane i wyleczone, bo z mlekiem na pewno było wszystko w porządku.

Potem nadszedł drugi dzień realizacji projektu. Można by pomyśleć, że po tym, co zaszło, zostaną podjęte środki ostrożności. Stało się jednak inaczej. Od samego rana znów pojawiły się doniesienia: setki dzieci trafiły do szpitala.

Trzeba być wyjątkowo niesprawiedliwym i wrogim wobec islamu, aby twierdzić, że rząd działał umyślnie. Warto jednak wspomnieć, że na krótko przed rozpoczęciem dystrybucji mleka do szkół Republikańska Partia Ludowa zgłosiła w parlamencie wniosek o ujawnienie standardów, jakie rząd stosował wobec firm realizujących jego projekt. Jak można się domyślić, wniosek ów do dziś pozostaje bez odpowiedzi. Same firmy mleczarskie też nie wygłosiły w tej sprawie żad-

nych oświadczeń.

Przypomina mi się jeden fragment z pełnego emocji przemówienia, które premier Erdoğan wygłosił na spotkaniu z młodzieżówką swojej partii: „Chcę młodego pokolenia, które trwa w religii! Chcę młodzieży, która żywi urazę!”. Najwyraźniej nie chodziło mu o generację, która próbuje go obalić picciem zepsutego mleka.

Dorastanie „młodzieży, która żywi urazę”, pogłębiało przepaść na linii my – oni. Podział nie opierał się już na odrzucaniu bądź popieraniu sekularyzmu, ale na posłuszeństwie wobec rządu lub jego braku. Władzy chodziło o użycie gniewu i resentymentu do przejęcia kontroli nad każdym aspektem życia. Gdyby było inaczej, İhsan Eliaçık, ceniony w kręgach islamistycznych tłumacz Koranu na język turecki, nie zostałby *persona non grata*. Wraz z innymi pisarzami spod znaku upolitycznionego islamu Eliaçık sprzeciwiał się panującej w społeczeństwie „chciwości i bezwzględności”, organizując w czasie ramadanu posiłki dla bezdomnych. Na miejsce wspólnego spożywania *iftar* wybrał schody pięciogwiazdkowego hotelu, w którym świąteczną wieczną jedli zwolennicy AKP. To dało propartyjnej młodzieży pretekst, by wybitnego teologa nazywać „niewiernym”.

Zanim zakończymy tę coraz bardziej przygnębiającą przebieżkę w stylu pani Dalloway, dodam jeszcze parę słów na temat budynków reklamowanych wspomnianymi wcześniej billboardami. Nie są one jedynie pomnikami podziąku na swoich i obcych, ale też symbolami projektu „Nowej Turcji” AKP. Proces, jakiemu poddawane jest obecnie państwo, to nie islamizacja, lecz dubaizacja.

Rząd Republiki uwielbia centra handlowe; nie tylko dlatego, że są one oznakami rozwoju gospodarczego. Władzom wydaje się, że otwarcie nowej galerii w magiczny sposób rozwiązuje nawet najpoważniejsze społeczne i polityczne problemy kraju. W ostatniej dekadzie jak grzyby po deszczu wyrosły w Anatolii świątynie kapitalizmu o błyszczących fasadach i wypełnionych głośną muzyką wnętrzach, a wraz z nimi pojawił się nowy typ człowieka: snujący się pomiędzy sklepami *vouyer*. Gatunek ten niekoniecznie kupuje, ale jego życie wypełnia coś, co można nazwać kontemplacją konsumpcjonizmu. Ponieważ większość społeczeństwa nie może sobie pozwolić na zakupy w galerii, niektórzy chodzą tam tylko po to, żeby choć pośrednio, przez obserwację, uczestniczyć w dobrobycie. Szczególnie młodzież z biednych dzielnic chętnie urządza sobie wycieczki turystyczne w głąb bajkowego życia klasy wyższej. Te miejsca nie tylko odgrywają rolę współczesnej agory (w której nie da się jednak rozmawiać ze względu na głośną muzykę i ciągły zgiełk), ale też dają podzielonemu społeczeństwu poczucie bezpieczeństwa, którego brakuje na coraz bardziej skonserwatywizowanych ulicach. W galerii wszyscy mogą udawać bogaczy – nawet pracujący za minimalne wynagrodzenie kasjerzy. Złudzenie uczestnictwa w konsumpcji daje ludziom poczucie wolności – tak wynikało z wywiadów, które przeprowadziłam z ubogimi bywalcami centrów handlowych. Powstaje nowy człowiek: oniemiały z zachwytu na widok nieprzeliczonych towarów i uzależniony od błyskotek. Zupełnie jak w Dubaju.

Erdoğan i funkcjonariusze AKP wołają jednak nazywać galerie handlowe znakami prosperity. Jeśli nie odwiedzacie tego równoległego świata i nie cieszycie się swobodą kupowania (lub jej iluzją), to chyba coś z wami nie tak. Automatycznie stajecie się wtedy wykluczonymi z życia społecznego autsajderami, co, jak już wiecie, oznacza w najlepszym przypadku niewidzialność, w gorszym – gaz łzawiący. Mówią wam: „Odwiedźcie nasz własny Dubaj! Na miłość boską,

czego jeszcze chcecie?”.

Dubaizacja nie jest oczywiście wynalazkiem tureckim. Tworzenie się tego alternatywnego życia w konserwatywnych społeczeństwach jest powszechne w krajach Zatoki Perskiej. Wspierana przez rząd inwazja tego procesu na Turcję może się na pierwszy rzut oka wydawać zabiegiem dość prymitywnym, lecz w rzeczywistości jest to przejaw przemyślanej inżynierii społecznej. Ma na celu przemienić obywateli w posłuszne istoty, dźwigające na karku brzemię konsumpcji w społeczeństwie opartym na konserwatywnych wartościach. O ile kiedyś Turcja miała stać się „małą Ameryką”, to teraz marzy o byciu „małymi muzułmańskimi Chinami”.

Kolejnym celem dubaizacji jest przegonienie ludzi z przestrzeni publicznej i upchnięcie ich wewnątrz budynków, tak aby życie społeczne i polityczne przestało toczyć się na ulicy. To nie przypadek, że protesty w Gezi zapoczątkowała decyzja o wykarczowaniu drzew pod budowę centrum handlowego na placu Taksim. Gezi było buntem przeciwko projektowi transformacji nie tylko przestrzeni miejskiej, ale też pojedynczego obywatela.

Przed nami jeszcze połowa trasy, zanim dobiegniemy do dzielnicy Bebek. Porozmawiajmy zatem o billboardach stojących od strony lądu, które reklamują państwową telewizję. One także wiążą się ze śmiercią Didem Yayıllı. „Dzisiaj” to bardzo obszerny temat.

„Niech żyje nasz padyszach!”

Z billboardów patrzy na nas wielu Osmanów: od padyszachów, przez paszów, po śmiałych, młodych łobuzów. Są bez wyjątku zadbani, a ich spojrzenia mają taką głębię, jakby mogli zajrzeć do waszej duszy. Pojawiają się też kobiety: te piękne pogrążone są w modlitwie, te brzydkie nie. Każdy z obrazów opisany jest jakimś osobliwym tytułem: *Zmartwychwstanie*, *Punkt zwrotny*, *Zdobywca*... To gigantyczne produkcje państwowej telewizji. Kwintesencja złego gustu i natrętny dydaktyzm zdradzają ich prawdziwą funkcję: nie rozrywkową, lecz edukacyjną. Podobnie jak filmy propagandowe kręcone przy wsparciu Ministerstwa Kultury i Turystyki, seriale te otrzymują dofinansowanie, na jakie nie może liczyć zwykłe kino. Ich celem jest psychologiczne przygotowanie widzów na „Nową Turcję”. Wszystkie promują estetykę wiejskiego konserwatyizmu, demonstrując jej wyższość nad miejskim sekularyzmem klasy średniej. A skoro jesteśmy przy miastach, porozmawiajmy o burmistrzu Ankarę [Melihu Gökçeku] – człowieku owianym legendą tak w kraju, jak i na świecie. Objął on urząd w roku 1994 (!), a jego pierwszym wielkim osiągnięciem było zdemontowanie rzeźby o odsłoniętych piersiach. Zapisał się wtedy w tureckiej historii estetyki zdaniem: „Pluję na taką »sztukę«!”. Kiedy piszę te słowa w 2015 roku, on nadal jest burmistrzem i cierpliwie zastępuje usunięte posągi nowymi. Jednym z jego osobliwych pomysłów było postawienie w jednej z dzielnic figury gigantycznego robota. W obliczu protestów, jakie wywołała ta decyzja, stwierdził: „Każę go usunąć i postawić w tym miejscu dinozaura!”.

Inną pasją burmistrza jest zapełnianie Ankarę zegarami^{*****}. To najnowsza z jego zasług, wśród których wymienić można: rozstawienie w mieście plastikowych rzeźb sportowców, ozdobienie wjazdu do stolicy postaciami z kreskówek, zbudowanie olbrzymiego imbryka i gipsowych wodospadów, wykafelkowanie przejść podziemnych na wzór tureckich łaźni, wdrożenie systemu świateł ulicznych działających wedle tajemnych i niezrozumiałych algorytmów, nieustanne wprowadzanie zmian w ruchu ulicznym i wiele, wiele innych. Dodam jeszcze, że niektóre ze

wspomnianych zegarów mają kształt wielkich zegarków na rękę. Wydaje mi się, że Ankarę można by reklamować turystom jako swoisty gabinet osobliwości. Wycieczka śladami kolejnych wycieczek burmistrza stolicy byłaby z pewnością ciekawsza niż oglądanie bajecznych kominów Kapadocji, a przy okazji stanowiłaby dobre wprowadzenie w zachwiany stan psychiczny Turcji. Turecki kryzys modernizacji został doskonale opisany już w latach pięćdziesiątych w wybitnej powieści Ahmeta Hamdiego Tanpınara *Instytut regulacji zegarów*, skąd pochodzi cytat: „Być realistą to niekoniecznie znaczy widzieć rzeczy dokładnie takimi, jakimi są. Powiedziałbym raczej, że jest to umiejętność przedstawienia sytuacji w najbardziej korzystnym dla nas świetle”^{*****}. Burmistrz Ankary i pozostali członkowie AKP całkiem rozsądnie zauważyli, że najbardziej korzystne jest uszczęśliwianie wodza i niewiele poza tym się liczy. Jeśli tylko wykażą się posłuszeństwem, będą mogli swobodnie realizować swoje najdziwniejsze zachcianki. Muszą jedynie wyregulować własne zegary tak, aby były zsynchronizowane z rytmem, w jakim działa szef partii – tak jak to kiedyś robił Goebbels: „Nie mam sumienia, Führer jest moim sumieniem”^{*****}.

^{*****} W 2012 roku Melih Gökçek zapowiedział, że zamierza uczynić Ankarę miastem z największą liczbą zegarów na świecie. Jak podaje „Hürriyet Daily News” z 29 stycznia 2014 roku, w latach 2013–2014 miasto ogłosiło przetargi na budowę w sumie stu czterech wież zegarowych.

^{*****} W przekładzie Anny Sobczak.

^{*****} Niedokładne odwołanie do słynnych słów Hermanna Göringa: „Nie mam sumienia! Moje sumienie nazywa się Adolf Hitler”.

Wybory samorządowe 30 marca 2014 roku po raz kolejny zakończyły się zwycięstwem AKP, pomimo poprzedzających je wydarzeń. Nie będę się rozpisywać na temat malwersacji na ogromną skalę, o które zostali oskarżeni krewni i znajomi premiera – partia jakimś cudem znów obróciła to na swoją korzyść, robiąc z siebie ofiarę całej nagonki. Skupię się natomiast na śmierci dwójki dzieci.

Ece Su miała pięć lat. Prowadzony przez jej matkę samochód wjeżdżał właśnie na pokład promu, gdy ten odbił od brzegu. Ece Su utonęła. Ludzie, którzy zainteresowali się sprawą i chcieli nadać jej szerszy rozgłos za pośrednictwem Twittera, stali się obiektem agresywnych komentarzy zwolenników rządu. Pojawiły się oskarżenia o „nieczyste pobudki” i „próbę prowokacji”, a nawet stwierdzenie: „Dziewczynka miała białaczkę, i tak by umarła”.

Wiadomość o drugiej śmierci obiegła jednak cały świat. Zmarł piętnastoletni Berkin Elvan, który prawie rok wcześniej zapadł w śpiączkę po tym, jak został trafiony w głowę policyjnym pociskiem z gazem łzawiącym podczas protestu w Gezi. Tłumy ludzi, które po śmierci chłopca wyległy na ulice, by zaprotestować przeciwko popieranej przez rząd brutalności policji, same ją na sobie odczuły. Rodzicom Elvana nie pozwolono nawet na spokojne przeżycie żałoby: premier Erdoğan podjudzał przeciwko nim swój elektorat, nazywając całą rodzinę terrorystami.

Te dwie śmierci miały miejsce jeszcze przed wyborami. Po głosowaniu nadeszła pora na mowę balkonową premiera – w naszej demokracji to już instytucja. Jej sens był mętny i niepokojący. Nagle wódz wypalił: „Jesteśmy w stanie wojny z Syrią”. Nie mieliśmy jednak czasu na przetrwanie tej, nowej dla nas, wiadomości, bo Erdoğan parł naprzód: twierdził, że wszyscy „spiskowcy” zostaną „dorwani w swoich norach”, i wzywał obywateli do pełnej mobilizacji – nie przeciwko Syrii, a przeciwko swoim wrogom. Tłumy słuchające przemówienia odpowiadały na każdą nienawistną deklarację rozentuzjasmowanym okrzykiem: „Niech żyje nasz padyaszach!”.

Ogłoszone dwa dni później wyniki wyborów lokalnych były dość niejednoznaczne, pojawiło się wiele poważnych zarzutów o nadużycia. Niektórzy przeciwnicy AKP wypowiadali się w szczególnie sarkastycznym tonie („Nie organizujemy więcej wyborów, to wyrzucanie pieniędzy w błoto”), a cała Turcja zrozumiała wreszcie przypisywane Stalinowi słowa: „Nieważne, kto głośuje; ważne, kto liczy głosy”. W państwie, w którym władza jawnie naginała prawo, a sądy były jej całkowicie podporządkowane, ostatnim bastionem wolności stała się ulica. O ile tylko komus nie przeszkadzał gaz łzawiący.

Tymczasem wojujący zwolennicy AKP, którzy nieco przycichli na czas skandalu korupcyjnego, po ogłoszeniu zwycięstwa w głosowaniu (a przed podaniem oficjalnych wyników) natychmiast odzyskali werwę. Wystarczyły dwa dni, a na ulicach i w mediach społecznościowych zaroilo się od ludzi przekonanych, że kto nie należy do ich obozu, musi zostać zniszczony. Coraz więcej osób po stronie opozycji głośno zadawało niewypowiedziane dotąd pytanie: „Czy ktoś tu aby nie przygotowuje gruntu pod wojnę domową?”.

Kiedy nad Turcją zawisła ta ciemna chmura rozpacz, zapowiadająca zanik moralności, sprawiedliwości i jakiegokolwiek płaszczyzny porozumienia, internet obiegrała wiadomość zupełnie niezwiązana z polityką. Trzypółletni Pamir zniknął z domu podczas popołudniowej drzemki. Użytkownicy Twittera zareagowali lękiem, jakby cała Turcja chciała powiedzieć: „Nie damy rady pochować kolejnego dziecka!”.

Nie minęło jednak wiele czasu, a pojawiły się głosy ludzi podających się za sympatyków AKP. „To spisek”, twierdzili. „Oni używają jakiegoś alewickiego dziecka, żeby wywołać kolejne zamieszki”. Krewni Pamira stali się adresatami pełnych wrogości komunikatów. W odpowiedzi ludzie zaangażowani w poszukiwania chłopca powtarzali pytanie, nad którym głowili się już Freud, Adorno i Arendt: „Skąd w ludziach tyle zła?”. Nie chodziło przecież tylko o skorumpowanych ministrów, możliwość sfałszowania wyborów ani procesy polityczne mające na celu eliminację głosów sprzeciwu – każdego interesującego się bieżącymi wydarzeniami mieszkańca kraju musiało nurtować, kiedy się skończy ten karnawał nienawiści.

Premier przemianował dawne „przystawki do Turcji” na „męty społeczne” i zażądał od swoich mściwych zwolenników, by „robili co w ich mocy”. Każdy, kto był świadkiem tego, jak rozszalały, wściekły tłum wrzeszczy: „Niech żyje nasz padyszach!”, szybko uczył się regulować swój zegar. Samorządy lokalne, stacje telewizyjne, prasa i zwykli obywatele wiedzieli, że nie należy kwestionować pretensji szefa rządu do tego tytułu. Lepiej dostroić odbiorniki do właściwej częstotliwości, żeby nie przegapić przepowiadanego przez seriale nadejścia sułtanatu. Tymczasem ludzie podobni do Didem Yaylahi gapili się na te zegary i telewizory w bolesnym zdumieniu, zadając sobie odwieczne pytanie: „Skąd w ludziach tyle zła?”.

Jeśli nie macie jeszcze dość, pokontemplujcie przez chwilę te słowa: bolesne zdumienie. Jest to uczucie, które w Turcji znamy aż za dobrze, choć nie rozmawiamy o nim dostatecznie dużo.

Rok 1941,

22 czerwca.

Iwan nigdy w życiu z nikim nie walczył

(nawet z pocziwym, lecz drażliwym

Ormianinem Sagamianem),

nie dlatego, że się bał,

po prostu miłował pokój.

Nie życzył źle ludziom z żadnego narodu.

Iwan miał tylko jedną słabość:

łatwo go było zadziwić, niczym dziecko.

Zadziwiły go i zabolaly

rządy Hitlera w Niemczech. „Chociaż zdradzili socjaldemokratów,

potomkowie Marksa i Engelsa, Beethovena i Schillera,

proletariat, nasi komunistyczni towarzysze i Thälmann

z pewnością go obalą”,

pomyślał Iwan.

Hitlera nie obalono.

Iwan był jeszcze bardziej zadziwiony i zbolaly.

Nâzım Hikmet, *Ludzka panorama z mojego kraju* (fragment)

Od zarania dziejów we wszystkich językach świata powtarza się pytanie o to, jak stworzyć ustrój, w którym ludziom będzie się żyło lepiej. Za walką o taki model kryją się miliony śmierci i zniszczonych żyć, od powieszonoego Szejka Bedreddina^{*****}, przez zmarłego w niejasnych okolicznościach Mustafę Suphiego^{*****}, aż po nastoletniego Berkina Elvana, który zginął od pocisku z gazem wystrzelonego przez „niezidentyfikowanego funkcjonariusza policji”. A my wciąż dziecinnie pytamy: „Jak ludzie mogą wybierać ucisk zamiast oporu?” albo: „Jak można czcić swojego oprawcę i mu służyć?”. Gdyby tylko umieć automatycznie odpierać ciosy, na ucisk automatycznie reagować oporem... Piękne marzenie – zbyt piękne, by mogło się ziścić.

^{*****} Szejk Bedreddin (1359–1420) – teolog muzułmański, przywódca powstania przeciwko sułtanowi Mehmedowi I. Poeta Nâzım Hikmet był więziony za rozpowszechnianie prac Bedreddina, poświęcił mu też poemat *O szejchu Bedrettinie, synu kadiego z Simavny*.

^{*****} Mustafa Suphi (1882–1921) – działacz komunistyczny, lider Tureckiej Partii Komunistycznej (tur. *Türkiye Komünist Partisi*), zamordowany najprawdopodobniej z przyczyn politycznych, choć do dziś nie jest jasne na czyje zlecenie.

Jakim cudem premier pozostawał wciąż potężny i niepokonany? Jeden z internautów głowiących się nad tą zagadką, niejaki Ozan Tüzün, dokonał w 2013 roku pewnego odkrycia. Może się przydać, jeśli waszym krajem także rządzi przywódca, który doprowadza obywateli do szału. Tüzün przeanalizował sposób działania Erdoğan'a i znalazł w nim pewną metodę. Pozwala ona przywdziać maskę niewinności i zakryć nią popełniane zbrodnie, a także przekonać tłumy o ponoszonej krzywdzie, w istocie dzierżąc pełnię władzy.

Tayyip Erdoğan stworzył i przez lata praktyki udoskonalił algorytm, do którego odwołuje się w odpowiedzi na każde pytanie. Jako absolwent studiów w dziedzinie komunikacji postanowiłem go rozpracować. Algorytm ten składa się z ośmiu kroków i jeśli dać [Erdoğanowi] wystarczająco dużo czasu, przejdzie przez wszystkie etapy po kolei, zaś w przypadku pośpiechu użyje tylko kilku (z reguły pierwszego, trzeciego i szóstego).

Wyjaśnię to na przykładzie. Cofnijmy się do dzieciństwa Erdoğan'a i wyobraźmy sobie, że zbił wazon, gdy został sam w domu. Jego matka wraca i widzi potłuczone naczynie.

– Tayyip, czy to ty zbiłeś wazon? – pyta.

Krok pierwszy: zmienić dyskurs wokół przewinienia w taki sposób, aby występek przestał nim być i wydał się czymś dobrym:

– Nie zbiłem wazonu, tylko podzieliłem go na kawałki, żeby łatwiej się go przestawiało.

Rzeczywiste przykłady:

„Nie niszczyliśmy drzew, tylko je wykopujemy i przenosimy”.
„Nie zakazujemy alkoholu, tylko regulujemy jego spożycie”.

Krok drugi: przekonywać, że jest się ostatnią osobą, która mogłaby dopuścić się danej niegodziwości:

– Czemu miałbym niszczyć wazon? Ja sam jestem wazonem. Najwazońszym z wazonów! Kiedy ten wazon trafił do naszego domu, na własnych barkach wniósłem go na czwarte piętro. Musiałem pokonać dokładnie dziewięćdziesiąt osiem stopni. To ja zaproponowałem, by schować go w składziku, żeby nie zniszczyło go słońce. To również ja go zakryłem, gdy przyszli koledzy, aby nikt z zazdrości nie obrzucił go złym okiem. Sama widzisz, że jestem największym przyjacielem wazonu i nie miałbym powodu, aby źle mu życzyć.

Rzeczywiste przykłady:

„Dlaczego mielibyśmy chcieć ścinać drzewa, skoro posadziliśmy ich dokładnie trzy kwadryliony?”.

„Czemu mielibyśmy wywierać naciski na sędziów, skoro zbudowaliśmy im największe sądy w Turcji, najnowocześniejsze budynki w historii Republiki?”.

Krok trzeci: zakwestionować wagę bieżącej sprawy, doprowadzić do uznania problemu za stan normalny, a wreszcie wyjaśnić na przykładach, że mogłoby być dużo gorzej:

– Poza tym nie rozumiem, czemu robisz taką aferę z pokawałkowania wazonu. To przestarzała dekoracja używana głównie w krajach postkomunistycznych. Widziałas kiedyś, żeby Amerykanie czy Anglicy trzymali u siebie wazon? Widziałas je kiedyś w filmach? Albo w nowoczesnych mieszkaniach? To są w najlepszym wypadku jakieś barokowe śmieci z Rumunii Ceaușescu lub z ukraińskich obwodów, które się nie pozbierały po socjalizmie. Czy jest dla nich miejsce we współczesnym świecie? Nie, a twoja reakcja jest niezrozumiała. Moim zdaniem od dawna zapowiadało się podzielenie wazonu.

Rzeczywisty przykład:

„Nie tylko u nas obowiązują regulacje dotyczące spożycia alkoholu. Wydaje wam się, że to nasz wynalazek? Popatrzcie na Skandynawię, Francję, Anglię – przepisy mają o stokroć surowsze. W porównaniu z nimi nasze zasady są całkiem łagodne”.

Krok czwarty: zniszczyć przeciwnika czułością i dobrym wychowaniem. Wyjaśnić, że nie popełniło się przewinienia, kiedy się miało ku temu okazję:

– Teraz przychodzisz stawiać mi zarzuty, a przecież już dwadzieścia razy mogłem zbić ten wazon. Codziennie zostawałem z nim w domu sam na sam. Skoro niby jestem wobec niego tak wrogo nastawiony, to czemu nie zbiłem go wcześniej? Mogłem to zrobić, mogłem sprawić, że zniknie na zawsze, ale tego nie zrobiłem. I to pomimo faktu, że w większości spraw się z wazonem nie zgadzam. Nie zbiłem go, bo szanuję twoje zdanie. Ludzkie prawo do lubienia wazonu jest dla mnie świętością. Sam go kocham nie dlatego, że jest wazonem, ale dlatego, że jest dziełem Stwórcy. Osobiście ręczę za bezpieczeństwo każdego wazonu w tym domu.

Rzeczywistych przykładów tego kroku dostarcza nie tylko sam Erdoğan, ale też cała partia. Do najnowszych należą:

„Mogliśmy odciąć wam dostęp do internetu podczas protestów w Gezi, ale tego nie zrobiliśmy” oraz słowa burmistrza Gökçeka: „Gdyby nie to, że wierzymy w demokrację, zadusilibyśmy was na miejscu”.

Krok piąty: nigdy nie unikać odpowiedzi na pytanie. Zamiast tego dopuścić możliwość, że zarzuty są prawdziwe, i wykazać się odpowiedzialną reakcją:

– Założmy, że to prawda i z wazonem faktycznie stało się to, co mówisz. Czy to znaczy, że ja ponoszę za wszystko winę? Czy to nie mogła być wina przeciągu albo kota? Poleciłem zbadanie tej sprawy Mustafie, synowi sąsiadów. Sprawdzi on prędkość wiatru w konkretnych godzinach i sporządzi raport na temat zachowania kota, a potem przedstawi mi wnioski. Jeśli wykryje jakiegokolwiek nieprawidłowości, osobiście ukarzę kota lub osobiście uszczelnię okna. Mam na wszystko oko i robię to dla naszego domu, dla jego piękna i dobrobytu.

Rzeczywisty przykład:

„To prawda, były skargi na nadmierne użycie gazu łzawiącego podczas wydarzeń w Gezi. Kazałem

odpowiednim służbom zbadać te doniesienia. Jeśli okażą się prawdziwe, podejmę stosowne działania. Takie rzeczy nie mogą i nie będą mieć miejsca”.

Krok szósty: jeśli ktoś wciąż polemizuje z przedstawionymi argumentami, należy zakwestionować jego pobudki:

– Zastanówmy się nad jeszcze jednym. Wazon w pokoju dziennym nie jest pierwszym na świecie, który podzielono na kawałki. Skoro jesteś taka wrażliwa na los wazonów, to czemu nie reagowałaś, kiedy chłopiec z dołu zbił u siebie nie jeden, a dwa wazon? Gdzie wtedy byłaś? Dlaczego nie płakałaś razem z ciotką Ayşe, gdy jej porcelana rozbiła się przy przewodniczce? Czy ten wazon jest jakiś szczególny, bo ma związek ze mną? Może to tylko wymówka, żeby mnie zaatakować?

Rzeczywiste przykłady:

„Skoro tak kochacie drzewa, to gdzie byliście, kiedy stawałem na głowie, próbując zapobiec budowie uniwersytetu na zadrzewionym terenie? Gdzie wtedy były te tłumy?”.

„Jeśli jesteście takimi wielbicielemi wolnej prasy, to co robiliście w czasach [zamachu stanu] 28 lutego?”.

Krok siódmy: udało się wymigać od odpowiedzialności, pora zatem wykorzystać przewagę do podkopania pozycji swoich przeciwników:

– Rozbijanie wazonów to coś bardzo w stylu mojego brata Alego. On robi takie rzeczy. Kto w zeszłym roku zbił szybę witryny, a w dzieciństwie kopnął piłkę tak, że spadła na gramofon ojca? Ali. To on ma mentalność zbijacza wazonów. Mówię ci, ten wazon to też jego sprawka. Zbliża się czas przydzielania kieszonkowego, a Ali nie dogonił mnie w nauce. Myśli, że tym wazonem mnie załatwi. Oczywiście, ojciec ma tego świadomość i wiem, że podejmie właściwą decyzję. Cały czas rozmawiam z ojcem.

Rzeczywisty przykład:

„Te wszystkie demonstracje i zamieszki są dziełem CHP. To oni za tym stoją: zbliżają się wybory i wydaje im się, że nas tak załatwią. Mobilizują skrajne ruchy, próbując wywołać zamieszanie z pomocą bandy szabrowników. Ale my lepiej znamy ten naród i wiemy, że tak łatwo nie da się go oszukać. Naród widzi wszystko”.

Krok ósmy: sprawa omówiona i zamknięta. Czas zakończyć mowę, chwalać swój charakter i dokonania:

– Dla mnie to wszystko bez znaczenia, matko. Ja się zajmuję swoimi sprawami. Patrz tylko: w ciągu zaledwie dwóch lat zostałem najlepszym uczniem w klasie. Wszyscy się na mnie oglądają. Matki mówią dzieciom, że powinny być jak Tayyip. Taka jest prawda. Najwyższe oceny z religii, wuefu, matematyki. Oto, co się dzieje. Zajmuję się swoimi sprawami, uważam na lekcjach. Staram się i będę się starał, żeby być godnym synem i swoim zachowaniem stale podnosić status naszej rodziny. Ojciec mówi, że jak tak dalej pójdzie, będziemy najprzekładniejszą rodziną w budynku.

Ta polityczna abrakadabra faktycznie ma miejsce, retoryczny algorytm istnieje i działa. Ale motorem okrzyków „Niech żyje nasz padyszach!” nie są słowa – jest nim chleb. Władzę zdobywa się, odwołując się nie do głów, lecz przede wszystkim do żołądków. Prześledźmy skróconą historię ogłupiania i tresowania ludzi głodem: na napędzane kryzysami humanitarnymi zamieszki w latach siedemdziesiątych odpowiedziano zamachem stanu, na walkę o prawa człowieka w latach dziewięćdziesiątych – brutalnymi represjami, a na pełen skargi głos w sprawie biedy na przełomie tysiącleci – uciążliwą polityką Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Dopiero AKP dała ubogim chleb i nadzieję. Terytorialne oddziały partii zjednoczyły się ze wspólnotą Fethullaha Gülena, żeby „wyciągnąć pomocną dłoń do potrzebujących”. Zrobiono to przy użyciu szemranego kapitału, ceną zaś za paczkę kaszy bulgur, kilogram mąki czy butelkę oleju było oddanie głosu w wyborach. Pojawiały się też liczne opinie krytyki, stwierdzające, że partia ubiera w szaty „pomocy charytatywnej” zaspokajanie podstawowych praw obywateli. W ten sposób z wolna tworzyło się społeczeństwo uzależnione od łaski „karmiącej dłoni”. İhsan Eliaçık, znaj-

dujący się prawdopodobnie na czołowym miejscu czarnej listy rządu, stwierdził kiedyś: „Według moich obliczeń od pana Erdoğan'a zależy byt materialny i duchowy co najmniej stu tysięcy osób”. W rzeczywistości od utrzymania AKP u władzy zależało życie milionów. Dla uzależnionego od dobroczynnych gestów społeczeństwa odjęcie „karmiącej dłoni” stanowi przerażającą perspektywę. Kto nie korzysta z systemu i go nie popiera, musi zostać ukarany. Tak jak Didem Yaylah...

Zaraz dobiegniemy do końca naszej długiej trasy. Ale co to? Pięć rowerzystek jedzie gęsiego po chodniku, wprost na mnie. Usuwam się z drogi i rozkładam ręce: „Chyba żartujecie!”. Chwilę się jeszcze złoścuję, ale kończę swój bieg i wracam do domu. Dopiero tam się okazuje, że to nie koniec historii. Na Twitterze widzę wpis na temat tego zajścia: „Panna Temelkuran była niezadowolona, widząc rowerzystki w hidżabach w dzielnicy Bebek”. To, jak mnie rozpoznano i dlaczego założono, że zezłościły mnie czadory, to historia też warta opowiedzenia ...

Najkrwawszy front inżynierii społecznej

– Z kim będę debatować?

– Jeszcze nie wiemy. Szukamy pisarki albo dziennikarki w hidżabie.

Nie zliczę, ile razy w ciągu ostatnich piętnastu lat otrzymałam taką odpowiedź z programów telewizyjnych, do których byłam zapraszana. Po 2007 roku, w czasie drugiej kadencji rządów AKP, powtarzającym się w stacjach telewizyjnych i redakcjach gazet hasłem było: „Potrzebujemy komentarki, która nosi hidżab. Jakie mamy opcje?”. Media wiedziały, że muszą wystawić marionetki pasujące do coraz bardziej ujednoliconej rządowej wizji społeczeństwa. Poddawano je dokładnemu odsiewowi: te odpowiednio ubrane, ale zbuntowane, odsuwano na bok, a wybierano takie, które zgadzały się z linią partii. Starannie wyselekcjonowane kobiety o zakrytych głowach pojawiły się najpierw w prasie i telewizji, a następnie także w parlamencie. Było to nie tylko żałosne, ale też naruszające ludzką godność. Ubrane w religijny mundur, stanowiły armatnie mięso na froncie walki o podważenie jeszcze niedawno obowiązujących świeckich norm społecznych. Na ekranach i w gazetach wybuchały awantury między kobietami w chustach i bez. Wszystkim podobał się widok dwóch walczących pań. Bez względu na temat debaty opinia publiczna dostawała taki obrazek: „Kobieta w chuście kontra kobieta bez chusty! Która zniszczy którą? Nowoczesna Turcja kontra konserwatywna »Nowa Turcja«!”.

Przyznaję, że wzięłam udział w kilku takich widowiskach. Chętnie zapraszano mnie „na ring”, bo przez kilka lat z rządu uznawano mnie za najpoczytniejszą komentarkę w kraju. Wydaje mi się, że jako głosicielka niepopularnych idei nadawałam się na żywy symbol wszystkiego, co należy poskromić. Byłam młodą, feminizującą socjaldemokratką, która odrzucała skromność i małomówność – cechy pożądane u „rozsądnych dam” pokazujących się w przestrzeni publicznej. Nie wierzyłam też w mityczne pojednanie z Kurdami i Ormianami, które moim zdaniem służyło zamiataniu historii pod dywan; nie był to wprawdzie wytwór jednej opcji politycznej, ale AKP uparcie chwaliła się na arenie międzynarodowej dążeniem do rozwiązania tych kwestii. Ach, i zapomniałabym o najważniejszym: nie dołączyłam do pisarzy i dziennikarzy, którzy po zwycięstwie AKP ustawili się w rządki i odśpiewali hymn na cześć „demokracji, która wreszcie zawitała do Turcji”. Dostarczyło to władzy dostatecznie wielu powodów, by zapamiętać moją twarz. Kiedy nadszedł czas, jako jedna z pierwszych osób związanych z prasą poszłam pod noż. I rzekomo nie chodziło wcale o odkrytą głowę ani wspomniane wcześniej poglądy: po prostu powiedziałam niewłaściwą rzecz w niewłaściwym momencie. Trzydzieści cztery osoby, w tym dzie-

więtnąścioro dzieci, „wzięto za terrorystów” i zabito bombami w miejscowości Roboski na granicy turecko-irackiej. Premier nie tylko nie wygłosił żadnego oświadczenia na temat tego incydentu, ale też zabronił wszystkim mediom informowania o wydarzeniu. Dlatego ostatniego dnia 2011 roku napisałam, co następuje:

Rozumiemy: chcesz mieć swobodę zabijania dzieci. Chcesz, żebyśmy stali obok w milczeniu, myśląc: „Musi mieć jakieś powody”. Ty będziesz rzucać bomby, a my pozbieramy zabitych i na oślich grzbietach zabierzemy ich na cmentarz. Zabijasz bronią za miliard dolarów, ale trumny muszą przez ośnieżone wzgórza nieść ludzie bez butów. Chcesz nas zagonić do domów, zanim złożymy kondolencje i wygłosimy ostatnie pożegnania, żebyśmy usiedli przed telewizorami i głupieli, łuskając ziarna słonecznika i gapiąc się na aktorów. Albo jeszcze lepiej: żebyśmy zniknęli bez śladu, poszli sobie umrzeć po cichu i nie sprawiali ci więcej kłopotu.

Rozumiemy: kiedy trzęsienie ziemi zburzy nasze domy, a ty wsadzisz nas do nieogrzewanych nylonowych namiotów, chcesz nas odwiedzić i ocenić z uśmiechem: „Ależ pałac!”, a wtedy my powinniśmy skłonić przed tobą głowy i nie czuć zimna. Nie płakać, gdy będziemy sprzedawać nienoszone buciki zamarznętych dzieci, tylko kupić sobie za nie paczkę słonecznika do łuskania, gdy będziemy się gapić na aktorów w telewizji i głupieć. Albo jeszcze lepiej: powinniśmy sami zamarznąć po cichu pewnej nocy, nie zostawiając po sobie nawet nagrobka, który by cię kłuł w oczy.

Rozumiemy: chcesz, żeby nikt nie wiedział nic o innych, żeby nie interesował się cudzymi sprawami. A „informanci” – niezadowolone ze stanu kraju dzieci, rozgniewani nauczyciele, działacze związkowi, prawnicy i ktokolwiek jeszcze stanie na drodze twojego „ambitnego myślenia” – niech spędzą resztę życia w więzieniach, bez kartek i długopisów, bez kontaktu ze światem, jak zamknięte w zagrodach zwierzęta. Chcesz, żebyśmy to zignorowali i żyli dalej jak bezmyślna trzoda żywiona słonecznikiem i ogłupiającą telewizją, podczas gdy ty będziesz jeździć po kraju i przecinać wstęgi na otwarciach kolejnych „projektów”. Tak, żeby wszystko sprowadzało się do tych wstęg, baloników i ziaren słonecznika.

Rozumiemy: chcesz jednego dnia mówić jedno, a następnego drugie. Żeby któryś z twoich ludzi mógł powiedzieć tak, a inny siak. Żebyś mógł mówić „pokój”, potem „wojna”, potem znowu „pokój”, potem znowu „wojna”, przeplatając to wzmiankami o „inicjatywach”, „pojednaniach” i wszystkim, co akurat przyjdzie ci do głowy. Chcesz, żebyśmy codziennie „odświeżali” pamięć, żeby każde z nas budziło się co rano jako pusta karta, jako lustro – bezrozumni. Twoje słowa mają być naszym elementarzem, twoje wnioski – naszymi wnioskami, bo powinniśmy ci ufać wiernością psów i ignorować całą resztę. Chcesz nas przekonać, że zawsze masz rację, żebyśmy siedzieli jak głupki, myśląc: „Zaraz mowa balkonowa, trzeba ją zobaczyć”, i sięgali po ziarna słonecznika. Żeby nasze oczy wiecznie szukały postaci na balkonie, ślepe na wszystko inne.

Rozumiemy: chcesz urządzać widowiska, potyczki iluzjonistów, żonglować nam przed nosem danymi wywiadowczymi i teoriami spiskowymi, żebyśmy zapomnieli, że wczoraj pochowaliśmy swoje dzieci. I nigdy nie chcesz przeproszać, broń cię Boże! Chcesz, aby z naszych dzieci można było żartować, aby nawet po śmierci służyły twojemu „ambitnemu myśleniu”. I żeby małostkowe spory o prestiż z innymi krajami zagłuszyły nasz gniew o to, że życie naszych dzieci zgasło, bo zbiły kilka szyb wystawowych w Stambule. Chcesz też dzieci, które nawet nie zdążyły zobaczyć Stambułu, bo zginęły, szmuglując papierosy, żeby zarobić na szkołę. Chcesz ich wszystkich, a jeśli nie możesz ich mieć, to chcesz nas – i żebyśmy czekali na ciebie z odsłoniętą pierśią i otwartym sercem.

Rozumiemy: tego właśnie chcesz. Znamy twoją listę życzeń na pamięć. Sam nas jej nauczyłeś i bardzo ci za to dziękujemy. A teraz popatrz w lustro, wodzu. Ach, to ty! Oto, kim jesteś. Oto, do czego się sprowadzasz. A teraz ty wysłuchaj nas, o błogosławiony wodzu! Jesteśmy drugą połową tego narodu. Rozumiemy cię. Ale musisz pojąć, że niczego poza zrozumieniem od nas nie dostaniesz. Odmawiamy! Ogłaszamy bunt! Możesz rozkazywać, ile chcesz. Możesz sobie trajkotać do woli. My cię nie słuchamy!

Powiem tak: z nastaniem 2012 roku byłam bezrobotna. Rozmowa telefoniczna z naczelnym trwała pół minuty:

– Ece, wiesz dlaczego.

– Tak.

To prawda, że napisałam artykuł w niewygodnym czasie. W stosunkach turecko-kurdyjskich panowała cisza dzięki postępującym rozmowom pokojowym. Poza tym patriarchalna prasa nigdy się nie sprzeciwia, gdy ma poświęcić kobietę.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej wypowiadałam się w obronie Banu Güven, koleżanki po fachu zwolnionej z przyczyn politycznych. Artykuł w mojej obronie napisała natomiast Nuray Mert. Ona także straciła posadę dwa tygodnie później. Trafiłyśmy przez to na okładkę gazety – wykorzystano nasze najbardziej lancerskie stare fotki. Z perspektywy czasu trochę mnie to bawi. Nikt, kto nie znał całej historii, nie mógłby uznać trzech beztrojskich kobiet na tych zdjęciach za ofiary.

To, co nastąpiło, było gorsze od bezrobocia. Trolle z AKP zaczęły rozprzestrzeniać na mój temat kłamstwa w sieci. Stałam się „rozpuszczoną, niedouczoną, kłamliwą, sympatyzującą z wojskiem bogatą damulką” (muszę przyznać, że nie miałabym nic przeciwko, gdyby ten ostatni epitet był prawdziwy). Prześladowania trwały dwa lata. Nikt wtedy nie wiedział, że partia rządząca płaciła ludziom za takie działania w internecie, a nawet gdyby im o tym powiedzieć, nikt by nie uwierzył. Służyłam niejako za poligon doświadczalny, na którym testowano metody „wirtualnego linczu”. Pamiętam tysiące osób, które szydziły ze mnie w mediach społecznościowych, kiedy stwierdziłam, że padłam ofiarą wojny psychologicznej. Czytałam kiedyś, jakoby Inuici karali winowajców poprzez siadanie w kręgu wokół nich, wytykanie ich palcami i głośne wyśmiewanie. Poczulałam się dokładnie jak taka samotna Inuitka. Ponieważ wśród „klasy myślącej” nie pojawiła się jeszcze moda na kontestację, nie miałam sprzymierzeńców. A najgorsze jest to, że nawet dziś, gdy to opisuję, mam poczucie winy. Tej samej winy i wstydu, jakie czują ofiary przemocy... Nie tylko mnie to zrobiono – wzięto na celownik wielu innych. Na szczęście po protestach w Gezi taki zalew hejtu jest już nie źródłem wstydu, lecz raczej powodem do dumy. Obecnie dużo trudniej w ten sposób splugawić osobę publiczną. Ale wszyscy dobrze wiemy, że nawet jeśli ktoś przeprosi nas za dawne przewiny, nikt nigdy nie przeprosi nas za przyglądanie się krzywdzie w milczeniu.

Właśnie stąd znają moją twarz rowerzystki z Bebek. Ale tak naprawdę nie chodzi tu o mnie. Chodzi o to, że na niwie społecznej toczy się obecnie wojna o skupienie kapitału państwa w rękach sympatyków AKP, a kobiety są w niej wykorzystywane jako piechurki. Aplikantka sędziowska Didem Yayıllı, która targnęła się na swoje życie, jest oczywistą ofiarą tej wojny. W pewnym sensie ofiarą sfabrykowanego „męczeństwa” i rozdmuchanego resentymetu konserwatystów. Po dojściu AKP do władzy wersję historii obecną w zbiorowej świadomości udało się przepisać do tego stopnia, że ci najwierniejsi z wiernych opowiedzą wam dziś przedziwny wariant dziejów. Według nich Turcja była do niedawna rządzona przez szereg lewicowych reżimów. Największymi ofiarami puczu 12 września byli zaś nie torturowani tysiącami młodzi socjaliści, tylko „muzułmanie”. Dla wątpiących przygotowano zaś takie retoryczne czary-mary: jasne, w masakrze w Sivas zginęło wielu przedstawicieli inteligencji, ale co z masakrą w Başbağlar*****? Jasne, były śmiertelne pobicia ludzi, którzy nie przestrzegali postu religijnego, ale co z dziewczynami, którym zakazano wstępu na uczelnie w chustach?

***** 5 lipca 1993 roku w Başbağlar na wschodzie Turcji zamordowano trzydzieścioro troje cywilów, a samą wioskę spalono. Według naocznych świadków zbrodnia była akcją odwetową PKK za masakrę w Sivas. Niepotwierdzone zeznania byłego członka służb specjalnych Ahmeta Çarkına w 2011 roku sugerują natomiast, że uwikłane w masakrę było tzw. głębokie państwo (tur. *derin devlet*, ang. *deep state*).

AKP działa jak fabryka historycznego resentymetu. Sobie tylko znanymi sposobami upewnia

się, że nawet najniższy rangą członek partii zna tę narrację na pamięć i używa jej do podsycania w wyborcach gniewu i poczucia krzywdy, które przemieniają elektorat w wiernych żołnierzy. Jak powtarza się w mediach społecznościowych: „Polemika ze zwolennikiem AKP jest jak granie w szachy z gołębem. Nieważne, jak dobrze grasz, on i tak przewróci wszystkie figury”.

Tak się nieszczęśliwie składa, że najbardziej widocznymi uczestniczkami tej rozgrywki są kobiety, ponieważ to właśnie one wraz z chustą wkładają swoje poglądy na głowę. Zachowują się przy tym tak, jakby zawsze czuły się lekceważone i pogardzane. Nawet gdy włożą najdroższe ubranie i jadą przez Sztambuł w najbardziej ekskluzywnych samochodach, wciąż są najbardziej poszkodowane, a kobieta bez chusty, która ośmieli się powiedzieć im złe słowo, popełnia najgorszy błąd polityczny. Kobieta ze szczytu tej nowej, konserwatywnej burżuazji jest w większym stopniu „ofiara” niż emerytowana nauczycielka w „stroju świeckim” (cokolwiek to znaczy) żyjąca w skrajnej nędzy. Właśnie dlatego, kiedy widzę, że jedzie prosto na mnie pięć rowerzystek w chustach, a ja jako członkini „republikańskiej elity” mam na sobie legginsy, powinnam wiedzieć, gdzie moje miejsce, i siedzieć cicho. Czyżbym nie tolerowała widoku hidżabów w bogatej dzielnicy?! Na tej samej zasadzie nie należy trąbić na ubraną w strój religijny piratkę drogową. Chyba że chcielibyście zabronić jazdy samochodem w chuście? *Et cetera, et cetera...* Najsmutniejsze jest to, że bardzo niewiele kobiet po obu stronach barykady ma świadomość, iż zostały napuszczone na swoje siostry w ramach zupełnie niezwiązanej z ich prawami walki o władzę. A te, które głośno o tym mówią, są w telewizji i prasie nieobecne. Szkodziłyby retoryce rozdmuchanego męczeństwa. To dlatego nikt w Turcji nie zna nazwisk reprezentujących AKP parlamentarzystek w chustach. Tymczasem w organizacjach kobiecych i samorządach lokalnych działa bardzo wiele konserwatystek, które zasłużyły sobie na miejsce w historii kraju. Nie wolno ignorować ludzi, którzy sprzeciwiają się polityce uprawianej przez partię rządzącą – zwłaszcza jeśli tymi ludźmi są kobiety w chustach. Prawdopodobnie znajdują się one na celowniku jeszcze częściej niż sekularystki, bo są atakowane z każdej strony. Szczególnie bolesna musi być dla nich sytuacja, gdy na podstawie stroju zostają uznane za poplecniczki systemu, którego nienawidzą. Okropna jest też bezwzględna eksploatacja historii dziewczyn, którym ze względu na zakryte głowy odmówiono wstępu na uniwersytety. Wykładowczyni i eseistka Hidayet Şefkatli Tuksal, która zawsze trzeźwo patrzy na bieżące sprawy, pisze o tym zagadnieniu w następujący sposób: „Tworzona jest obecnie klasa zamożnych muzułmanów, którzy wspierają Erdoğana. Państwowymi zleceniami utuczono sektor budowlany. Kształtowanie warstwy bogaczy według projektu rządu to koncepcja polityczna pochodząca z czasów założenia Republiki, a my jako naród dość już się przez nią nacierpieliśmy”.

Warto dodać, że autorka tych słów jest noszącą chustę konserwatystką. A także – że została zwolniona z pracy w prorządowej gazecie za krytyczne uwagi skierowane pod adresem władzy. Wątpię, aby którakolwiek z młodych cyklistek z dzielnicy Bebek wiedziała, kim jest Hidayet Şefkatli Tuksal.

Nie chcę tym tekstem tworzyć fałszywego wrażenia, że w Turcji było wszystko w porządku i mieliśmy zgodne społeczeństwo, a potem przyszła AKP i zepsuła ten stan. Było niemal na odwrót: życie społeczne, sądownictwo, ustawodawstwo, instytucje państwowe, prawa człowieka znajdowały się w takim stopniu rozkładu, że umożliwiło to powstanie i społeczną akceptację maszyny mściwości i złej woli, jaką wykorzystuje obecnie partia rządząca. Wychowanie zapowiedzianego w 1980 roku „pokolenia bez ideologii” ostatecznie doprowadziło do wyhodowania, zgodnie z życzeniem premiera, „młodzieży, która żywi urazę”. W obliczu kondycji, w jakiej znajdowała się polityka gospodarcza i etyka polityczna, a także wobec oportunistycznej postawy,

która dominowała zarówno przed, jak i po zamachu stanu 12 września, sukces AKP jawi się jako naturalna kolej rzeczy, czego logicznym następstwem jest zwrócenie się grup społecznych przeciwko sobie.

Żeby to lepiej zrozumieć, sprawdźmy poranne wiadomości. Moglibyśmy włączyć telewizor albo zajrzeć do gazety, ale to by nam nic nie dało. Żeby wiedzieć, co naprawdę dzieje się w Turcji, trzeba zajrzeć na Twittera. I gwarantuję, że nie będzie to przyjemne doświadczenie. Ale najpierw musicie się nauczyć, jak to przeżyć, bo nie mamy do czynienia ze zwykłą prasówką. Wjeżdżamy do tunelu strachu pełnego przygód, burz, krwi, chciwości i kłamstw.

Gotowi?

Podwójne widzenie: pora wiadomości w Turcji

Prysznic wzięty, śniadanie na stole, w telewizji zaraz zacznie się poranne wydanie wiadomości. Nie wystarczy jednak włączyć telewizor: trzeba też mieć w zasięgu wzroku smartfon albo komputer. Tylko w ten sposób da się złamać kod, którym zaszyfrowane są programy informacyjne. Oho! Dzwoni do mnie ojciec.

– Ece?

– Tak, tato?

– Co to jest hashtag?

– To ta kratka w rogu klawiatury, tato. Wpisujesz hashtag i słowo kluczowe, które cię interesuje, żeby znaleźć wszystkie tweety na ten temat. A czego szukasz?

– Ach, już widzę. Okej. – I rozłącza się.

Tak to wygląda za każdym razem. Problem nie w tym, że ojciec ma siedemdziesiąt cztery lata. Po prostu złości go, że musi się uczyć nowej technologii, aby mieć dostęp do wiadomości z kraju, bo kiedy włącza telewizor, widzi tylko hałaśliwego mężczyznę. Recep Tayyip Erdoğan zaczął krzyczeć jako premier i nie przestał jako prezydent: „Hej, Unio Europejska!”, „Hej, papieżu!”. Robi tak za każdym razem, kiedy pojawi się ktoś, komu można rzucić wyzwanie z daleka, do kogo można zawołać: „Hej!”, a potem krytykować adresata co sił w płucach. Czasami tym samym tonem recytuje wiersze.

Ale oto nadchodzi oczekiwany wpis na Twitterze. Nikt nie mówi wprost, o kogo chodzi, gramatyka języka tureckiego pozwala nie zdradzać nawet płci: „Znowu się drze!”, „Daj spokój!”, „O co te krzyki?”. Pojawiają się setki, tysiące pytań i odpowiedzi na temat słów płynących z telewizora i tego, w kogo są wycelowane. Mija nie więcej niż minuta, a ciągnące się wciąż kazanie staje się obiektem bezlitosnych drwin.

W drugim materiale telewizyjnym pewien minister zapowiada najwyższy wymiar kary dla sprawców molestowania dzieci, przerażającego morderstwa młodej kobiety czy tragicznej katastrofy przemysłowej. Premier, ministrowie, urzędnicy państwowi – wszyscy znikają z ekranu po ustalonym ramówką czasie, bez udzielania odpowiedzi na trudne pytania. Zresztą nikt im takich nie stawia. Tymczasem ludzie wpatrzni w Twittera sprawdzają doniesienia z rozpraw, tak samo jak obywatele normalnego kraju sprawdzaliby w tym czasie swój plan dnia. Codziennie toczy się u nas jakiś proces polityczny: przeciwko protestującym studentom trzymanym od miesięcy w areszcie, przeciwko nielegalnie zatrzymanym prawnikom, którzy rzekomo dopuścili się utrudniania pracy policji, przeciwko rodzinom zmarłych robotników, aktywistom, żołnierzom, dziennikarzom... Hashtagi pomagają śledzić „rozprawę dnia”. Czasami w ramach okazania wsparcia moralnego chodzi się do sądu.

Kolejna wiadomość – założmy, że bezprawnie sprzedaje się lasy państwowe albo mieszkanek pewnej wsi protestują przeciwko budowie elektrowni wodnej – i kolejny minister powtarza to samo: „Nikt nie jest wyczulony na tę sprawę bardziej niż my!”. Gdzieś w tle policja odciąga, szarpiąc za włosy, bezimiennych mężczyzn i kobiety: słychać tylko ich krzyk, nie można wychwycić poszczególnych głosów. Telewizja pokazuje rozjuszony tłum dopiero wtedy, gdy ludziom dano powód do oburzenia. Dla pełnego obrazu tego, co się dzieje, znów trzeba znaleźć odpowiedni hashtag. Istnieje jednak pewne zagrożenie: trolle! Są sprytniejsze, szybsze i bardziej zmiennokształtne, niż wam się wydaje. Niektóre nawet udają ofiary danego zdarzenia i proszą o rozpowszechnienie swojej historii. To dezorientuje, ale tak wygląda tocząca się od dłuższego czasu wojna. Postaram się wyjaśnić to niebawem.

Tymczasem zbliżamy się do końca programu informacyjnego. Tradycją jest donoszenie w tym miejscu o jakimś wypadku drogowym. Katastrofy stały się nieodzownym elementem wiadomości dlatego, że stacje telewizyjne nie mogą mówić o polityce tyle, ile by chciały. Jeśli zbyt często podawałyby wieści o poczynaniach partii opozycyjnych, do ich drzwi dość szybko zapukałaby kontrola skarbową. W niektórych serwisach alternatywą dla karamboli są śmieszne filmy ze zwierzętami publikowane na YouTube. Ale czy to znaczy, że tureccy dziennikarze są tchórzliwi i potulni? Czy to dlatego ciężar informowania społeczeństwa spoczywa na doniesieniach z Twittera? To nie tak. Czas przybliżyć wam historię popularności Twittera w Turcji. Kliknijcie: „obserwuj”.

Jak już pisałam, sprawy w kraju od dawna nie miały się najlepiej. W roku 1980 sposób finansowania prasy uległ całkowitej reorganizacji. Kiedy na rynku pojawił się kapitał podwyższonego ryzyka, uformowały się dwie główne grupy medialne. W wyniku rozprzestrzenienia się w społeczeństwie postawy konsumpcjonistycznej nastąpiła zmiana w preferowanej tematyce oraz w prezentowanym przez media punkcie widzenia: regularnie publikowano treści związane z aktualnymi modami i bogaceniem się. Redakcje przeniosły się do szklanych biurowców w centrach miast, a dziennikarze oglądali ubogich już tylko z autobusów, które wiozły ich rano do pracy. Bieda, niesprawiedliwość i prawa obywatelskie stały się przestarzałymi, „lewackimi” tematami. Cenzura, której początki sięgały roku 1980, dekadę później, podczas konfliktu z Kurdami, sięgnęła zenitu. Dziennikarz stał się właściwie rzecznikiem państwa i musiał dbać o jego dobry wizerunek, żeby nie zostać posądzonym o zdradę. Komu się nie udało i został odrzucony przez obydwie największe grupy medialne, ten był praktycznie skazany na poniewierkę. Co za tym idzie, przepływ informacji kontrolowali oligarchowie, posiadający udziały także na przykład w górnictwie oraz przemyśle naftowym i gazowym – branżach uzależnionych od rządu. Niepracomyślni reporterzy byli więc zwalniani, żeby inne biznesy ich szefów szły pomyślnie. Nie pomógł fakt, że długo opierali się idei założenia związków zawodowych. Ci, którzy dostatecznie narazili się władzy, ale pracowali dla niezależnych tytułów, po prostu ginęli. Çetin Emeç, Uğur Mumcu, Metin Göktepe, Ahmet Taner Kışlalı – to tylko najślawniejsi spośród zamordowanych lub skatowanych na śmierć dziennikarzy w latach dziewięćdziesiątych. Ataki bombowe, porwania i zabójstwa wymierzone w prasę kurdyjską nigdy nie wzbudziły wystarczającego zainteresowania, żeby się przebić do „tureckich” mediów. Nim nadszedł rok 2000, dziennikarstwo opozycyjne było już tylko ryzykownym, niszowym trendem w stylu vintage. Tymczasem rząd bez trudu skonstruował własne środki masowego przekazu. Powiązani z gabinetem biznesmeni otrzymali nedorzecznie wysokie subsydia na zakup najstarszych w kraju instytucji medialnych, natomiast do redakcji niezależnych przyjęto reporterów i komentatorów po „osobistych telefonach” od władzy. I tak doszliśmy w końcu do dzisiejszego stanu rzeczy: spośród dziesiątek kana-

łów telewizyjnych, tylko kilka może sobie pozwolić na w miarę swobodny dobór prezentowanych informacji, o ile zachowają umiarkowany, powściągliwy ton. Pozostałe programy wypełniają dyskusje na tematy religijne i polityczne, w których wszyscy uczestnicy zgadzają się ze sobą, ponieważ wnioski dyktują im partyjni spin doktorzy. Oglądanie debat bez debatowania potrafi być całkiem zabawne. Sprawdzają się wówczas słowa, które od lat zdobią tylne szyby taksówek: „Islam jest źródłem spokoju ducha”. Trochę innego rodzaju rozrywkę zapewnia lektura gazet. Użytkownicy Twittera mają niezły ubaw z zestawiania ze sobą jednakowych nagłówków w gazetach – zwykle są nimi jakieś słowa „wodza”.

Taki klimat panował w mediach, gdy w październiku 2011 roku miało miejsce silne trzęsienie ziemi w Wan, zamieszkanym głównie przez Kurdów mieście w południowo-wschodniej Turcji. Ekipy telewizyjne prowadzące relacje na żywo ujawniały rażące braki w pomocy dla poszkodowanych, ponieważ nikt nie zdążył przekazać im, o czym mają milczeć. To wywołało medialne wstrząsy wtórne. Recep Tayyip Erdoğan kazał przerwać wszelkie doniesienia na temat klęski żywiołowej. Do kierownika stacji telewizyjnej albo redaktora naczelnego gazety dzwonił telefon; głos w słuchawce mówił tylko: „Szef jest niezadowolony”. Wszyscy wiedzieli, kim jest „szef” i co mają zrobić. Media zamilkły. Pytacie, co się stało potem? Otóż Turcja odkryła potencjał Twittera. Najpierw uwięzieni pod gruzami w Wan pisali „Pada mi bateria” i podawali swoje namiary. Potem pojawiły się tweety o nieudolnej organizacji wsparcia dla ofiar. Ani się obejrzeliśmy, a za pośrednictwem serwisu społecznościowego rozkręcano akcje pomocowe, przy okazji komentując indolencję władz. Także za pośrednictwem Twittera rozprzestrzeniły się doniesienia o noworodkach, które zmarły z zimna w nieogrzewanych nylonowych namiotach, gdzie ulokowano poszkodowanych. W jednej chwili rząd zyskał nowe zmartwienie, a społeczeństwo – nowe narzędzie do samoorganizacji na ogromną skalę.

Drugie masowe użycie tego serwisu w kontekście politycznym miało miejsce w grudniu 2011 roku. Chodziło o rozprawę sądową grupy studentów: z pozoru jeden z tych (niezliczonych) zwyczajnych procesów wytoczonych na mocy prawa antyterrorystycznego. W świetle najnowszej historii Turcji było w nim jednak coś niezwykle istotnego...

Nie sądzę, aby stopniowa deprawacja całego społeczeństwa, czy raczej jej kolektywna legitymizacja, została kiedyś zbadana naukowo. Idea, że bezduszne milczenie jest wspieraniem zbrodni, może być skazana na wieczne uwięzienie na stronach książek takich jak *Kronika zapowiedzianej śmierci* Marqueza, podczas gdy powinna być obecna w podręcznikach historii. Tylko to pozwoliłoby ludziom zauważyć nadciągający faszyzm. Gdyby dzieje Turcji spisano kiedyś z tej perspektywy, momentem, w którym kraj stracił duszę, byłby 31 maja 2011 roku.

Premier zmierzał właśnie do Hopy, małej miejscowości nad brzegiem Morza Czarnego. Napotkał na swojej drodze małą demonstrację przeciwko bezprawnej budowie elektrowni wodnej. Policja wiedziała, że szef rządu nienawidzi protestów, dlatego bez wahania użyła gazu łzawiącego. U jednego z demonstrantów, emerytowanego nauczyciela Metina Lokumcu, wywołało to atak serca. Zmarł na miejscu. Następnego dnia jakiś dziennikarz, przewyciężając lęk, zapytał Erdoğan o ten incydent. Z ust premiera padło: „A potem oczywiście jeden z nich – nie znam jego nazwiska, nie obchodzi mnie to – zmarł na zawał serca”.

W mediach społecznościowych zawrzało. Zwłaszcza młodzi ludzie nie mogli znieść takiej bezdusznej reakcji. Każdego, kto wyraził krytyczną opinię o tej sprawie, atakowały karne zastępy trolli AKP, których komentarze sprowadzały się do tego: skoro się postawił premierowi, to musiał zginąć. Wydaje mi się, że wtedy po raz pierwszy cała Turcja zobaczyła wyraźnie mrozącą krew w żyłach skalę hysterii, w jaką popadł kraj. Wywiad, który kilka dni później przeprowadził

z Erdoğanem dziennikarz Ruşen Çakır, był kamieniem milowym w przedstawieniu podłości, jakich dopuszczają się szef rządu.

Ruşen Çakır: Ja... muszę coś z siebie wyrzucić... bo gdybym tego nie powiedział... gdybym o to nie zapytał... Na pewno pan wie, że jestem z Hopy. Metin Lokumcu... niech spoczywa w pokoju... był moim krewnym. Kiedy zmarł, byłem akurat w Diyarbakır. Wiadomość o jego śmierci zdruzgotała nas wszystkich. Naprawdę, wszystkich jego krewnych i znajomych. [...] W bardzo nieszczęśliwy sposób zginął bardzo porządny człowiek. Przez wiele lat pracował w naszym miasteczku jako nauczyciel. Zginął w tak tragicznych okolicznościach, a pańska pierwsza reakcja... Osłupiliśmy. Ja i cała moja rodzina. Jestem pewien, że od tamtego czasu wszystko pan przemyślał. Czy jest coś, co chciałby pan teraz powiedzieć?

Recep Tayyip Erdoğan: Po pierwsze, proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci krewnego. Ale niech [...] pokażą panu zdjęcia i nagrania. Po ich przejrzeniu i przesłuchaniu z pewnością przyzna pan, że nawet jeśli to pana krewny, raczej nie zachowywał się, jak przystało na emerytowanego nauczyciela.

RÇ: *(łamiącym się głosem)* Ale on tam zginął, proszę pana.

RTE: Tego nie wiem. I nie mam nic do dodania. Uważam po prostu, że emerytowanemu nauczycielowi nie przystoi wygłaszać takich haseł i nie chciałbym, żeby emerytowani nauczyciele brali w dłoń kamienie. Bo to ja stoję naprzeciwko tych kamieni, one są rzucające we mnie, a ja jestem premierem Republiki Turcji.

Studenci, którzy zorganizowali protest przeciwko szefowi rządu po jego słowach o Metinie Lokumcu, spędzili cztery miesiące w areszcie. Żadna telewizja nie relacjonowała ich pierwszej rozprawy, dlatego 9 grudnia 2011 roku obywatele Turcji po raz pierwszy śledzili proces polityczny za pośrednictwem Twittera. Sąd pracował do późnego wieczora, a śledzący bieg wydarzeń ludzie wymieniali się tysiącami komentarzy. Ich treść była pierwszym sygnałem buntu, który miał się rozpocząć dwa lata później w pewnym parku. Czerwcowego ranka w 2013 roku zadzwonił do mnie ojciec. On także się zarejestrował. „Jestem na Twitterze! Czy mnie widzisz?”

Miliony ludzi takich jak on dojrzały do wyrażenia gniewu nagromadzonego przez lata bezsilnego wpatrywania się w ekrany telewizorów. Niewidzialni stawali się widzialnymi, nawet jeśli ich profile opatrzone były jedynie pseudonimami i domyślnymi ikonami zamiast nazwiskami i zdjęciami. Okazało się, że w Turcji mieszkają nie tylko ci, którzy mówili: „Postawił się premierowi, więc musiał zginąć!”. Najważniejszą funkcją Twittera było to, że pozwolił nam zobaczyć siebie nawzajem. Ludzie chcieli się pokazać, aby udowodnić, że istnieje w naszym kraju coś oprócz oglądanej na co dzień podłości. Że przecież nie wszyscy poddali się temu obłędowi. Każdy pytał: „Czy mnie widzisz?”.

Wystarczy tego oglądania wiadomości. Co wy na to, żebyśmy wyskoczyli do miasta na kawę, jak zwyczajni mieszkańcy zwyczajnego kraju? Jesteście gotowi na to, co nas czeka podczas przejażdżki taksówką?

Chcecie przedtem poskakać po innych programach? Śmiało. O, zatrzymajcie się na moment przy tamtym! Tak, tak, o ten chodzi – muzyka, śpiew i kobiety z widowni wijące się w tańcu brzucha przed kamerami. Ten kanał nazywa się Flash TV i, przysięgam, pochodzi z jakiejś alternatywnej rzeczywistości! Jest niczym ilustracja tytułu powieści Kundery *Święto nieistotności*. Przez całą dobę tylko taniec brzucha, cokolwiek by się nie działo w państwie. Niewiarygodna sprawa. To był chyba pierwszy znak, że kraj oszalał.

Dobrze, chodźmy już złapać taksówkę.

Bądź przeklęta!

– Jest pan wolny?

Młody taksówkarz nawet nie odwraca w moją stronę pozbawionej wyrazu twarzy, tylko potakuje.

– Dzień dobry! – mówię, wsiadając.

Kolejne kiwnięcie, które odczytuję jako: „No, a teraz do rzeczy”.

– Jedziemy do Cihangir.

Odpowiada mi pełne goryczy westchnienie, po czym ruszamy. Mruk za kierownicą jest po dwudziestce i wzorowo odgrywa rolę pasywno-agresywnego taksówkarza, szczególnie dobrze idzie mu patrzeć na mnie wilkiem. Rozumie się samo przez się, że choć milczy całą drogę, sprawia wrażenie, jakbym to ja była przyczyną wszystkich jego cierpień. Gwałtownym ruchem pogłośnia radio. Tytuł piosenki pasuje do sytuacji: *Bądź przeklęta* [tur. *Allah belâmi versin*].

Wyrażanie gniewu w piosenkach o miłości to nic nowego. Język turecki jest bardzo patriarchalny, a tworzone w nim erotyki mają często ten sam przekaz co popularny napis na platformach ciężarówek: „Albo będziesz ze mną, albo w piachu!”. To seksistowska logika, wedle której mężczyzna może zabić, bo przecież sam najmocniej cierpi, a jeśli stanie się mordercą, będzie to znaczyło tylko tyle, że jest tragiczną ofiarą uczucia. Nie dziwi was chyba, że krajem z takimi balladami i naklejkami na zderzaki kierują władze, które kochają obywateli na zabój.

Stosunkowo nowym zjawiskiem jest to, że żal i pełne gniewu pretensje skierowane do tych, których darzymy uczuciem, wyrażają się w coraz mniej wyszukany sposób. Na przykład dobiegająca z radia piosenka brzmi tak:

Nikt mi nie odbierze nienawiści do ciebie,
choćby miała nadejść śmierć,
ja wciąż kocham cię.
Bądź przeklęta!
Bądź potępiona!

Choćby się nie wiem co działo, miłość zawsze odczuwamy we własnym języku – nawet gdy kochamy osobę, która mówi innym. Język turecki stał się po 1980 roku polem bitwy rozgrywanej jednocześnie na trzech płaszczyznach: politycznej, historycznej i społecznej. To w dużej mierze dlatego nasze intymne związki przypominają wojnę. Nie każdy widzi powiązania między auto-destrukcyjnym tonem naszych liryków miłosnych a polityką, ale one istnieją. Turczyznę okaleczono tak, żeby Kurdowie nie mogli mówić po kurdyjsku^{*****}, lewica nie mogła mówić o ideologii, kobiety nie mogły dochodzić swoich praw, robotnicy – stawiać oporu. Na tym nie koniec. Muszę wam bowiem wyjaśnić, że ze względu na działania władz nasz język został zubożony i doprowadzony do stanu przypominającego schizofrenię. Pozwolę sobie podać jeden przykład demonstrujący, jakie przeszkody napotykamy w polityce, filozofii, miłości i przyjaźni.

^{*****} Konstytucja z 1982 roku uniemożliwia nauczanie w językach innych niż turecki; nawet samo nauczanie języków mniejszości podlega w Turcji surowym restrykcjom.

Po puczu z 1980 roku zakazano używania w mediach setek słów w języku tureckim, a kiedy usunięto je z debaty publicznej, stopniowo zaczęły zniknąć także z codziennych rozmów. Były to

między innymi odpowiedniki takich słów jak: aktywny, arcydzieło, cały, decydujący, determinować, doświadczenie, dowód, duchowy, dynamiczny, eksperymentalny, eksport, honorowy, import, klauzula, kompromis, konieczność, konserwatywny, kontrakt, koordynacja, krytyczny, międzynarodowy, na przykład, nacjonalistyczny, narodowy, naturalny, nowoczesny, obowiązkowy, odpowiedź, okazja, opisywać, opowieść, pamięć, pokój, porównanie, prawdopodobieństwo, prawny, przemowa, przewidywanie, relacja, religijny, rewolucja, ruch, rzeźba, socjologiczny, stronnicy, strukturalny, sztuczny, sztuka, teoria, wakacje, wiersz, wizualny, wolność, wspomnienie, wyimaginowany, wyobrażać sobie, wywiad, zobowiązanie, związek, życie.

Niektóre z nich zastąpiono słowami osmańskimi, arabskimi lub perskimi, których używano przed powstaniem Republiki. Były to jednak pojęcia obce, wywołujące w najlepszym wypadku mętne skojarzenia u tych spośród nas, którzy całe życie posługiwali się wyłącznie tureckim. Odtąd znacznie trudniej było się nam porozumieć. W dodatku istniały też słowa zupełnie zabronione, w tym jedno niezwykle ważne dla historii Turcji: *direnış*, czyli opór.

Po tym, jak w telewizji państwowej zakazano mówienia o oporze, obywatele najwierniejsi władzy kompletnie wymazali go ze swoich słowników. Ci, którzy zapominają słowa, z pewnością nie pamiętają też wyrażanych przez nie czynów i idei. To dlatego dziś nawet miłosne piosenki są tak miałkie i infantylne.

– Przepraszam, czy mógłby pan trochę ściszyć radio?

Trzask, wyłącza je zupełnie. Będąc kobietą w tureckiej taksówce, której kierowca tak się zachowuje, nigdy nie należy mówić tego, co ja teraz:

– Nie musiał pan wyłączać, ja tylko poprosiłam...

Głos więźnie mi w gardle, kiedy widzę w lusterku wstecznym wymierzone we mnie pełne gniewu spojrzenie.

– Nieważne! – odszczekuje kierowca.

Nadyma się i sapie. Zachowuje się jak tajny agent wysłany po to, żeby mnie tego ranka pozbawić energii. Oto tajna broń tureckich mężczyzn: sprawić, byśmy bez powodu czuły się fatalnie. Kolejną rzeczą, której absolutnie nie wolno mówić w takiej sytuacji (właśnie dlatego robię to za każdym razem), jest:

– Przepraszam, czy coś nie tak? Na co pan tak utyskuje: na cel podróży czy na moją prośbę? W czym problem?

Mój wybuch sprawia jedynie, że samochód niebezpiecznie przyspiesza i mocno zarzuca tyłem na zakrętach. Latając na prawo i lewo po tylnym siedzeniu, wyrzucam z siebie finałową obelgę:

– Czy moglibyśmy odrobinę zwolnić?

Samochód hamuje z piskiem opon.

– Wysiadać!

– Co proszę?

– Wyłaź pani!

Ten incydent z taksówkarzem nie należy do wyjątków. Z czasem człowiek uczy się nie wdawać w pogawędki z nerwowymi kierowcami. Zgodzicie się zapewne, że w kontekście najnowszej historii kraju jest to najmądrzejsze wyjście. Ale zastanówmy się nad tym, co naprawdę zaszło w samochodzie. Ile lat miał mężczyzna? Około dwudziestu pięciu, czyli urodził się na początku lat dziewięćdziesiątych. Na jego pierwszy rok w szkole przypadł zamach stanu. Odebrał zatem konserwatywne wychowanie, a szkoła wymagała od niego pohamowania chęci wyrażania siebie. Za wzór służyli mu wytresowani przez pucz nauczyciele, którzy nigdy nie opowiadali o wolnej woli i solidarności z innymi. Po szkole podstawowej prawdopodobnie nie przeczytał

żadnej książki, która nie była lekturą obowiązkową, a w związku z tym jego stosunek do kobiet został zdefiniowany przez zorientowaną konserwatywnie popkulturę. Okres dojrzewania przesiedział pewnie w kawiarniach przeznaczonych tylko dla mężczyzn, zaś po skończeniu osiemnastego roku życia wysłano go do wojska. Jeśli cieszył się szczególnie dobrym zdrowiem, być może skierowano go na południowy wschód kraju, w samo serce konfliktu z Kurdami. Gdy wrócił, nie czekała na niego żadna praca, więc chwycił się ostatniej deski ratunku i został taksówkarzem. Biorąc pod uwagę, że od około czterdziestu lat prawie każdego Turka płci męskiej obejmuje obowiązkowa służba wojskowa, wymagająca od rekrutów udziału w nieustającym „beziemnym” konflikcie zbrojnym, jak wam się wydaje: ilu z nich cierpi na pewnego rodzaju syndrom wietnamski? A jeśli weźmiemy pod uwagę, że stan weteranów odbija się także na ich najbliższych, to jak sądzicie: ile jest w kraju przypadków schorzeń psychicznych wywołanych przemilczaną wojną? Nigdy nie poznamy tych statystyk. Mój młody taksówkarz może nawet nie wiedzieć, że cierpi na zespół stresu pourazowego, i szczycić się zachowaniem, u którego podłoża leży pasywna agresja, ponieważ słowa najtrafniej opisujące jego stan zostały stracone. Do tego, jako kobieta, jestem w jego oczach zagrożeniem. Zresztą nawet gdyby znał właściwe słowa i chciał się przy mnie otworzyć, na drodze stanąłby mu inny zakaz: prawo zakazujące zniechęcania do odbywania służby wojskowej. W Turcji wypowiedzi przeciwko wojsku i obowiązkowemu poborowi są zabronione. Gdybyście to zrobili, zwłaszcza na łamach prasy, moglibyście się znaleźć w nie lada opałach. Zajrzyjmy do tureckiego kodeksu karnego:

ARTYKUŁ 318

1. Kto poprzez działanie, podżeganie lub wyrażanie opinii zniechęca osoby do odbycia służby wojskowej, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do dwóch lat.

2. Jeśli czyn został popełniony za pośrednictwem prasy lub mediów, kara zostaje zwiększona o połowę.

Chcielibyście udać się na przejażdżkę z młodym mężczyzną, którego nauczono najpierw ignorancji, następnie okrucieństwa, a na koniec zabijania w sobie uczuć i milczenia? Ja też nie. Poszukajmy sobie innej taksówki, która zawiezie nas na spotkanie ze znajomymi do Cihangir. A w międzyczasie porozmawiajmy o naszym punkcie docelowym.

Cihangir to stambulskie Soho, choć małe. Jeszcze dziesięć lat temu mieszkali tam głównie transwestyci i cyganeria, z czasem jednak dzielnica stała się bardziej burżuazyjno-artystowska. Zaroiło się od kawiarenek, okolica się wzbogaciła i zyskała status najbardziej pożądanego i najmodniejszego adresu wśród ludzi pracujących w mediach i kulturze. Od serca miasta, placu Taksim, dzieli ją dziesięciominutowy spacer. Choć Cihangir wygląda nieszczególnie, czynsze są najwyższe w całym Stambule, ponieważ na najbardziej nawet zaniedbane mieszkania jest ogromny popyt. To bowiem jedno z niewielu miejsc w mieście, gdzie wolno publicznie spożyć alkohol, zjeść coś w czasie ramadanu i generalnie żyć nieco swobodniej. Dlatego też robi się tam bardzo tłoczno: w jednej małej dzielnicy próbują zmieścić się wszyscy liberałowie z miasta. I właśnie tam spotkamy się ze znajomymi.

Zatrzymuje się obok nas taksówka, za kierownicą mężczyzna w średnim wieku.

– Mogę panience w czymś pomóc?

O takiego kierowcę nam chodziło: na twarzy uśmiech, a w radiu wiadomości. Wsiadam.

– Do Cihangir proszę.

– Z najmiłą chęcią, *efendim*.

Efendim to szczególne słowo. Możecie usłyszeć je także w Egipcie, gdzie również przetrwało od czasów osmańskich i oznacza w przybliżeniu „szanowna pani”. W Turcji jest to jednak

przede wszystkim oznaka pewnego *decorum*; sygnalizuje nam, że mówiący pragnie być uprzejmy i zachowa się wobec nas kulturalnie. W krajach europejskich od wszystkich grup społecznych oczekuje się przestrzegania mniej więcej takich samych manier i konwenansów, ale wśród Turków liczba osób przestrzegających etykiety jest coraz niższa. Gniew i nienawiść przeniknęły nawet do najbardziej podstawowych aspektów życia codziennego, utrudniając zachowanie choćby najdrobniejszych oznak grzeczności. Moim zdaniem wiąże się to z powszechnym zanikiem rozumienia prawa. Dominujące obozy polityczne od początku Republiki zgodnie z literą obowiązującego aktualnie prawa sądziły innych od siebie jak wrogów publicznych, przez co w świadomości społecznej szacunek dla prawa i jego zrozumienie stopniowo zastąpiło przekonanie, że silniejszy ma zawsze rację. Tego rodzaju odgórne zepsucie postępuje, aż zaczyna dosięgać nawet relacji prywatnych. Nie powinno dziwić, że w kraju, gdzie sędziowie mogą zostać zatrzymani za wydawanie wyroków niezgodnych z wolą rządu, kierowcy nie przestrzegają przepisów drogowych. Aby uchronić się od tej tendencji, potrzeba szczerej, niezachwianej wiary w sens istnienia zasad moralnych. Dlatego gdy spotykam dziś taksówkarza, który mówi do mnie *efendim*, cieszę się tak, jakbym właśnie była świadkinią honorowego jednoosobowego ruchu oporu. Oto bohater, który w pojedynkę walczy z wulgarnym i nieokrzesanym duchem czasu. Kiedy przelewam na papier te nieświadomie absorbowane szczegóły życia codziennego, to nawet dla mnie brzmi to, jakbym przesadzała, ale tak nie jest, nie przesadzam. Tego rodzaju odczucia nie zostaną prawdopodobnie odnotowane w historii, ale moim zdaniem wywołują efekt motyla, który kształtuje społeczne i polityczne dzieje Turcji.

– Którędy mam jechać?

Postawa kierowcy sprawia, że robi mi się ciepłej na sercu. Zachowuję się tak, jakbym chciała mu dać znać, że także należę do ruchu oporu.

– Którędy pan woli.

– Tak jest, *efendim*.

Na drodze panuje okropny tłok.

– Ciekawe, co się dzieje. Czyżby jakaś demonstracja na placu Taksim?

– Nie, *efendim*. Pozamykali drogi, bo przyjeżdża jego wysokość sułtan.

Śmieję się. Mężczyzna ma na myśli prezydenta. Odkąd Tayyip Erdoğan objął ten urząd, stara się o przeniesienie stolicy z Ankary do Stambułu, dawnego tronu Wysokiej Porty. Od kiedy umieścił swoje „biuro wyjazdowe” w jednym z pałaców, które dziś służą za muzea dynastii Osmanów, przy każdej jego wizycie ruch uliczny w mieście staje, żeby umożliwić prezydentowi i jego armii ochroniarzy swobodny przejazd. Najwyraźniej głowie państwa nie wystarczyła budowa gigantycznego pałacu w Ankarze – tym sposobem ma nie jeden, a dwa. Wiedźcie, że jeśli taksówkarz nazywa Erdoğan „sułtanem” albo „padyszachem”, on także żywi głęboką urazę. Ponieważ gniew jest w Turcji tak powszechny, że nie prezentuje już żadnej wartości, mężczyzna wyraża się z charakterystycznym dla Bliskiego Wschodu sarkazmem. Nie znając tureckiego, można by pomyśleć, że rozmowa, którą dalej toczymy, dotyczy czegoś zabawnego, ale w rzeczywistości rozmawiamy o zabójstwach, bezprawiu i o tym, że „niedługo wszystkich nas ukatrupią”. Potem zauważamy za oknem szare plamy na budynkach. Na każdej z nich widnieje jakiś napis wykonany czarnym sprejem: „Hm... Znowu szary?”, „Czy to zawsze musi być szary?”, „Ten szary mi się podoba, pasuje do mojego pisma.”, „Nie skończyła wam się jeszcze szara farba?”. Taksówkarz i ja wybuchamy śmiechem. Pytacie dlaczego?

Szare plamy miasta: nieistnienie dowodem istnienia

Od dwóch lat na murach budynków w Stambule niespodziewanie pojawiają się szare plamy. Widzimy je za każdym razem, gdy rano wychodzimy z domu. A gdy znów mijamy je kilka godzin później, są już pokryte żartobliwymi komentarzami, na przykład: „Znowu szary? Brawo! Bardzo kreatywnie!”.

Grubymi warstwami szarej farby pokrywa się graffiti powstające regularnie od protestów w Gezi. Zaczęło się właściwie od tego, że w kilku miejscach w mieście ludzie pomalowali schody na tęczowo. Ponieważ władze jakimś cudem doszły do wniosku, że tęcza jest symbolem anarchii, kazały przez noc zamalować ją na szaro. Następnego dnia protestujący jeszcze raz pokolorowali schody, a potem znów zamalowano je na szaro. Właściwie można tego zdarzenia użyć jako klucza do zrozumienia protestów: Gezi i jego następstwa to turecka wojna tęczy z szarością. I choć kolorowa farba się już skończyła, walkę kontynuuje się za pomocą humoru: „Świetnie się pisze po tym szarym!”. Ale żeby zrozumieć, co ma zakryć „ten szary” – czyli to, czym było Gezi – musimy się przenieść na plac Taksim w 2013 roku.

Para nowożeńców, kocująca na placu dzień i noc przez cały pierwszy tydzień demonstracji, wywiesiła na przodzie swojego namiotu transparent skierowany bezpośrednio do premiera: „Szانونy panie, prosimy, niech pan odpuści, żebyśmy mogli wrócić do domu i się kochać!”. W zależności od swoich poglądów przechodnie reagowali chichotem albo oburzeniem, ponieważ w Turcji nie wypada publicznie mówić o seksie, a co dopiero o nim pisać, i to na widoku, w centrum miasta. To, co w normalnych okolicznościach byłoby nieprzyzwoitym żartem, nabrało teraz wyjątkowo politycznego wydźwięku, ponieważ premier używał przeciwko protestującym konserwatywnej retoryki. Sugerował, że okupujący plac Taksim „szabrownicy” wyrabiają „Bóg wie jakie bezeceństwa”. Oczywiście był to tylko drobny element kampanii propagandowej wymierzonej w demonstrantów. Były też oskarżenia o spożywanie alkoholu w meczecie albo o pobicie kobiety za to, że nosiła chustę; miały rzekomo istnieć nagrania obu incydentów, ale dziwnym trafem nigdy ich nie pokazano, a kiedy imam meczetu, o którym była mowa, powiedział prasie, że demonstranci szukali w świątyni schronienia dla rannych i niczego nie pili, został przeniesiony do innego meczetu, daleko od Stambułu. Nowożeńcy wykazali się zatem nie lada odwagą, kiedy ogłosili światu, że gaz łzawiący i ciągłe naloty policji przeszkadzają im się kochać, więc byliby wdzięczni, gdyby premier wycofał mundurowych.

Ten niewinny żart był tylko jednym z kosmicznej liczby dowcipów, jakie się wtedy pojawiły. Niepokoje zaczęły się od protestu przeciwko planom zabudowy parku Gezi, ale poruszane przez demonstrantów kwestie objęły także wolność słowa oraz narastanie w Turcji bezprawia, nierówności społecznych i konserwatyizmu. Z perspektywy czasu stwierdzam, że warto ustawić te wydarzenia w szerszym kontekście.

W społeczeństwie istnieją trzy kategorie reguł, jakie łatwo można przekroczyć: prawa, niepisane zasady moralne oraz obyczaje. W Turcji nietrudno złamać dowolną z nich. Obywatelskie nieposłuszeństwo jest tak proste, że nie trzeba nawet głośno mówić o brutalności policji czy ograniczaniu wolności seksualnej: wystarczy założyć legginsy! Czasami nieposłuszeństwo nie jest nawet umyślne – po prostu nam się przytrafia. Najmłodszy dziennikarz, jaki kiedykolwiek stanął przed sądem, Sami Mentem, po prostu wykonywał swoją pracę. Po przeprowadzeniu wywiadu z działaczami lewicowymi zaraz po wydarzeniach na placu Taksim trafił na prawie dziewięć miesięcy do aresztu. Wypuszczono go po pierwszej rozprawie, a przy okazji okazało się, że jedynym dowodem przeciwko niemu były zeznania „tajnego świadka”. „Tajny świadek” stał się

w ostatniej dekadzie bardzo popularnym źródłem informacji, szczególnie w procesach przeciwko reporterom, politykom i aktywistom. Ponieważ jego zeznania są identyczne z treścią zarzutów stawianych przez prokuraturę, można się zastanawiać, czy w ogóle istnieje. Turcja jest krajem, który wiąże nie tylko tysiące działaczy politycznych, ale też najwięcej dziennikarzy na świecie. Wróćmy jednak do rzeczy.

Zamiast na wykroczeniach przeciwko prawu i tak zwanym kodeksie moralnym skupmy się na świadomym odrzucaniu obyczajów. Ta forma nieposłuszeństwa – dużo subtelniejsza od pozostałych, a jednak często równie surowo karana – była istotnym elementem protestów w Gezi. Dało się tam zaobserwować formę oporu, której wy być może nie nazwalibyście w ogóle buntem, a która polegała na byciu miłym. Aby zrozumieć, o jakim stopniu odwagi mowa, trzeba poznać istotę życia codziennego w Turcji.

Podobnie jak pokrewni im demonstranci z placów Tahrir, Puerta del Sol i Kasbah, ludzie zgromadzeni na placu Taksim nie umieli jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie chcieli odejść nawet wtedy, gdy protest przestał już oddziaływać z tak wielką mocą jak na początku. „To było zbyt piękne, żeby odejść”, rzucali półgębkiem. Albo: „Chrzanić gaz i policyjne pały – to były najlepsze chwile mojego życia”. Dlaczego? W większości przypadków najtrafniejsze wyjaśnienie, jakie przychodziło im do głowy, brzmiało: „Ludzie są tutaj tacy mili!”. Pewnie nie mieli świadomości, że wraz z wypowiedzeniem tych słodko brzmiących słów dołączają do subtelnego, ale silnego ruchu oporu.

Turcja jest surowym krajem. Typowy Turek odwiedzający Wielką Brytanię jest wstrząśnięty ilością czasu, jaką Brytyjczycy marnują na przeproszanie i dziękowanie, nie wspominając nawet o czekaniu w kolejce. Pomijając pojedyncze osoby, które z uporem praktykują uprzejmość wbrew ogólnym trendom, my prawie nie mówimy „przepraszam”. I nie chodzi mi tu o wielkie polityczne przeprosiny za prześladowania i pogromy Ormian czy Kurdów; mam na myśli najzwyczajsze *sorry!*, kiedy wpadniemy na kogoś na ulicy. W krainie udającej, że złe rzeczy nigdy się nie wydarzyły, przeprosiny stanowią oznakę słabości. Być może nie ma jednoznacznego powiązania między grzecznościowym językiem a empatią, ale wydaje się, że żadna z tych rzeczy nie jest ceniona w Turcji, gdzie – według statystyk Stambulskiej Izby Adwokackiej – co drugi dzień morduje się kobietę, a między rokiem 2002 a 2009 liczba takich morderstw wzrosła o tydzień czterysta procent.

W tym kontekście wydaje się niezwykle, w jak wielu relacjach z buntu w Gezi powtarzają się podobne treści: „Wiecie co? Ludzie na placu są niesamowici! Nawet gdy dostaną gazem łzawiącym albo właśnie uciekają przed policją, zawsze przepraszają, kiedy na was wpadną. Robią to, choć właśnie walczą o życie! Niesamowite!”. W parku Gezi ta pełna uporu grzeczność była elementem szerszej filozofii: wiary, że inni liczą się tak samo jak wy, a współczucie nie jest oznaką słabości.

Wyobcowywanie każdego, kto odstaje od głównego nurtu, też jest wymownym elementem tureckiej codzienności. Zbyt ciemne włosy, nierespektowanie postu w trakcie ramadanu, niebycie sunnitą, bycie Kurdem, kawalerem, studentką mieszkającą z mężczyznami, kobietą, która zbyt głośno się śmieje – każda z tych rzeczy może posłużyć jako podstawa do wymierzenia surowej kary ze strony społeczeństwa. Każdy, kto żyje inaczej, niż dyktuje turecka, sunnicka, patriarchalna, militarystyczna, kapitalistyczna norma, naraża się na jakiegoś rodzaju „pouczenie”: od społecznego ostracyzmu po publiczne pobicie.

Może to wina narastającego konserwatyizmu albo trzydziestoletniej wojny, która cały kraj przyprawiła o zespół stresu pourazowego? Może skutek obowiązkowej służby wojskowej, która

zmieniła wszystkich mężczyzn, albo trudnych warunków życiowych stworzonych przez neoliberalizm? A może to po prostu kwestia kulturowa? Tak czy inaczej, Turcja jest państwem, gdzie akceptacja odmienności staje się czymś rzadkim.

Mimo to na placu Taksim i w podobnych miejscach, które powstały w innych miastach Turcji, ludzie cieszyli się swoją różnorodnością i wbrew wszystkiemu starali się współistnieć. Optujący za rozdziałem religii od państwa socjaliści trzymali w czasie deszczu parasole nad modlącymi się islamistami, z których zdecydowana większość przeciwstawia się kapitalizmowi; zwolenniczki nacjonalistycznej lewicy trzymały się za ręce z działaczami ruchu kurdyjskiego. Ten osobisty kontakt z odmiennością, choć możecie go postrzegać jako coś błędnego, przed wydarzeniami w parku Gezi wydawał się niemożliwy. Dziewczyna w miniówce oraz islamista, którzy współpracują, by zapewnić okupującym plac zaopatrzenie? Brzmi jak wątek wyjęty z romantyczno-eklektycznej utopii, ale oni naprawdę to robili.

Ludzie zaskoczyli samych siebie tym, że w ciągu zaledwie kilku dni stali się partyzantami, ale chyba jeszcze bardziej spostrzeżeniem, że mogą być wobec siebie życzliwi i nikt nie posądza ich o słabość. W sytuacji, gdy władza wymaga od was uprzejmości, sprzeciw wobec niej wyraża się ostrymi reakcjami – i tak właśnie wyobrażamy sobie rewolucje. Ale kiedy otacza was kultura skrajnej przemocy, a wy decydujecie się ją odrzucić, okazanie grzeczności staje się aktem oporu. Kiedy zachęca się was albo wręcz zmusza do czegoś odwrotnego, bycie miłym to czyn rewolucyjny. W Kairze i Tunisie było tak samo: zdecydowana i zamierzona życzliwość wśród demonstrantów jawiła się jako próba uleczenia wiary w ludzkość, którą okrucieństwo tamtejszych reżimów mocno nadwątlilo.

W kwestii rewolucyjnej grzeczności największe wrażenie zrobiła na mnie pewna kobieta, poznana podczas Arabskiej Wiosny w obozie dla uchodźców na granicy tunezyjsko-libijskiej. Była to Somalijka, matka trzylatki, odcięta od własnej przeszłości i pozbawiona perspektyw na przyszłość. Uprawiała małe ogródki o grządkach w kształcie serc wyznaczonych zakopanymi w gruncie plastikowymi butelkami. Dzięki przejeżdżającym Beduinom była w stanie posadzić w tym miejscu trochę warzyw. Choć wydawało się, że wszechobecny piasek zabija nadzieję i nieważne dobre obyczaje, to gdy dałam jej córce cukierka, ona kazała małej podziękować. Trwało to kilka minut, ale dziecko dało się namówić na powiedzenie *Thank you*. Matka nie tylko starała się w ten sposób zachować godność w trudnych warunkach, ale też w pewnym sensie stawiała opór otoczeniu, które w dużej mierze pozbawiło ją cywilizowanego życia. Może nawet kontestowała moje oczekiwania, bo spodziewałam się zobaczyć odrętwienie. Moim zdaniem ludzie w parku Gezi robili coś podobnego: odrzucali apatię narzucaną przez wszechobecność przemocy.

Przeżycie w Turcji, jak w każdym innym miejscu ogarniętym wojną albo w spolaryzowanym politycznie państwie, którego mieszkańcy słyszą: „Jak się nie podoba, możesz wyjechać”, wymaga wykształcenia w sobie pewnego rodzaju odrętwienia. Na placu Taksim niepokorni obywatele nie tylko sprzeciwili się sugestii, by „dać sobie spokój”, ale też odrzucili wzorce promujące wrogość, brutalność, szorstkość i nieuprzejmość. Pośród chmur gazu łzawiącego stworzyli wzorcowy świat, jakiego pragnęli: niemal nierzeczywistą krainę życzliwości. Otoczone przez wszystkie matki dzieci bawiły się i rysowały, bardzo szybko powstała ogólnodostępna biblioteka, zbudowano sceny dla artystów, dzielono się jedzeniem. Pamiętam bezdomnego chłopaka błagającego demonstrantów, żeby nie odchodzili, bo w ich działaniach „pierwszy raz zobaczył ludzkie zachowanie”. Tak długo nas gnębiono, że teraz dzień po dniu rozsmakowywaliśmy się w uprzejmości i spotkaniach we wspólnej przestrzeni.

Możecie pomyśleć, że to brzmi jak Woodstock, dzieci kwiaty i tak dalej, ale nocą było tam nie tyle jak na kilkudniowym festiwalu muzycznym, co raczej jak w Strefie Gazy. Po zachodzie słońca naiwni idealiści musieli przedzierzgać się w wojowników walczących z policyjną przemocą, by o świcie znów wrócić do praktykowania życzliwości. Jednym z najpopularniejszych haseł w tamtym czasie było: „Wszędzie jest Taksim! Wszędzie stawiamy opór!”. Protestujący marzyli o poszerzeniu granic placu, o objęciu całego kraju wytworzoną przez siebie kontrkulturą.

Patrząc wstecz, mam wrażenie, że demonstranci próbowali przywrócić wiarę w sprawiedliwość w kraju, gdzie została ona zupełnie zniszczona. W państwie rządzonym zasadą, że „zwycięzca bierze wszystko”, w którym procesy polityczne toczą się latami, a dla dysydentów buduje się gigantyczne więzienia, w którym próbuje się siłą ujednoczyć obywateli, członkowie protestów w Gezi stworzyli wizję bardziej sprawiedliwego prawa i łagodniejszej moralności. Bunt kojarzy się zwykle z łamaniem przepisów i obalaniem systemu, ale tam działało się dokładnie na odwrót: dzień po dniu tworzone, kodyfikowano i wprowadzano w życie nowy wzór postępowania. I było miło, bardzo miło.

To właśnie dlatego taksówkarz i ja uśmiechamy się teraz na widok szarych plam. Wiemy, że wysmarowane na nich hasła są takim samym aktem oporu jak używanie przez nas słowa *efendim*.

Obezwładniające barbarzyństwo

W świetle mnogości i różnorodności wydarzeń, jakie miały miejsce w czerwcu 2013 roku, na pytanie „Czym było Gezi?” nie da się udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Lepiej zamiast tego zapytać: „Czemu przeciwstawiało się Gezi?”. Z moich wcześniejszych słów mogliście wywnioskować, że był to bunt przeciwko stopniowej moralnej degeneracji polityki i społeczeństwa. Gniew stojący za protestem wynikał częściowo z ignorancji i obezwładniającej bezczelności, jaka promieniowała od politycznych elit na całe społeczeństwo. Jeden z najtrafniejszych opisów tego stanu rzeczy pochodzi z magazynu satyrycznego. Musicie przy tym wiedzieć, że w Turcji takie tytuły nie stanowią wyłącznie rozrywki, lecz jedyny segment prasy pozwalający śledzić politykę bez popadania w obłąd. W państwie, które zakazuje rzetelnego dziennikarstwa, satyra jest od pewnego czasu najpoważniejszym nośnikiem komentarza politycznego, dlatego zacytuję słowa Umuta Sarıkayi z czasopisma „Uykusuz” [Bezsenność]:

Naprawdę nie rozumiem, jakim cudem nasz kraj przeszedł od »Wstydem nie jest nie wiedzieć, tylko się nie uczyć« do »Wydaje ci się, że jesteś ode mnie lepszy, bo się czegoś nauczyłeś, ty elitarystyczna świniu?! Ty jakobiński psychopato!«. Kiedy byłem dzieckiem, wiedza i nauka były jeszcze powodem do dumy. Z biegiem lat nagle cały kraj zaczął powtarzać: »Widzisz, do czego prowadzi nauka. Bycie wykształconym jeszcze nikomu nie wyszło na dobre«, a na dobitkę, niczym wisienka na torcie: »Niby czego mają nas nauczyć ludzie, którzy wiedzą X?«. Na własne uszy słyszałem zdanie: »Niby dlaczego jacyś socjologowie mają nam objaśniać socjologię?!«. Całkiem poważnie obawiam się, że niedługo ludzie, którzy czegoś się uczy i coś wiedzą, będą atakowani na ulicy. Dlatego mam dla was taką radę – żebyście dla własnego bezpieczeństwa udawali, że niczego nie wiecie. Wasza wiedza w dziedzinie, na której się znacie, może być dla kogoś śmiertelną obrazą.

Dominująca w debacie politycznej narracja AKP sprawiła, że inteligencja wstydzi się swojej wiedzy. Ignoranci u władzy powtarzają zdanie niemal żywcem wyjęte z powyższego felietonu: „Niby czego mamy się dowiedzieć od naukowców na temat nauki?”. Autorem cytowanej wyżej wypowiedzi o socjologii był oczywiście Recep Tayyip Erdoğan, wówczas premier. Za jego rzą-

dów mająca źródło w 1980 roku społeczna niechęć do inteligencji zmieniła się w ogólną wrogość względem wiedzy. Ludzie broniący prawa do ignorancji zasłaniali się źle pojętym wyobrażeniem o równouprawnieniu, mówiąc, że nie potrzebują opinii specjalistów. Tamy zaczęły pękać, budynki zawalać się, pociągi wykolejać, kopalnie eksplodować. Doszło do jeszcze większej liczby katastrof, a mimo to nikt nie pytał o zdanie ekspertów, gdy zaś sami się wypowiadali, rząd oskarżał ich o „pretensjonalność” i „oderwanie od rzeczywistości”. Dopiero bunt w Gezi oddał głos „ludziom, którzy coś wiedzą”. Wykształceni przestali się przejmować, że zostaną oskarżeni o zbrodnię arogancji i obracali kierowane w ich stronę obelgi na swoją korzyść. Humor był w Gezi nie tylko tarczą, lecz także paliwem.

Po tym, jak 31 maja blokująca przebudowę placu Taksim młodzież została zaatakowana przez policję, do protestu przyłączyły się najpierw setki, a w rezultacie tysiące ludzi. Przez pierwsze trzy dni demonstrował Sztambuł, następnie do akcji włączyły się Izmir, Ankara i inne miasta. W ciągu tygodnia akcja objęła całą Turcję. Nie było przy tym czasu, aby jednoznacznie określić, czego dotyczy protest. Gaz łzawiący był w użyciu bez przerwy, a każde natarcie policji dawało zgromadzonym nowy powód do stawiania oporu. Najbardziej oburzająca była w tym wszystkim cisza panująca w mediach głównego nurtu, które z przerażającym uporem milczały na temat brutalności służb mundurowych. Tymczasem wśród protestujących nawet najbardziej apolityczni przedstawiciele bohemy stali się w ciągu kilku dni ekspertami do spraw partyzantki. Pierwszą spotkaną na placu osobę moglibyście zapytać o to, jak zatrzymać policyjny pojazd do rozpędzania demonstracji marki TOMA albo jak usunąć skutki gazu łzawiącego, a podałyby wam całą listę sprawdzonych sposobów. Przez dwa tygodnie adrenalina utrzymywała się bez przerwy na wysokim poziomie. „Odszczepieńcy”, którzy przed protestami myśleli o emigracji, nagle znaleźli w Turcji miejsce dla siebie. Demonstranci twierdzili, że szkoda im przespać nawet kilku godzin, bo chcieliby uczestniczyć w każdej minucie protestu. Miliony osób z tureckiej diaspory piły w mediach społecznościowych: „Chcielibyśmy tam być!”. Choć ludzie odnosili rany, ślepli, a nawet ginęli, tysiące z entuzjazmem dołączały do „ruchu oporu”. Dla wielu z nich jedynym powodem była radość płynąca z solidarności i okazywania siły w obliczu okrucieństwa.

Satyra i sztuka polityczna rozkwitły tak, jakby przez ostatnie dziesięć lat blokowała je tama, która teraz pękła (przykłady możecie znaleźć na youtube’owym profilu Türkiye Direniyor – wystarczy odtworzyć playlistę „Direniş Şarkıları” [Piosenki opozycyjne]). W trakcie największych starć z policją ludzie i tak znaleźli chwilę, żeby pożartować z mundurowych, z rządu, a zwłaszcza z premiera Tayyipa Erdoğan. Ponieważ protesty zbiegły się w czasie z wprowadzeniem ograniczeń dotyczących spożycia alkoholu, niektórzy demonstranci kończyli każdy dzień toastem: „Twoje zdrowie, Tayyip!” [tur. *Şerefine Tayyip!*].

To był chyba najlepszy sposób na zerwanie władzy maski tolerancji i „doskonałego mariażu demokracji z umiarkowanym islamem”. Z każdym kolejnym żartem rząd dawał się sprowokować do pokazania swojego prawdziwego, ohydneho oblicza, które dotąd dla wielu pozostawało niewidzialne. Podobnie jak w przypadku placów Tahrir i Kasbah, humor z Taksim jest nieprzetłumaczalny, ale da się objaśnić rządzące nim i całym buntem mechanizmy.

Międzygalaktyczne lobby puczowe!

Czynnikiem, który przerwał zaporę powstrzymującą humor i uczynił stawianie oporu atrakcyjnym, była prosta zmiana w retoryce zastosowana przez turecką opozycję. Przez dekadę rządów AKP władze oskarżały swoich przeciwników między innymi o niedemokratyczność, terroryzm, powiązania z zagranicą, wrogość wobec religii, elitaryzm i ponížanie „prawdziwych Turków”. Szkalowani przez polityków i spin doktorów krytycy rządu opadli z sił, całą energię marnowali bowiem na odpieranie stawianych im zarzutów. Zgodnie z podstawowymi prawami logiki te wysiłki skazane były na porażkę: nie da się udowodnić, że coś nie istnieje. W skierowanym przeciwko niej dyskursie politycznym opozycja próbowała dowieść przed władzą swoich racji, oddając tym samym prawo do decydowania o własnej wartości. Siłowała się z tym niezrównoważonym sposobem myślenia całe dziesięć lat. Dopiero trzeciego dnia protestów w Gezi, kiedy premier nazwał demonstrantów *çapulcu*, czyli „szabrownikami”, wszyscy jakby jednocześnie doszli do wniosku, że miarka się przebrała, i stwierdzili: „Dobra, jesteśmy *çapulcu!*”. Przyjęło się. Każda obelga rzucana w stronę protestujących była przez nich przejmowana i powtarzana tak długo, że przestawała cokolwiek znaczyć. Słowu *çapulcu* zrobiono nawet stronę na Wikipedii i utworzono od niego neologizmy w języku niemieckim (*chapulieren*), francuskim (*chapulleur*) i angielskim (*chapulling*). Od tamtej pory protestujący stawiali się wszystkim, czym nazywał ich Erdoğan: alkoholikami, ludźmi z marginesu, agentami CIA, a nawet terrorystami. Szczytem wysmiewania się z oskarżeń było powstanie „międzygalaktycznego lobby puczowego”. Pośród wymyślanych przez rząd międzynarodowych teorii spiskowych pojawiły się twierdzenia, że protest jest wynikiem cyberataku na Turcję, a nawet że ktoś próbuje zabić premiera przy użyciu telekinety [*****](#). Demonstranci „przyznali się” wtedy, że wypełniają rozkazy płynące z Gondoru, że jednym z ich zwierzchników jest Darth Vader, *et cetera*. Na murach pojawiło się hasło: „Jesteśmy żołnierzami Gandalfa!”.

[*****](#) Autorem tej teorii spiskowej był główny doradca premiera Yiğit Bulut, który wcześniej twierdził także, że protestujących opłacała Lufthansa, ponieważ chciała zablokować budowę gigantycznego lotniska w pobliżu Stambułu.

Spróbujcie sobie wyobrazić niezliczone żarty, jakie można tworzyć w tak szalonej atmosferze. Dzięki humorowi opozycja odzyskała panowanie nad językiem. A wszystko za sprawą przejścia od depresyjnego „Nie, wcale tacy nie jesteśmy” do wesołego „Owszem, jesteśmy, to my!”. To pierwsze wyzwanie rzucone rządowi osłabiło w ludziach lęk przed władzą, a każdy kolejny dowcip bezlitośnie go dobijał. Warto przy tym wspomnieć, że owa bezgraniczna radość płynąca z docinania rządowi miała swoje źródło w lęku przed nim i była do tego lęku wprost proporcjonalna.

Tymczasem zagraniczne media głównego nurtu obdarzyły Gezi swoim typowym „Bóg jeden wie, dlaczego to ma miejsce”. CNN International chwaliło zbuntowaną młodzież za „wolność od ideologii”, a same protesty opisywała jako „spontaniczne”. Wydarzenia nazywano albo starciem między zwolennikami laickości a jej przeciwnikami, albo wojną kulturową. Żadna z tych rzeczy nie była prawdą. Demonstracje nie pojawiły się znikąd i nie były pozbawione ideologii, nie były nawet wolne od wpływu organizacji politycznych. Stanowiły wypadkową wieloletniej kumulacji strachu przed władzą i jednoczesnej chęci pokazania, że Turcy nie są grupką bezradnych dzieci, ale tworzą społeczeństwo złożone z wolnych i świadomych ludzi. Wprawdzie AKP otrzymała mandat na drodze demokratycznych wyborów, ale po dojściu do władzy budowała swój autorytaryzm poprzez wymazywanie istnienia opozycji. Gezi miało przypomnieć wszystkim, że przeciwnicy rządu istnieją naprawdę. To nie było starcie między zwolennikami a prze-

ciwnikami laicyzacji, lecz między lekceważącą ludzi władzą a jej kontestatorami. To dlatego protestujący na placu Taksim działali wspólnie, mimo że pochodzili z przeciwległych krańców politycznego spektrum. Choć przed tygodniem najchętniej by się pozabijali, przez chmury gazu łąwiącego kroczyli ramię w ramię. Lakrymatory mają bowiem pewną magiczną właściwość: potrafią rozproszyć wrogość między stronnictwami i ukierunkować ich energię w stronę wspólnej walki przeciwko władzy.

Świetliki nad Gezi

W kontrze do pogłębianej przez rząd polaryzacji polityki i społeczeństwa Gezi okazało się karnawałem zaufania. Musicie wiedzieć, że Turcja z wielu różnych powodów jest miejscem, gdzie obywatele nie darzą się wielką sympatią. Ponieważ wspólne obyczaje i płaszczyzny porozumienia zanikają, ludzie chcieliby żyć w otoczeniu podobnych do siebie. Być może moje państwo to szalone miejsce, ale wygląda na to, że większość krajów zmierza w tym kierunku. Wszyscy staramy się obronić przed innością. Słyszymy: „Nie ufaj nikomu!”, a jednocześnie sprzedaje się nam różnorodne zabezpieczenia. Chcemy chronić swoje pieniądze, dane, relacje z ludźmi, zdrowie, dzieci i tym podobne. Organizując wszystko według tych samych zasad, świat stara się zaspokoić to nasze pragnienie, ale do tego potrzebuje coraz więcej danych. Informacje zawarte w profilach na Facebooku zaczynają przypominać te z kwestionariuszy firm ubezpieczeniowych. Banki chcą wiedzieć o nas niemal to wszystko, o czym chcieliby się dowiedzieć nasi potencjalni partnerzy. Paradoksalnie, aby poczuć się bezpiecznie, zamieniamy się w chodzące oświadczenia na swój temat.

Jednocześnie krąży nad nami nowe widmo: to duch zaufania. „Nie idźcie ulicą X. Tam atakują gliny. Idźcie ulicą Y”. Dookoła jak na wojnie, a wy właśnie próbujecie gdzieś się schronić. Nagle jakiś anonim za pomocą Twittera, którego profil nie wiadomo czemu i od kiedy obserwujecie, wysyła informację, w którą postanawiacie uwierzyć. Świadomie postanawiacie mu zaufać. Czujecie jakies pokrewieństwo, decydujecie, że musi być taki jak wy. Uważam, że nazywanie Arabskiej Wiosny „rewolucją” jest nadużyciem, ale jednocześnie całym sercem wierzę, że w kwestii zaufania faktycznie doszło do wielkiego przełomu, od placu Tahrir po park Gezi. Podczas gdy gazety i stacje telewizyjne próbowały kupić naszą ufność, postanowiliśmy uwierzyć użytkownikom Twittera ukrywającym się za pseudonimami i memami. Intuicja i doświadczenie podpowiedziały nam, że lepiej polegać na ludziach niż na establishmencie. Zarówno w Egipcie, jak i w Turcji niebieska poświata smartfonowych ekranów unosiła się nad protestami jak chmara świetlików i tylko ona oświetlała drogę naprzód. Żadne media nie dostarczyły nam tak rzetelnych informacji jak nieznajomi z internetu. O politycznych następstwach tamtego okresu można dyskutować, ale w krajach, które doświadczyły podobnych ruchów społecznych, zaszła ogromna zmiana w relacjach międzyludzkich. W Turcji uczestnicy demonstracji w Gezi nie potrafią zaufać ludziom, których tam nie było. Nawet w serwisach randkowych wklejają zdjęcia z protestów. Znajoma przyznała kiedyś, że rozwiodła się z mężem, bo nie wziął udziału w tamtych wydarzeniach: „Po prostu przestałam mu już ufać!”.

W krajach, gdzie pojawiły się podobne protesty, ludzie chcieli przede wszystkim unaocznic, że chociaż różnią się od siebie, wierzą, że wszyscy zgromadzeni tak samo pragną wolności, równości i sprawiedliwości. Być może dzieliły nas religia i tożsamość etniczna, ale pokładaliśmy nadzieję w naszym człowieczeństwie. Fotografie zrobione podczas tamtych dni, komentowane jako dowody na istnienie „ducha demonstracji”, ukazują możliwość współistnienia skrajnie odmien-

nych od siebie ludzi. Są na nich wspomniani już lewicowcy rozkładający parasole nad modlącymi się w deszczu islamistami, na ujęciach z Egiptu i Tunezji widać Braci Muzułmanów stojących ramię w ramię z liberalną młodzieżą. Ludzie sprawili, że mury lęku, którymi otaczali się dotychczas, runęły, i ogłosili, że chcą żyć w taki sposób: ufając innym. Duch solidarności i wiary w człowieczeństwo niepostrzeżenie przeniknął do naszych miast w czasie, gdy świat uczył nas strachu po to, by móc sprzedać nam poczucie bezpieczeństwa. Być może nic nam z tamtego okresu nie zostało poza „kulerskimi” zdjęciami w maskach przeciwigazowych opublikowanymi na Facebooku, ale wszyscy uwierzyliśmy w ducha. Dlatego żadne z nas nie weźmie zaufania za „wariactwo”. Przez całe tygodnie wierzyliśmy, że nieznajomi wokół są podobni do nas, a nawet jeśli jednak są inni – to bez znaczenia, bo to dobrzy ludzie. Pokonaliśmy lęk nie tylko przed władzą, ale też przed dzielącymi nas różnicami. Wprawdzie otaczał nas zewsząd gaz łzawiący, ale nic nie śmierdzi gorzej niż strach. Nauczyliśmy się, że wzajemne zaufanie jest odwrotnie proporcjonalne do poczucia bezpieczeństwa: gdy drugie ginęło pod naporem policji, to pierwsze stałe rosło. Było tak, jakbyśmy oddawali światu ochronę, którą nam sprzedał za cenę ufności, i do rzucali nonszalancko: „Reszty nie trzeba”.

Pracowników międzynarodowych korporacji poddaje się często integracji. Podczas takich spotkań ćwiczy się *trust fall*, czyli upadek zaufania – pozwalacie swojemu ciału opaść swobodnie w tył, a reszta zespołu musi was złapać. To absurdalne ćwiczenie sprawia, że sprzedajesz swoje zaufanie wielkiej firmie, by ta mogła potem karmić nim swoich pracowników. Taki system pracy wymaga od ludzi, by pozostali radosnymi, naiwnymi dziećmi i jednocześnie zaciekle rywalizowali między sobą w bezwzględny wyścigu. Zatem firma wymaga zarazem absolutnego zaufania i jego wiecznego braku. Czy ktokolwiek wierzy w ten obłąd? Mam nadzieję, że nie. *Trust fall* skutecznie sprzedaje złudzenie bezpieczeństwa mające zrekompensować naszą niepewność, którą sam wytwarza. Tymczasem właśnie owa niepewność zwraca nas przeciwko sobie, dlatego czas zamienić fałszywe bezpieczeństwo na prawdziwe zaufanie.

Gezi było też buntem przeciwko amnezji. We wcześniejszym rozdziale była mowa o Denizie Gezmişu. To jeden z trzech mężczyzn straconych w 1972 roku. Ponad czterdzieści lat później, w 2013 roku, kilka dni po wybuchu protestów, jego twarz – przystojne oblicze buntu, którą dwa zamachy stanu i niezliczone prawicowe rządy próbowały wymazać z tureckiej pamięci – pojawiła się na wielkim banerze umieszczonym na fasadzie budynku przy placu Taksim. Obok zawisł równie imponujących rozmiarów transparent z hasłem: „Nie uginajcie się!”.

Powróciło także wiele słów, które trzy dekady wcześniej próbowano zepchnąć w zapomnienie, a najważniejszym z nich było *direnış*, czyli opór. Wyraz, który władza wyrzuciła niegdyś ze słownika, stał się w następstwie Gezi jednym z najczęściej używanych. Musieli go używać nawet ci, którzy nie uczestniczyli w buncie – unikanie mówienia *direnış* to swoisty grzech. Pokolenie urodzone po tym, jak „opór” został zapomniany, wprowadziło go na nowo do turczyzny, tym razem jako jej nieodzowny element. Podobnie stało się ze słowem „organizacja” [tur. *örgüt*], które od czasu puczu kojarzyło się z czymś nielegalnym. Także „solidarność” [tur. *dayanışma*] nie była już tylko domeną starych lewicowców, lecz pojęciem modnym wśród młodzieży. Oczywiście razem z wyrazami odzyskaliśmy również ich znaczenia.

Gezi było także buntem przeciwko pomieszaniu pojęć, próbą naprawienia szkód po dekadzie, która odwróciła rozumienie dobra i zła, racji i błędu, piękna i brzydoty. Opór wobec władzy znów był dobry, współpraca z nią – zła, nie na odwrót. Ignorant ponownie był w błędzie, dociekliwy miał rację – nie na odwrót. Szklane budynki na powrót stały się brzydkie, drzewa – piękne, nie na odwrót. Turcja na nowo rysowała swoją mapę znaczeń, tym razem poprawnie.

Dokąd nas to wszystko zaprowadziło?

Kiedy ucichły echa protestów, pozostał po nich dziwny stan umysłu. Cisza, jakby nasza armia wycofała się do okopów. Głęboka, patologiczna wręcz apatia. Oczywiście były ku temu dobre powody: zachowywaliśmy się jak zbite psy, ponieważ spadło na nas zbyt wiele ciosów. Wystarczy wspomnieć jeden: nastoletni Berkin Elvan, uderzony pociskiem z gazem łzawiącym, umarł po roku w śpiączce. Podczas tego samego wiecu, na którym jego krewnych nazwano terrorystami i wygwizdano, jakaś kobieta w średnim wieku wyraziła swoje uwielbienie dla premiera Tayyipa Erdoğan'a okrzykiem: „Jesteśmy włosami na jego dupie!”. Po tym zdarzeniu i setkach podobnych człowiek chciałby się zamknąć w sobie, żeby przeżyć. Ale czy to nie byłoby zbyt proste uproszczenie? To prawda, uginaliśmy się pod ciosami, ale u źródeł zubożenia tkwił jeszcze jeden powód: usilnie unikaliśmy dookreślenia, o co chodziło w całym proteście. Nie obraliśmy jednego kierunku, wobec czego parliśmy w każdą stronę, która wydawała się nam atrakcyjna, i to nas wycieńczyło. Może mielibyśmy szansę coś zmienić, gdybyśmy odpowiedzieli na powtarzane w parku Gezi pytanie: „Do czego dążymy?”.

To jasne, że odpowiedź jest skomplikowana. Gdybyśmy zrobili listę, wyglądałaby mniej więcej tak:

- Chcemy ruchu, który nie jest organizacją.
- Chcemy siły, która nie jest władzą.
- Chcemy współpracy pozbawionej hierarchii.
- Chcemy funkcjonować bez etykietek.
- Chcemy być skuteczni, ale spontaniczni.
- Chcemy tworzyć wspólnotę, pozostając sobą.
- Chcemy języka, w którym słowa nie są pustymi hasłami.
- Chcemy gniewu, który możemy skarnawalizować.

Wydaje mi się, że moje pokolenie jeszcze nie przegrało, ale tak bardzo boi się porażki, że nie przyzna się, na co postawiło. Milczymy, ponieważ nie spisaliśmy pełnej listy żądań, nie ucichliśmy z bólu po otrzymanych ciosach ani ze strachu przed kolejnymi tylko dlatego, że nie do końca wiemy, co powiedzieć.

Dojeżdżając do Cihangir, ja i mój taksówkarz urywamy rozmowę – samochód otoczyły dzieci z Syrii. Są bose, żebrzą po arabsku, pełno ich z każdej strony. Niezliczone nowe twarze w gronie głodujących... Prawie każdy udaje chwilową ślepotę, ale owo niewidzialne miasto biedy się rozrasta. Powinniśmy poruszyć ten temat, zanim przejdziemy do zabawniejszych wydarzeń.

Dzieci polityki „zero problemów”

Syryjskie dzieci zaczęły napływać na ulice Turcji najpierw dziesiątkami, następnie setkami, a w końcu całymi tysiącami. Nie mają butów, są niedomyte i nie umieją mówić. Próbuje żebrać, ale gdy skończą im się wyuczone zwroty, przechodzą z powrotem na arabski. Najczęściej powtarzają: „Syria! Syria!”, bo wiedzą, że to słowo nosi w sobie nieszczęście, z którym się nie da dyskutować. Czekają na poboczach, aż jezdnia się zakorkuje, po czym rzucają się do okien samochodów. Niektóre mają nie więcej niż pięć lat – za mało, by wiedzieć, że padły ofiarą nierealistycznie ambitnej i całkowicie niezrównoważonej polityki zagranicznej. Ale wkrótce dorosną i zaczną odkrywać, że historia, która pozbawiła je domów, tak naprawdę sięga wiele lat wstecz.

Zaczął się od samolotu, który uderzył w wieżę. Po zamachach z 11 września świat oszalał, wszędzie powtarzano: „Albo jesteś z nami, albo przeciw nam”, Recep Tayyip Erdoğan złapał wiatr w żagle. Tak się złożyło, że w 2002 roku został nowym, wyłonionym w demokratycznych wyborach, mużułmańskim przywódcą kraju, którego większość obywateli to wyznawcy islamu. Był odpowiednim symbolem koncepcji kształtowania światowego bezpieczeństwa: ochoczo promował neoliberalną politykę na Bliskim Wschodzie i realizował lansowaną przez Waszyngton narrację o „dobrych i złych mużułmanach”. Amerykanom uderzyło do głowy, że odkryli kogoś mniej kontrowersyjnego od Saudyjczyków, kogo mogliby przedstawiać jako wzór, stojący w kontrze do „mużułmanów terrorystów”. Legitymizacja tego sposobu myślenia miała miejsce nie tylko w Białym Domu, ale nawet na najbardziej szanowanych europejskich uniwersytetach. Jako mużułmański członek NATO Turcja stała się przykładową uczennicą Zachodu. Choć w kraju Erdoğan powtarzał: „Nie ma »umiarkowanej wersji« – islam jest tylko jeden”, za granicą z radością przyjmował łatkę „nowego przywódcy umiarkowanego islamu” i pozował do zdjęcia na okładkę magazynu „Time”. Tamten okres był czasem intensywnego wykorzystywania amerykańskich koneksji wspólnoty Fethullaha Gülena, międzynarodowe think tanki praktycznie ściagały się o to, który bardziej pochwali demokrację w Turcji. Ach, te rozkoszne wczesne lata! Potem pojawił się temat inwazji na Irak i Tayyip Erdoğan krzyczał na wiecach o tym, że turecka armia powinna wziąć udział w okupacji. Dzięki działaniom Platformy Antywojennej, której byłam jedną z rzeczniczek, parlament zawetował decyzję o wkroczeniu do Iraku. Powiedzmy sobie szczerze: premier ma dobre powody, żeby się na mnie wściekać. Ale mimo gniewu był wtedy jakimś cudem w stanie zinterpretować decyzję parlamentu na swoją korzyść do tego stopnia, że gdy pracowałam w Libanie jako reporterka, na własne oczy widziałam w twierdzy Hezbollahu billboard przedstawiający Erdoğan i Cháveza w roli dwóch przywódców przeciwnych okupacji Iraku. Poniżej ich podobizn widniało pytanie: „A gdzie są Arabowie?”. W oczach arabskiej opinii publicznej nasz prowojenny premier był sprzeciwiającym się Ameryce herosem. Znacnie już trochę polityczne manewry AKP, więc nie powinny was zaskakiwać, ale mnie wtedy i jeszcze przez wiele lat doprowadzały one do szału, tym bardziej że Erdoğan zdobył się na liczne przemowy potępiające inwazję na Irak.

To był początek popisowego okresu w polityce zagranicznej rządu. Premier mówił o „naszych braciach na Bliskim Wschodzie” i „kulturowym powinowactwie”, a wreszcie wypalił z pomysłem „inicjatywy bliskowschodniej”. Obywatele krajów, od których odcięto się w momencie założenia Republiki, mogli teraz odwiedzać Turcję bez wize. Zliberalizowano też handel międzynarodowy, a przywódcy owych państw demonstrowali zacieśnienie więzów, składając sobie wizyty w ramach nieformalnych spotkań. Krótko przed powstaniem w Syrii Tayyip Erdoğan nazywał Baszszara al-Asada „bratem”. Tu zabawny szczegół: kiedy Syria była naszą przyjaciółką, nazwisko jej prezydenta zapisywano „Esad”, ale gdy relacje się pogorszyły, zmieniło się również nazwisko, a raczej jego zapis: „Esed”. Esad to popularne w Turcji nazwisko, tymczasem wróg powinien brzmieć obco. Pisownię zmienił najpierw premier, a potem – nie bez wysiłku – przyzwyczajona do dawnej wersji prasa. Wróćmy jednak do czasów, gdy Turcja stała się nagle gwiazdą na międzynarodowej scenie. W celu zrozumienia tego raptownie zdobytego statusu gwiazdy skonsultujmy się ze specjalistą, profesorem Solim Özelem:

Wzrost znaczenia Turcji w polityce międzynarodowej wynikał ze szczególnej regionalnej i międzypaństwowej koniunktury. Definiującymi ją czynnikami były zamachy z 11 września (2001), wojna w Iraku (2003) i zmiana układu sił w regionie.

Ponieważ USA nie umiały okiełznać konsekwencji wojny w Iraku, zapanowała tam przemoc. Jednym z następstw wojny dla regionu był wzrost znaczenia Iranu, którego wpływy rozprzestrzeniły się za pośrednictwem Hezbollahu na Syrię i Liban, a za pośrednictwem palestyńskiego Hamasu na wschodnie wybrzeże Morza Śródziemnego. Gdy USA obaliły reżim Saddama Husajna, zachwiały też trwającą wiele wieków dominację sunitów w Iraku, po raz pierwszy od trzystu lat dając Iranowi możliwość oddziaływania na swojego sąsiada.

Nowe realia wykreowane przez wojnę były dla Turcji równie korzystne, co dla Iranu. Ankarą brała udział w rozwoju wydarzeń w Iraku: nawiązywała kontakty ze wszystkimi stronami, co przez pewien czas pozwoliło jej osiągnąć silną pozycję. Pomimo nacisków ze strony USA nie zerwała stosunków z Iranem i Syrią, wręcz przeciwnie: wzmocniła więzi gospodarcze z oboma krajami, a także z pozostałymi graczami w regionie, chciała zostać mediatorką pomiędzy Iranem a Zachodem, dążyła do podpisania traktatu pokojowego pomiędzy Syrią i Izraelem, w której to sprawie czyniła całkiem spore postępy, dopóki inwazja Izraela na Strefę Gazy w 2009 roku nie doprowadziła do zerwania rozmów.

Muszę w tym miejscu wejść w słowo Özelemu, aby coś wyjaśnić. Najpopularniejszym hasłem tureckiej polityki zagranicznej było wówczas: „Zero problemów z sąsiadami!”. Wymyślił je profesor Ahmet Davudoğlu, późniejszy premier. Napisał na ten temat książkę zatytułowaną *Stratejik derinlik* [Głębokość strategiczna], która zdaniem ekspertów nie była zbyt głęboka. Ale przyznajmy: taki projekt polityczny brzmiał całkiem dobrze w kraju, który od założenia uważał się za „otoczony przez wrogów”. Czyhające tuż za granicami straszidła miały zniknąć, a ich miejsce zająć znormalizowane stosunki z Armenią, Iranem, Irakiem, Syrią i innymi krajami. Tak zakładał plan, który przez jakiś czas był nawet sprawnie realizowany. Pozwólmy Solemu Özelowi opowiedzieć, co się stało potem.

Stosując się do polityki „zero problemów z sąsiadami”, Turcja powzięła kroki mające na celu umożliwienie integracji ekonomicznej. Równoległe ze zniesieniem obowiązku wizowego dla obywateli wielu krajów zliberalizowano handel. Dużą popularność wśród międzynarodowej opinii publicznej zyskały tureckie seriale telewizyjne, wzrastał też ruch dwustronny na granicach. To, w połączeniu z propagowaniem demokratycznej wizji kraju i jego „miękkiej siły” (którą wzmacniał proces starania się o członkostwo w Unii Europejskiej), sprawiło, że turecki styl życia, wraz z jego dobrobytem, zaczął być czymś bardzo atrakcyjnym w oczach ludzi Bliskiego Wschodu.

Podstawą ówczesnej polityki było założenie, że Turcja jest „krajem centralnym” dla otaczających ją ziem. Za sprawą tej idei na pierwszy plan wysunęło się głęboko osadzone w tureckiej tradycji polityki zagranicznej pragnienie samodzielnego działania. W oparciu o wywyższoną pozycję Turcji, jej spuściznę historyczną i polityczną oraz strategiczne położenie oczekiwano, że przejmie inicjatywę, wykorzysta wszystkie posiadane atuty i przejmie kontrolę nad całą strefą wpływów. [...] Przesunięcie strategicznego środka świata na wschód oraz powstanie w regionie politycznej próżni zdążyło już zapewnić Ankarze przestrzeń manewru. Ta przewaga, w połączeniu z wyjątkowością Turcji (jako świeckiej, demokratycznej, kapitalistycznej członkini NATO, będącej zarazem krajem muzułmańskim), ułatwiła państwu osiągnięcie pożądanego celu [...].

Kiedy w 2011 roku kraje arabskie ogarnęły rozruchy, klimat polityczny wokół Turcji uległ nieprzewidzianej zmianie. Przemiany, do jakich dążyła głównie ludność miejska, nie nastąpiły. Z wyjątkiem Tunezji w żadnym uczestniczącym w Arabskiej Wiosni kraju nie utrzymała się sprawnie funkcjonująca demokracja. Dzięki płynącemu z Zatoki Perskiej wsparciu dla kontrewolucji w 2013 roku doszło do zamachu stanu w Egipcie i w kraju znów zapanowała dyktatura. W Libii rozpad rządu doprowadził do wybuchu walk. Ponieważ Syrii nie pozwolono samodzielnie rozwiązać wewnętrznego konfliktu, zmieniła się w krwawą arenę haniebnej rozgrywki politycznej sił lokalnych (między Iranem, Arabią Saudyjską a Turcją) i globalnych (między USA a Rosją i Chinami).

Oczywiście podczas Arabskiej Wiosny uwaga świata znów skupiła się na Turcji. Mówiono o niej często jako o państwie modelowym, ponieważ była muzułmańską demokracją działającą według zachodnich

wzorców. Właściwą i etyczną polityką w tamtym czasie byłoby wsparcie buntu narodów przeciwko ich despotycznym władzom. Ankara nie potrafiła jednak właściwie odczytać układu sił na Bliskim Wschodzie. Choć wszyscy gracze byli muzułmanami, każdy z nich reprezentował odmienne cele. Do tego po wycofaniu wojsk amerykańskich z Iraku okazało się, że obecność armii USA paradoksalnie dawała Turcji większą swobodę działania.

Ponadto, w mojej opinii, Ankara popełniła dwa inne błędy: po pierwsze, porzuciła podejście ponadwzrostowe, przy którym trwała aż do wybuchu powstania w Syrii w marcu 2011 roku, ponieważ nie umiała przekonać partii Baas do pokojowego rozwiązania konfliktu. Włączyła się zatem bezpośrednio w syryjską wojnę domową, pozwalając siłom opozycyjnym na przekraczanie granic Turcji. Po trzech latach konfliktu na świecie utrwaliło się przekonanie, że Ankara jest jedną z głównych sojuszniczek sunnickich dżihadystów.

Po drugie, z powodu powinowactwa ideologicznego AKP związała się zbyt blisko z egipskim rządem Braci Muzułmanów. W konsekwencji za ostro zareagowała na tamtejszy pucz, [...] co doprowadziło do zerwania stosunków z Egiptem. Co więcej, pogłębiło to rozdzwięk między Turcją a państwami Zatoki Perskiej skupionymi wokół Arabii Saudyjskiej oraz popsło nieco stosunki kraju z Zachodem.

Protesty w Gezi w 2013 roku, na krótko przed zamachem stanu w Egipcie, nieodwracalnie zburzyły demokratyczny image, który Turcja budowała przez poprzednią dekadę. Reakcja rządu AKP na demonstracje, wspieranie brutalności policji oraz stosowana w odniesieniu do zajęć retoryka zniszczyły szanse państwa na stanowienie demokratycznego czy liberalnego wzoru dla Bliskiego Wschodu.

Tę niekompetencję w polityce zagranicznej nazwano „cenną samotnością”, ale takie zabiegi językowe nie zmieniają rzeczywistego stanu rzeczy. Stosunki Turcji z innymi państwami weszły w ponury okres potknięć i ratowania się z opresji.

Do tego błyskotliwego podsumowania ostatniej dekady należy dodać: cenę za błędy w polityce zagranicznej zapłaciły dzieci.

14 sierpnia 2013 roku w Kairze policja i wojsko działające pod rozkazami tymczasowego wicepremiera Egiptu, generała Abda el-Fattaha as-Sisiego, ostrzelały zwolenników Braci Muzułmanów. Pośród dziesiątek zabitych znalazła się siedemnastoletnia Esma. Premier Erdoğan tak był poruszony jej śmiercią, że rozplakał się na żywo w telewizji. Elektorat AKP wyrażał solidarność z ofiarami masakry, organizując demonstracje, do akcji szybko dołączyły także prorządowe media. Można by to wszystko uznać za godną pochwały ludzką reakcję, gdyby nie fakt, że w tym samym czasie turecka policja zabiła szóstkę młodych ludzi w parku Gezi. O nich szef rządu nawet się nie zająknął, ciągle tylko ronił łzy z powodu Esmy; z politycznego punktu widzenia jej życie było cenniejsze. Kiedy wreszcie przemówił na temat ofiar wśród protestujących w Stambule, chodziło o Berkina Elvana, czternastolatka ranionego w głowę pociskiem z gazem łzawiącym. Jak pamiętacie, Erdoğan nazwał krewnych chłopca terrorystami i zachęcał tłum do wygwizdania tej rodziny.

Bezdušność premiera rozwścieczyła wiele osób, a wśród nich Sezgina Tanrıku i Rıze Türmena – dwóch parlamentarzystów z opozycyjnej partii CHP. Przygotowali oni raport dotyczący długiej historii bezwzględności rządu wobec dzieci, w którym czytamy: „Od śmierci dwunastoletniego Uğura Kaymaza, którego [policja zastrzeliła] na progu domu w 2004 roku, aż do śmierci Berkina Elvaza, którego zabito podczas protestów w Gezi, gdy wyszedł kupić chleb, AKP nie zmieniła swojej polityki polowań na dzieci. Za wszystkie zabójstwa nieletnich, z których najbardziej wyróżnia się przypadek Uğura Kaymaza, albo nikogo nie skazano, albo wydano wyrok bardziej przypominający nagrodę niż karę. Osiemnaścioro dzieci zabito w 2006 roku, troje w 2007 roku, jedno w 2008 roku, dwanaścioro w 2009 roku, czternaścioro w 2010 roku, trzydzieścioro jedno w 2011 roku. Z trzydzieścioro czworga ofiar masakry w Roboski w 2011 roku dwadzieścioro dwoje było dziećmi. Dziesięścioro dzieci zabito w 2012 roku, jedno w 2013 roku

i troje w 2014 roku. Z sześciorga osób, które zginęły w wydarzeniach w Cizre w styczniu 2015 roku, czworo było dziećmi”.

Pomimo wymowności tych statystyk podejrzewam, że kroniki zapamiętają stosunek rządu AKP do dzieci przez pryzmat zupełnie innej historii związanej z miasteczkiem Pozanti – ona również nie ma szczęśliwego zakończenia.

W lutym 2012 roku na stronie internetowej Dicle News Agency, niezależnego serwisu informacyjnego zajmującego się głównie kwestiami kurdyjskimi, pojawił się materiał poświęcony małej miejscowości w prowincji Adana na południu Turcji. Komunikat dotyczył zająć, do których miało dochodzić w zakładzie poprawczym, gdzie wyrok odsiadywała głównie kurdyjska młodzież. Stowarzyszenie Praw Człowieka (İHD) już przed rokiem solidnie udokumentowało tę historię: siedmioro dzieci przygotowało pisemne zeznania dotyczące gwałtów, molestowania i tortur, jakich ofiarą padły ze strony pracowników i kolegów. Niektóre z nich odsiadywały wyroki wydane na mocy prawa antyterrorystycznego, które traktuje nieletnich jak dorosłych.

W czerwcu 2014 roku Turecka Fundacja Praw Człowieka (TİHV) przygotowała raport na podstawie oświadczeń kolejnej ósemki dzieci, zawierający podobne oskarżenia pod adresem pracowników poprawczaka. W lipcu 2014 roku İHD i TİHV złożyły w Ministerstwie Sprawiedliwości dwadzieścia pięć raportów z zeznaniami i zaświadczeniami o stanie zdrowia przetrzymywanych w placówce młodocianych. Niektórzy z nich nie potrafili nawet opisać, co im zrobiono. Jedno świadectwo kończyło się zdaniem: „Chciałem się zabić, ale pomyślałem o mojej matce i nie mogłem”. Wychowanków wyzywano, bito, zmuszano do pracy, gwałcono, torturowano metodą *falaka* (chłostanie podeszew stóp), wieszano za szyję na obręczy kosza do koszykówki. Nie dopuszczano do nich lekarzy.

Dla prasy głównego nurtu Pozanti nie istniało. Sprawa dotyczyła Kurdów, a dziennikarze wiedzieli, że rząd nie chce o nich słyszeć. Nie mogąc znieść medialnej ciszy, użytkownicy Twittera rozpoczęli akcję na rzecz nagłośnienia sprawy. Dopiero pod takim naciskiem prasa przełamała swój strach przed władzą i zaczęła donosić o tych strasznych wydarzeniach. Prawie rok po zgłoszeniu raportu na temat tortur do Ministerstwa Sprawiedliwości jego szef wreszcie zareagował. Wymyślił genialne rozwiązanie: należy przenieść dzieci do innego więzienia. Do świeżo odmalowanego! Przed kamerami wychwalał nowy zakład w Sincan, w prowincji Ankara, osiem godzin drogi od rodzinnych stron skrzywdzonych dzieci. Zielone, ozdobione delfinkami i kwiatkami ściany miały pocieszyć młodociane ofiary tortur. Co więcej, tym razem miały być one trzymane w osobnych, monitorowanych celach – dla każdego dziecka jedna izolatka.

Gdyby sprawa miała taki finał, byłby to tylko jeden z wielu przykładów nieludzkiego traktowania młodych Kurdów. W Turcji potrzeba dziś trochę więcej, żeby historia zasłużyła na miano „wstrząsającej”. Z dokumentów upublicznionych przez opozycyjną partię CHP dowiedzieliśmy się, że naczelnik zakładu poprawczego w Pozanti został decyzją Ministerstwa Sprawiedliwości także przeniesiony do Sincan. Był na miejscu jeszcze przed przybyciem dzieci. Jego zastępca, który pojawiał się jako oprawca w większości zeznań, został (w ramach awansu!) skierowany do kurdyjskiego miasta Wan. Ale na tym wciąż nie koniec: tego samego dnia, kiedy dzieci pojechały do nowego więzienia, policja urządziła nalot na Dicle News Agency. Troje korespondentów przygotowujących materiały o Pozanti zostało zatrzymanych pod zarzutem współpracy z PKK. Zatrzymano także ich informatora, byłego więźnia znanego jako T.T.

Każdy, kto brał udział w ujawnieniu sprawy, teraz bezpiecznie siedział pod kluczem. Dzieci z pewnością cieszyły się z delfinów na ścianach swoich kojąco zielonych izolatek... Tak się przynajmniej wydawało, dopóki lewicowy serwis informacyjny sendika.org nie opublikował listu Çağdaşa Ersöza. Chłopaka aresztowano, gdy protestował przeciwko budowie hydroelektrowni, i na dwa miesiące wysłano do Sincan. Choć w jego świadectwie powtarzały się tortury i gwałty, okazało się, że Sincan odróżniało się od poprzedniego zakładu zupełnie nowym wynalazkiem: „miękkim pokojem”. Ponieważ nieletnim więźniom nie można w ramach kary odmówić przekazywania listów z zewnątrz, strażnicy zamiast tego zabierali ich do tego „tajnego” pomieszczenia (według Çağdaşa wiedzieli o nim wszyscy pracownicy, z lekarzami włącznie). Bicie, *falaka*, rozbieranie i wyziębienie – to tylko niektóre z rozlicznych form przemocy, jakie stosowano. Çağdaş twierdził, że w dniu, kiedy przybył do Sincan, jedno dziecko popełniło w „miękkim pokoju” samobójstwo, a inne zostało zgwałcone przez starszego kolegę.

Gdyby to był film, w tym miejscu pojawiłby się na ekranie uspokajający napis: „Ludzie odpowiedzialni za zbrodnie w Pozanti zostali osądzeni i skazani na tyle a tyle lat więzienia. Dzieci zostały wypuszczone na wolność i otrzymały pomoc psychologiczną”. Dopiero wtedy bylibyście w stanie odetchnąć z ulgą. Nie da się spać spokojnie bez świadomości, że człowieczeństwo triumfuje, a dobro pokonuje zło – taka jest nasza natura. Ale w Turcji śpi się mimo to. Budzimy się kolejnego dnia, żeby zobaczyć, jak bardzo się pogorszyło. Wierzimy uparcie, że kiedyś musi nadejść koniec. Przypadek Pozanti pokazuje jednak, że ów koniec nie nadchodzi. Jeden z chłopców zgwałconych w 2012 roku dwukrotnie podejmował próby samobójcze, z trudem go odratowano. Gdy tylko wyszedł ze szpitala, znów został aresztowany i postawiony przed sądem, grozi mu czterdzieści lat więzienia. Cztery ofiary z 2014 roku zostały oskarżone o „spowodowanie uszkodzeń ciała, wymuszenie, zniesławienie, zniszczenie mienia i stawianie oporu przy zatrzymaniu”, grozi im dożywocie.

Załóżmy, że powyższa historia zaniepokoiła was na tyle, że chcecie zajrzeć do internetu i przeczytać o tym, co stało się bądź stanie z resztą dzieci. Opuśćcie sobie: serwisy informacyjne, które pisały o Pozanti, zostały pozamykane przez władze, a premier nie płakał nad losem młodych ofiar, bo z politycznego punktu widzenia były warte mniej niż zabita w Kairze Esma. Nie trzeba mu takich dzieci jak młodociani więźniowie albo żebrzący mali Syryjczycy. Jakich zaś potrzebuje? Podam przykład. Podczas buntu w Gezi Erdoğan był tak wściekły, że hurtowo organizował antydemonstracje: czasem odbywały się nawet trzy dziennie. Jedną z uczestniczek była dziewczynka znana jako „Mała Zeynep Serra”. Tak był podpisany jej transparent, który głosił: „Chcemy religijnych mężów, a nie pijaków i szabrowników”. W ocenie prorządowych mediów fakt, iż sześć- czy siedmiolatka rzekomo wyraziła swoją niechęć do małżeństwa z demonstrantem z Gezi, był tak uroczy, że jej zdjęcie trafiło na pierwsze strony gazet.

Jeśli macie dość, to dojedźmy już do Cihangir i porozmawiajmy na lżejsze tematy. A żeby trochę lepiej wczuć się w klimat, po drodze rzućmy jeszcze okiem na graffiti z czasu protestów, którego szara farba jakimś cudem nie dosięgła: „Uciszczone nas wreszcie! Gorzej już nie będzie!”. Pod spodem dopisek, typowa dla Gezi odzywka: „Słusznie prawi, panowie!”.

Pulpety kontra teatr

Choć Cihangir jest stambulskim Soho, a zatem całkiem zamożną dzielnicą, drogi są tutaj okropne. Krąży plotka, że AKP-owski samorząd umyślnie nie łąta dziur, żeby ukarać tę część miasta, która odegrała tak dużą rolę w czasie protestów w 2013 roku. To całkiem możliwe, bo kiedy

ostatnio próbował przyjechać tu burmistrz, obrzucono go wyzwiskami i zablokowano mu wjazd. Cihangir jest znane z niezliczonych kawiarni wypełnionych cyganerią i imigrantami, a największą renomą cieszy się ta usytuowana w cieniu lokalnego meczetu. Kto ją odwiedza? „Ci ludzie”. Kim są „ci ludzie”? Pozwolę, aby odpowiedział autor tego wyrażenia: sam Recep Tayyip Erdoğan. 8 marca 2012 roku w Kahramanmaraş, twierdzy prawicowego nacjonalizmu, nasz premier jak zwykle wygłaszał mowę, która mimo zawartych w niej niejasności rozpałała tłumy. Słowa, jakie za chwilę przeczytacie, bardzo dobrze dobrano do miejsca ich wygłoszenia. Maraş, uhonorowane przez rząd w 1973 roku tytułem *kahraman*, „bohaterskie”, jest najbardziej znane z masakry alewitów w 1977 roku. Było to zatem idealne miejsce na gniewne przemówienie na temat artystów, dziennikarzy i reszty stambulskiej inteligencji.

Moi drodzy bracia i siostry! Ci ludzie uprawiają sztukę dla sztuki. Nie tworzą sztuki dla ludu – są elitarystami! Jakobinami! Ci ludzie nigdy nie wpuszczają innych w obręb swojej kasty. [...] Tylko oni znają się na teatrze. Tylko oni znają się na filmie, muzyce, rzeźbie, malarstwie, literaturze. Ci ludzie patrzą z góry na lud, na jego pot i krew, na jego kulturę i wybory. Przez lata umniejszali nas w tworzonych przez siebie karykaturach. Przez lata umniejszali nas w prasie i na ekranie. Przez lata umniejszali prawdziwe usługi ludu – imamów [...].

Co im powiemy teraz? Powiemy im: Bracie, chcesz grać w teatrze? Możesz, proszę bardzo, załóż sobie prywatny teatr, pośród swoich, sobie podobnych. Jasne, udostępniemy ci sceny, a jeśli naszym recenzentom spodoba się scenariusz, to nawet damy pieniądze, nawet cię wypromujemy! Ale mentalności, która cię tu przywiodła, już nie chcemy. Działaj sobie sam, swobodnie, autonomicznie, prywatnie; państwo umywa ręce od teatru, siedź sobie na swojej scenie, proszę bardzo!

Był to przykład narracji, którą Erdoğan uprawiał tak długo, aż jego elektorat praktycznie nauczył się jej na pamięć. Ponieważ prywatyzacja państwowych teatrów była częścią jego polityki, by oprócz konserwatywnego prawa stworzyć także konserwatywną kulturę i sztukę, setki mów premiera dotyczyły „tych ludzi”. Warto przy okazji zaznaczyć, że w języku tureckim zaimek, którego używa Erdoğan, ma wydźwięk szczególnie pogardliwy, ponieważ stosowany jest zazwyczaj w odniesieniu do zwierząt i rzeczy. „Ci ludzie” są więc w jego ustach zawsze konkretną, choć stale rosnącą, grupą społeczną. Podczas pierwszej kadencji rządów AKP chodziło o zwolenników „kurateli wojska”^{*****}, następnie o wszystkich krytykujących autorytarne dążenia partii, a wreszcie o każdego, kto nie był po jej stronie. „Ci ludzie” to obelga rzucała w kierunku lewicowców, intelektualistów, artystów i coraz częściej każdego, kto zdobył jakiejkolwiek wykształcenie. Każde powtórzenie „ci ludzie” wywoływało w tłumach gwizdy, budząc uśpioną niechęć do inteligencji. Każda kolejna przemowa była krokiem naprzód w rządowej kampanii prześladowania, ignorowania i wykluczania ludzi wykształconych. „Ludowi” wmawiano, że jest prześladowany przez „tych ludzi”, i niemal bez ogródek namawiano go do szukania zemsty. Po każdym wystąpieniu podobnej treści AKP podejmowała takie same kroki. Na przykład w 2013 roku Ministerstwo Kultury postanowiło oceniać wnioski o dotacje dla prywatnych teatrów według kryterium „dostosowania do powszechnej obyczajowości”. Plan ten zakończył się projektem ustawy o instytucjach sztuki w Turcji (TÜSAK), który regulował kontrolę i finansowanie instytucji kulturalnych. Położono w ten sposób podwaliny pod usankcjonowaną prawnie cenzurę. W przypadku prywatnych grup teatralnych wprowadzono obowiązek dołączania tekstu wystawianej sztuki do wniosku o dotację. W tym samym roku obcięto dofinansowanie dla kompanii Genka Erkala, jednego z najznamienszych ludzi teatru w kraju, ponieważ popierał protesty w Gezi. W 2014 roku usunięto *Makbeta* z repertuaru tureckich Teatrów Państwowych, dyrek-

torem Teatru Miejskiego w Stambule mianowano byłego sędziego zapaśniczego i komendanta policji Şevketa Demirkayę, a generalna dyrekcja Państwowych Oper i Baletów zakazała noszenia na scenie konkretnych rodzajów ubrań, w tym legginsów.

***** Mowa o *askeri vesayet*, czyli roli wojska jako siły nadzorującej władzę; ten koncept leżał u podstawy licznych przewrotów wojskowych w historii Turcji.

Oczywiście nie tylko teatr przeszkadzał Erdoğanowi, lecz miał on także wyrobioną opinię na temat rzeźby. 8 stycznia 2011 roku, w trakcie kampanii wyborczej i pobytu w Karsie, rozszawionym na kartach powieści Orhana Pamuka pod tytułem *Śnieg*, znowu krzyczał: „Potworność!”. Miał na myśli ogromny pomnik, który burmistrz miasta, także członek AKP, kazał postawić przy granicy z Armenią jako symbol pokoju. Rzeźba wykonana według projektu Mehmeta Aksoya, jednego z najbardziej cenionych rzeźbiarzy w Turcji, ledwie została ukończona, gdy okazało się, że premierowi się nie podoba. Kilka miesięcy po tym, jak wyraził swoje zdanie, pomnik zdemontowano – wbrew decyzji sądu i całkiem sporym kosztem. Najgorsze jednak były okrzyki „ludu”, kiedy zabierano się do rozbiórki: „Allahu akbar!”. Myślę, że moje przerażenie tego dnia podzielali nawet ci przedstawiciele inteligencji, którzy uznali mnie za „elitarystyczną jakobinkę”, kiedy stwierdziłam, że Turcja jest czasami jak Afganistan, tylko ubrany w ładniejsze ciuszki.

Erdoğan interesował się również muzyką, dlatego utwory Fazıla Saya, światowej klasy kompozytora prezentującego poglądy krytyczne względem AKP, natychmiast usunięto z repertuaru Prezydenckiej Orkiestry Symfonicznej. Jednak najbardziej upiornym przykładem niechęci do „tych ludzi” była wypowiedź ministra spraw wewnętrznych z 2011 roku: „Działalność terrorystyczna ma miejsce na naszym podwórku, na tyłach domu, a to podwórko może być w Stambule, może być w Izmirze, Bursie, Wiedniu, Niemczech, Londynie, gdziekolwiek, za katedrą na uniwersytecie, w stowarzyszeniu, w organizacji pozarządowej. [...] Wyglądają, jakby śpiewali, ale między trzema piosenkami mówią coś do publiczności, wplatają wtedy jakieś ładne zdanko. Cokolwiek z tego wyciągniecie, cokolwiek zrozumiecie. Uprawiają na tej scenie sztukę. Co na to poradzimy? Nie jesteśmy przeciwni sztuce, ale musimy wyłowić ich z chirurgiczną precyzją”. Życzę powodzenia tłumaczowi, który to musi przełożyć. Mam także nadzieję, że czytelnikom uda się nie popaść jednocześnie w obłęd i melancholię po takiej dawce łamanej nowomowy tureckiego rządu. W reakcji na wynurzenia ministra, niechybnie zapowiadające nowe prześladowania, artyści wystosowali do władz petycję: „Zakazać sztuki! Uwzględnić sztukę w definicji działalności terrorystycznej!”.

Wspomniałam, że jedną z najpopularniejszych kawiarni w Cihangir jest ta obok meczetu Firuz Ağa. To tradycyjny lokal na świeżym powietrzu, więc wezwanie do modlitwy regularnie zagłusza rozmowy, a klienci sączą napoje w milczeniu. Przerywane konwersacje dotyczą tych samych tematów, co we wszystkich podobnych miejscach na świecie. Stambulski światek artystyczny nazywa również to miejsce „giełdą niewolników”, ponieważ aktorzy teatralni i telewizyjni spędzają tutaj niemal całe dni. Na pytania o aktualne tematy polityczne bywalcy zareagują irytacją i oburzeniem, ale jeśli zapytacie, jakimi to gustami „ludu” rzekomo pogardzają „ci ludzie”, odpowiedź z pewnością was rozbawi.

W kwestii rzeźby, na przykład, „lud” wykazuje dwie dominujące tendencje. Pierwsza polega na stawianiu wszędzie, gdzie to możliwe, posągów Atatürka (mnożyły się szczególnie w latach osiemdziesiątych): Atatürk na koniu wskazuje żołnierzom cel ataku, Atatürk wskazuje drogę młodym mężczyznom, Atatürk wskazuje drogę młodym mężczyznom i kobietom, Atatürk stoi i niczego nie wskazuje. Niektóre z tych pomników są szczególnie dziwaczne: w jednym z miast

Anatolii Atatürk góruje niczym potwór Frankensteina nad młodzieńcem, którego z niewiadomych przyczyn wpuszcza pod połę swojego płaszcza. Dodajmy do tego jeszcze, że portrety wodza eksponuje się w najbardziej widocznych miejscach wielu tawern, legitymizując tym samym spożycie raki i podkreślając laickość przybytku.

Jedynym typem rzeźby, który pod względem popularności może konkurować z Atatürkiem, jest „towar eksportowy miasta”. Zazwyczaj traktuje się go dość dosłownie: w Malatyi stoją wielkie morele, w Diyarbakır – arbuzy, a w İnegöl – gigantyczna kofta nadziana na widelec. Podobną mięsno-warzywną sztukę można oglądać w niemal każdym mieście Turcji. Ale najbardziej przerażającym przykładem tego nurtu jest moim zdaniem stojący w pobliżu wjazdu do miejscowości Wan posąg kota rasy turecki van. Zbliżenie Turcji do świata arabskiego odpowiada z kolei za zupełnie nową modę wśród „ludu” – plastikowe palmy. Samorządy lokalne zdominowane przez AKP chyba ze sobą w tej kwestii konkurują, bo sztuczne drzewka zaczęły się w miastach rozmnażać.

Jeśli mowa o sztukach scenicznych, nasz „lud” preferuje teleturnieje, gdzie opowiada się niewyszukane żarty, a uczestnicy upokarzają się dla pieniędzy. Maraton taneczny z *Czyż nie dobiega się koni?* wygląda przy tym jak występy Baletu Bolszoi. Rząd zadbał jednak o to, by „lud” obcował także z poezją. W spotach telewizyjnych upamiętniających bitwę o Çanakkale Erdoğan osobiście recytował konserwatywno-nacjonalistyczny wiersz. Zaopiekowano się także gustem filmowym narodu, wydając na kinowe superprodukcje gigantyczne sumy z budżetu państwa. Godnym uwagi dziełem jest na przykład *Kod Adı: K. O. Z.* będący „rekonstrukcją” politycznego starcia wspólnoty Fethullaha Gülena ze zwolennikami Erdoğan i „dokumentacją” zdrady tych pierwszych. Choć film wyświetlano w kinach za darmo, publiczność go nie doceniła i został wycofany z dystrybucji.

Literatura to osobny temat. W ciągu ostatnich pięciu lat nasz „lud” podczas zagranicznych festiwalu reprezentowali raczej nieznanymi pisarze konserwatyści. Z kolei występujący za granicą literaci i satyrycy, których Erdoğan osobiście nie lubi, okrzykiwani byli zdrajcami i przywoływani do porządku. Stworzono nowe przepisy dotyczące dotacji na przekłady tureckich książek, żeby „z chirurgiczną precyzją” wyłowić i wspomóc tylko tytuły podobające się władzy. Można by powiedzieć, że kofta przyrządzana przez „lud” zabiła Makbeta, który został wygwizdany na własnym pogrzebie.

O tych sprawach rozmawiają wszyscy artyści, aktorzy, intelektualiści, pisarze i dziennikarze żyjący w Cihangir. Z czasem uczą się pokrywać wściekłość głośnym śmiechem. Niewiele ich cieszy poza działalnością maleńkich grup teatralnych i satyrycznych pisemek, jakie się tu tworzą niemal codziennie. Jednak niektórzy z „tych ludzi” płacą wyższą cenę za gniew Erdoğan zwrócony przeciwko każdemu, kto nie jest konserwatywnym, sunnickim mężczyzną jak on. Zilustruję to pewnym zdarzeniem z 18 lutego 2015 roku.

Mój znajomy Nuh Köklü był jednym z dziesiątek dziennikarzy, którzy stracili pracę po Gezi. Podzielił los wszystkich przekazujących wiadomości bez cenzury. Został aktywnym członkiem jednego z wielu sąsiedzkich komitetów solidarności, jakie uformowały się po protestach. Chodząc na zebrania, kupował po drodze karmę dla zwierząt i zostawiał ją na ulicy, żeby bezdomne koty i psy nie głodowały w mroźne zimowe noce. Nuh był czterdziestosześcioletnim, długowłosym socjalistą i to nieprawda, że „wybrał ubóstwo”, jak podawała później telewizja, która sama wyrzuciła go na bruk. 18 lutego wraz ze swoją dziewczyną i przyjaciółmi udał się na protest przeciwko nowemu prawu dotyczącemu bezpieczeństwa wewnętrznego, a mającemu poszerzyć kompetencje policji na niewyobrażalną dotąd skalę. Wracając z demonstracji, przyjaciele zaczęli

obrzucać się śnieżkami. Jedna ze śniegowych kulek uderzyła w witrynę sklepu spożywczego, w którym Köklü regularnie kupował karmę. Sprzedawca wyszedł na zewnątrz i zadźgał go nożem. Ostatnie słowa umierającego Nuha, którego znaleźliśmy jako dobrego człowieka, brzmiały: „Proszę, niech to będzie sen”.

„To był tylko sen, ale się spełnił” – brzmiał używany w ostatnich latach slogan AKP. Tak, zabicie dziennikarza za jedną, niezręcznie rzuconą śnieżką brzmi jak koszmar, ale nie w kraju, którego obywatele od lat podjudzano do wymierzenia kary „tym ludziom”^{*****}. Tysiące żałobników na pogrzebie Nuha Köklü miały podstawy, by obawiać się, że tego typu zbrodnie będą coraz częstsze, przerodzą się w falę nienawiści, a oni mogą kiedyś paść ich ofiarą.

^{*****} Wspomniany przez autorkę komitet Yeldeğirmeni Solidarity wydał w sprawie śmierci Köklü oświadczenie, częściową winą za śmierć dziennikarza obarczając prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğan, który w listopadzie 2014 roku powiedział: „[K]upcy i rzemieślnicy w razie potrzeby stają się żołnierzami. [...] W razie potrzeby przywracają porządek jako policjanci; w razie potrzeby stają się sędziami i wymierzają sprawiedliwość” (za „Hurriyet Daily News” z dnia 26 listopada 2014 roku).

Mniej więcej miesiąc później miał miejsce pewien incydent z bałwanem – przepraszam: bałwanek – lecz wbrew pozorom także nie ma w nim nic zabawnego. Uczniowie pewnej szkoły ulepili na szkolnym podwórku bałwanek zamiast bałwana i poprosili nauczycielkę, żeby zrobiła sobie z nimi wspólne zdjęcie. Przeciwno kobiecie wszczęto śledztwo, zarzucając jej „czyny niezgodne z wartościami społecznymi”. Dominujące w kraju siły chciałyby ujednoczyć nawet śniegowe figury. Bałwanie sutki z oliwek mogłyby jednak nieodwracalnie zdemoralizować społeczeństwo! „Tych ludzi” należałoby natychmiast pozamykać!

Zapada zmrok. Przejdźmy się na plac Taksim, do serca Stambułu, a potem zakończymy ten nasz długi dzień. Ale co to? Przed nami grupka dzieci o śniadej cerze – przebijają się biegiem przez hordy turystów znad Zatoki Perskiej, a tym z Zachodu pokazują palce ułożone w kształt uszu zajęczków. Czy to znak pokoju, czy może zwycięstwa? I dlaczego na widok policji chowają rączki i szybko uciekają?

Dwa oblicza victorii: Kurdowie i Turcy

Szesnastego listopada 2014 roku rozradowani dorośli i dzieci z całego świata publikowali na Twitterze selfie, na których pokazują gest victorii. Żeby okazać wsparcie moralne dla działającej w Syrii kurdyjskiej organizacji zbrojnej YPG^{*****}, użytkowniczka @JessicaGG25 stworzyła hashtag #ShowYourV4YPG [pokaż swoje V dla YPG] i poprosiła obserwatorów w serwisie o jego rozpowszechnienie. Piękno, odwaga i wiara w zwycięstwo bojowniczek z Ludowych Jednostek Obrony imponowały nie tylko internautom, ale też międzynarodowej prasie. Kurdyjki wzięły nawet udział w sesji zdjęciowej dla magazynu „Marie Claire”. Jednak gdy reszta świata zachwycała się walecznymi kobietami i mężczyznami z YPG, w Turcji pokazanie znaku V miało całkiem inne konsekwencje. Kobięca drużyna piłkarska z Diyarbakır, uważanego za niepisaną stolicę tureckich Kurdów, zagrała przeciwko Samsun w znanym z prawicowo-nacjonalistycznych nastrojów mieście Erzurum i wygrała imponującym wynikiem dwadzieścia cztery do zera. Przeciwno kurdyjskim futbolistkom wszczęto następnie postępowanie dyscyplinarne, ponieważ okrążając boisko po swoim miażdżącym zwycięstwie, układały palce w znak victorii. Mniej więcej w tym samym czasie pojawiły się doniesienia, że kobieta, która na wiecu premiera w kurdyjskiej prowincji Ağrı pokazała „V”, została wciągnięta do budynku i pobita. A zaraz po-

tem w regionie Batman, również zdominowanym przez Kurdów, aresztowano obywatelkę mającą wykonywać ten sam gest w kierunku autobusu wiozącego prezydenta Erdoğan. Znak kurdyjskich partyzantów walczących z tak zwanym Państwem Islamskim na syryjsko-tureckiej granicy może się wydawać sympatyczny na zachód od Stambułu, ale w Turcji traktowany jest jak symbol jednej ze stron zupełnie innej wojny. Nawet dzieci z placu Taksim instynktownie wiedzą, że gest ten spleciony jest z historią Kurdów.

********* Ludowe Jednostki Obrony (kurd. *Yekîneyên Parastina Gel*, YPG) – organizacja zbrojna utworzona w 2004 roku, od 2011 roku biorąca udział w wojnie domowej w Syrii i odnosząca w niej znaczące sukcesy. Szczególny rozgłos i popularność na Zachodzie zapewnił YPG także fakt, że w skład formacji wchodzi wiele kobiet, a od 2012 roku szkolą się one i walczą też w ramach osobnych Kobiecych Jednostek Obrony (kurd. *Yekîneyên Parastina Jin*, YPJ).

Reszcie świata znak victorii kojarzy się prawdopodobnie z Winstonem Churchillem, lecz w moim kraju to „gest Kurdów”, na którego widok tureccy nacjonaści marszczą brwi, zaś na kurdyjskich twarzach gości uśmiech. By być bardziej precyzyjnym, można by go nazwać „gestem PKK”. Skojarzenie to pochodzi z lat osiemdziesiątych: państwowa telewizja regularnie pokazywała wówczas zdjęcia partyzantów, którzy składali w „V” palce prawej dłoni, a lewą zasłaniali twarze. Był to tak częsty widok, że w latach dziewięćdziesiątych pozująca do zdjęć młodzież często stawiała w tej pozie dla zabawy, powtarzając ironicznie słowa schwytanych bojowników: „Nasza działalność będzie trwać!”.

Jako osoba dorastająca wtedy w zachodniej Turcji uważam, że nasza zdolność do żartowania z losu ludzi, którzy mieli trafić do więzień i na tortury, była objawem choroby społeczeństwa. Państwo pielęgnowało tę chorobę. Każdego wieczora przy kolacji oglądaliśmy wiadomości, a w nich materiały z południowego wschodu kraju: rzędy leżących na ziemi zwłok kurdyjskich partyzantów zabitych gdzieś w górach. Telewizyjna nowomowa tłumaczyła, że „terrorystów pojmano martwych w ich jaskiniach”, a my wracaliśmy do posiłku. Nigdy żadnych innych informacji z tamtych stron: byli tam tylko ludzie bez twarzy, którzy szwendali się po górach i „napadali na nasz kraj”. W ten sposób odczuwano wroga w naszych oczach. Nawet się nie zastanawialiśmy, kim były te osoby, dlaczego je zabito i właściwie skąd się w tych górach wzięły. Pamiętam, jak pewnego razu po wiadomościach mój ojciec, który w młodości nauczał w szkole podstawowej w rejonie kurdyjskim, opowiedział przy stole pewną historię. Wydarzyło się to w latach sześćdziesiątych: „Kiedy poszedłem tam po raz pierwszy, okazało się, że dzieci nie mówią po turecku. Nikt nas nie uprzedził. Nikt nie powiedział nam, że to Kurdowie i mówią tylko po kurdyjsku. Napisałem do stolicy z prośbą o polecenie podręcznika do nauki tureckiego. Zamiast tego sam musiałem stawić się w Ankarze. Powiedzieli mi: »Zwiedziono pana. Nie ma takiego narodu jak Kurdowie, a język kurdyjski nie istnieje«”.

Ojciec posmutniał i rzekł, że po tym zajściu musiał odejść z pracy; potem próbował nas nauczyć mizernych podstaw kurdyjskiego, jakie udało mu się wtedy podłapać. Całe lata minęły, zanim zorientowałam się, że ta ledwie zapamiętana z dzieciństwa lekcja jest kluczem do zrozumienia przyczyn oglądanych w telewizji śmierci. Zakładam, że w wielu domach na zachodzie Turcji opowiadano podobne rzeczy, choć pewnie tylko półszepem. Wielu dorosłych wiedziało, dlaczego Kurdowie się buntują, dlaczego państwo ich odczuwacza, dlaczego giną, ale ludzie nie chcieli zostać posądzeni o sympatyzowanie z „wrogami narodu”.

„Przemocą wpoili nam wiedzę, że jesteśmy Kurdami”, powiedział mi doktor Mahmut Ortakaya,

kiedy siedzieliśmy razem w małej kawiarence w Diyarbakır. W jego głosie słyhać było starość i gorycz, lecz przede wszystkim radosne kurdyjskie zaciąganie. Działo się to wiele lat po ojcowskiej opowieści, kiedy już dobrze rozumiałam, na czym polega konflikt. Ortakaya, lekarz, socjalista i współzałożyciel Helsińskiego Zgromadzenia Obywatelskiego, doświadczył najnowszej historii politycznej Kurdów na własnej skórze. Opowiedział mi trochę o mechanizmach, które kierują sercem jego ludu. Twierdził, że okrucieństwo nie wywołuje buntu – cierpliwość człowieka jest większa niż on sam. Ucisk pozbawia jednak człowieczeństwa. Widząc własną niedolę, odczuwa się poniżenie i to ono jest niemożliwe do zniesienia. Bunt zaczyna się dopiero wtedy, gdy wszystkie drogi ucieczki od wstydu zostaną zamknięte. Powstania robotników czy biednych i okupowanych narodów są próbą ukrócenia wstydu. Gdy uciskani powstają przeciwko uciskającym, uczą się, że muszą być równie bezlitośni, co ich oprawcy. Ludzi poruszają słowa, dlatego aby nadać swojej walce sens, piszą wiersze i tworzą legendy. Z czasem te legendy, mity, herosi i kultury nawarstwiają się. Opór staje się przestrzenią życia: kto w nim nie uczestniczy, nie należy do ludu, lecz do sfery wstydu. Mechanizm zostaje wprawiony w ruch, a demonizowanie buntu przez władzę tylko go napędza. Dziecko urodzone w Diyarbakır nie wybiera, czy chce zostać „partyzantem”.

Jest za późno, by wyjaśnić, co się stało. Za późno, by dotrzeć do źródła historii, która doprowadziła do buntu. Historia Kurda zaczyna się w chwili, gdy zapada cisza, kiedy opowiadając swoje wypełnione boleścią dzieje, przerywa w pewnym momencie i mówi: „Nieważne...”. Uważa, że z resztą wiedzy sobie nie poradzicie. Na Bliskim Wschodzie panuje tradycja, by śmiać się, gdy dzieją się najgorsze rzeczy, żeby spróbować się rozśmieszyć. Bo jeśli człowiek się rozklei, już nikt go nigdy nie pozbiera. Mieszkańcy Diyarbakır opowiedzieliby wam w żartobliwy sposób tak wiele krwawych historii! Sobie nawzajem ich nie powtarzają, bo każdy przeszedł to samo. A ponieważ ludzie z zewnątrz nie pytają zwykle o przeszłość, opowieść nie zostaje nigdy dokończona. Nieważne...

Co następuje po „nieważne”? Dlaczego gdy przywódcy PKK, Abdullahowi Öcalanowi, rzekomo przemocą obcięto w więzieniu włosy, dzieci w wieku od lat dwunastu wżwyż protestowały na ulicach, a potem trafiły do więzienia na dwadzieścia lat? Dlaczego młodzi mężczyźni znikają gdzieś w górach, gdy tylko ukończą liceum lub nawet wcześniej? Dlaczego ci ludzie wylegają na place w każde Nouruz, czyli święto wiosny? Dlaczego w gettach naszych miast podpala się opony? Dlaczego nawet kurdyjskiemu biznesmenowi, tak „zasymilowanemu”, że ma własny wieżowiec, drży głos, gdy wspomina czasy dzieciństwa? I wreszcie: dlaczego kurdyjscy parlamentarzyści odsiadują wyroki dożywocia, bo zaklęli w swoim języku na mównicy? Ludzie, o których teraz przeczytacie, opowiedzą o ranach, z których narodził się gniew.

Diyarbakır. Sześcioro młodych prawników ze śmiechem wspomina szkołę podstawową. Różgę ze świeżej gałęzi migdałowca, którą bito ich przez trzy lata, bo nie umieli powiedzieć „toaleta” po turecku. Razy wymierzone linijką w dłoń za każde kurdyjskie słowo, jakie wymyknęło im się podczas lekcji. Szpiegowanie rodziców, do czego zachęcano ich po to, żeby nawet w domu nie mówić po kurdyjsku.

– Czasami zastanawiam się, jakim cudem w ogóle dostaliśmy normalną pracę – mówi Mahsunni.

– W zachodniej Turcji nikt nie wie, co przechodzi kurdyjskie dziecko – odpowiadam. – Opo-

wiedźcie mi więcej o swoim dorastaniu.

Ahmet wybucha:

– Po tym wszystkim, co przeszedłem... co przeszli moi rodzice i rodzeństwo... teraz mam jeszcze o tym mówić? Czy jest coś bardziej upokarzającego niż musieć dowodzić swojego cierpienia?

Prawnicy opowiadają mi o poczuciu utknięcia pomiędzy dwiema siłami ścierającymi się w regionie. O ulubionych nauczycielach zabitych przez PKK. I o pobiciach, którymi tureckie wojsko zmuszało ich do zeznawania na temat tych zabójstw. Kiedy jednemu głos więźnie w gardle, inny opowiada coś, żeby się pośmiać (!): „Pewnego razu uczepili się psów. »Nasz wywiad donosi, że wasze psy nie szczekają na partyzantów, a szczekają na żołnierzy«. Cała wioska dostała wtedy łomot!”.

Albo kolejna zabawna anegdota: „Jechałem do wsi autobusem, gdy zatrzymali nas żołnierze. Staruszek obok mnie od razu wyciągnął dokumenty. Wkurzyłem się, że pokazał im je bez pytania, a on mi na to: »Znasz, chłopcze, historię o starym wole? Zabierali wołu na targ i każdy tam oglądał jego zęby. W końcu zwierz zaczął się szczyrzyć, gdy tylko widział, że ktoś nadchodzi. Wszystkich nas zamienili w takie woły!«. Taki ma się wybór: milczeć, jak to stare pokolenie, albo chwycić za broń, jak młodzi...”.

Wspomnienia, które wyparli, żeby przeżyć, teraz wracają jedno po drugim: „Pamiętacie Feyzę? Znowu wtedy maglowali całą wioskę, przyszła więc kolej i na niego. »Ty jesteś Feyzo?«, pyta żołnierz. A tamten krzyczy: »Ja? Broń cię Boże, komandorze!«. Spośród śmiechów przebijają się mrożące krew w żyłach zdanie: „W końcu człowiek staje się tak wystraszony, że boi się nawet powiedzieć: »To ja«”.

Tym aspektem kurdyjskiej tożsamości, który najtrudniej pojąć mieszkańcom zachodniej Turcji, jest ich wyjątkowa lojalność względem Abdullaha Öcalana. Ci sami ludzie, którzy się zaśmiewają, kiedy mówią o śmierci, nie opowiedzą wam ani jednego żartu na jego temat. Jest w pewnym sensie święty i nietykalny. Dlaczego?

Nebahat Akkoç, która założyła w Diyarbakır Ośrodek dla Kobiet KAMER i kilka lat temu trafiła na listę stu najbardziej wpływowych osób na świecie w rankingu magazynu „Time”, jest postacią cenioną zarówno w ruchu kurdyjskim, jak i w ruchach na rzecz praw kobiet. Często też gani PKK. Mówi mi: „Było spotkanie, na którym krytykowano organizację i Öcalana. Nagle Dilan, jedna z obecnych dziewczyn, zrywa się z miejsca i zaczyna krzyczeć: »Ja nie pozwolę źle mówić o Öcalanie! Dopóki on się nie pojawił, nikt nie brał nas na serio!«. Wpojono im, że dzięki niemu Kurdów traktuje się poważnie”. To dlatego, że rozproszona i uległa grupa przyjęła go za symbol jedności i oporu, a ponowne rozproszenie oznaczałoby zagładę.

Pytam moich prawników o zdanie na temat Abdullaha Öcalana (albo, jak sami mówią, „dowódcy”). „Musiałaby nas pani spytać pojedynczo, na osobności”, odpowiadają. Dlaczego nie chcą się otworzyć w grupie? Z powodu szacunku? Lęku? Tylko się uśmiechają i rzucają: „Nieważne. Nie drażmy tego tematu”. To samo pytanie zadają później zasłużonemu kurdyjskiemu politykowi. „Bez Apo [Öcalana] zamiast jednego PKK byłoby ich dziesięć. Kurdowie strzelaliby do siebie nawzajem. Jego postać jest kluczowa dla naszej jedności”.

Mahmut Ortakaya śmieje się, otwierając mi drzwi do samochodu: „Ponieważ kiedyś jeździliśmy tutaj tylko pikapami, a ludzie siedzieli na pace między ładunkiem a zwierzętami, w przypadku miejsca dla pasażera obowiązuje u Kurdów protokół. Wskakuj do środka”. Doktor Ortakaya jest prawdziwym kurdyjskim luminarzem, w swojej karierze politycznej uczestniczył między innymi w założeniu tureckiej Partii Robotniczej^{*****} i Helsińskiego Zgromadzenia Obywatelskiego w Turcji. Wszystko, co działo się z tą krainą, przytrafiało się też jemu, a jednak umie spojrzeć na historię chłodno, z dystansu, przez pryzmat uniwersalnych wartości. Cierpienie go utwardziło. W latach dziewięćdziesiątych, gdy wojsko zmuszało mieszkańców wsi Yeşilyurt, by jedli własne odchody, zdobył się na odwagę, żeby powiedzieć żołnierzom: „Jeśli każecie im zjadać ekskrementy, to jak ich potem nauczymy, żeby myli ręce po skorzystaniu z toalety?”. Ma także świadomość, że niewiedza Turków na temat Kurdów nie ogranicza się do sfery etykiety: „Turcy przede wszystkim nie mają pojęcia, co Kurdowie przeszli podczas swojej przygody z turkifikacją”. I znów żartuje: „Skoro nie chcecie nawet jeść ogórków GMO, po co się mieszacie w genetykę Kurdów?”. Pomimo jego skłonności do śmiechu dochodzimy w końcu do historii z lat czterdziestych: „Kolega połaskotał mnie, gdy grali hymn państwowy. Ależ mnie złali! Mieli wtedy takie bicze zrobione z owczych jelit. Powiem ci coś: w tamtych czasach nie wiedziałem, że jestem Kurdem, ale oni wiedzieli. I przemocą wpoili nam wszystkim tę wiedzę”.

^{*****} Partia Robotnicza (tur. *İşçi Partisi*, IP) – założona w 1992 roku partia o profilu socjalistyczno-nacjonalistycznym, w lutym 2015 roku przemianowana na Partię Patriotyczną (tur. *Vatan Partisi*).

Potem nawiązuje do przysięgi, którą dzieci w szkole podstawowej recytują co rano: „Jestem Turkiem, jestem szczerzy, jestem pracowity [...]. Moje istnienie będzie darem dla istnienia Turcji!”. Mówi mi: „Nie mamy prawa robić z dzieci rasistów. Nie można odlać małego człowieka z formy: »Jestem Kurdem, jestem szczerzy, jestem pracowity...«”. Jak wyglądała forma, z której on został odlany? „Po przewrocie w 1960 roku zrobiono listę. »W tej wiosce jest tyle a tyle sztuk broni. Jeśli nam ich nie oddacie...«. A gdy ich nie oddano, wojsko kazało mężczyznom rozbiierać się i gdzieś ich zamykało. Później brali się za kobiety. Potem nagle wypuszczali mężczyzn. Grali z nami w mnóstwo podobnych gier. Jak to powiedział Seyit Rıza o masakrze w Dersim: »To wstyd, to grzech, to okrucieństwo«. Ale nieważne, nie mówmy już o tym”. Jak w takim razie mam skończyć historię? „Napisz tak: Turcy są najlepszymi przyjaciółmi Kurdów. Ale przyjaźń musi opierać się na honorze”. Tutaj pauzuje smutno, po czym dodaje: „Sumienie, litość – na nich polega człowieczeństwo. Nie trzeba wykształcenia. Prawdziwy człowiek by zrozumiał, jeśliby wiedział, co przeszliśmy... Prawdziwy człowiek by zrozumiał”.

Zostawmy na chwilę Diyarbakır i wróćmy do Stambułu. Rozmawiam z Kurdem na najwyższym piętrze jednego z tutejszych drapaczy chmur. W jednej dłoni trzyma cygaro, w drugiej listę płac. Czy miałby się martwić?

– Uczysz się trzymać głębę na kłódkę – mówi. – Gadasz z grubymi rybami o dużej forsie, a tu w telewizji lecą wiadomości i jeden z tych gości zaczyna kłać na Kurdów. Ty milczysz, żeby uniknąć nieprzyjemności albo... Nieważne.

„Człowiek staje się tak wystraszony, że boi się nawet powiedzieć: »Tak, to ja«”, czy jest siedmioletnim chuderlakiem, czy siedemdziesięcioletnim rekinem biznesu.

„To dziwne”, mówi mi Nebahat Akkoç. „Przemocą uczono nas tureckiego, a teraz w tym języku uprawiamy swoją literaturę i politykę. Kto wie, być może nigdy nie zrozumiemy własnych ran”. Jej mąż, nauczyciel, był więźniem zakładu karnego w Diyarbakır w latach osiemdziesiątych. W 1993 roku padł ofiarą niewyjaśnionego morderstwa. Samotnie wychowując dwójkę dzieci, Akkoç była wielokrotnie aresztowana i torturowana, co znaczy, że wiodła zwykle życie Kurdyjki stojącej w połowie drogi pomiędzy państwem a PKK. Pytam ją, o czym powinni wiedzieć Turcy. „O tym, co było przed PKK”, odpowiada. „Myślę, że wszystko zaczęło się od partii. A tymczasem...”. W tym miejscu opowiada mi o dzieciństwie, które upływało w latach sześćdziesiątych.

To działo się w Silvanie, gdy Nebahat była mała. Żołnierze prowadzili przeszukanie. Ponieważ wzięli jej krótkowłosą siostrę za chłopca, wywrócili ich dom do góry nogami. Kiedy wyszli, Nebahat pobiegła za nimi wraz z innymi dziećmi. Schowały się tak, żeby widzieć główny plac. Zabrano tam wszystkich mężczyzn z miasteczka. Żołnierze ciągnęli ich po ziemi i bili. „Kurdyjskie dziecko widziało takie rzeczy dziesiątki razy”, mówi Nebahat. „Ojciec pobity, matka zelżona. Nie miało to nic wspólnego z PKK. Stąd bierze się cała nasza wściekłość”. Potem dodaje coś, co słyszałam już od prawników: „Jestem pod wielkim wrażeniem moich dzieci. Tego, jak dorosły, że mają normalne zawody i życia”. Dlaczego?

Lata dziewięćdziesiąte. Jej dzieci przygotowują się do egzaminów i często zarywają noce. Nebahat kupiła najcięższe czarne zasłony, jakie udało jej się znaleźć, żeby policja nie widziała świateł i myślała, że dom jest pusty. Jest regularnie aresztowana i torturowana, ponieważ zgłosiła sprawę morderstwa męża do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. „Za każdym razem próbowałam ukrywać swój stan przed dziećmi... Ale to już nieważne”.

Kurdowie nie mieli nigdy szansy opowiedzieć, co działo się po „nieważne”, a Turcy nigdy nie byli tego ciekawi. Dlatego od ponad trzydziestu pięciu lat toczy się w kraju coraz większa i bardziej zajadła wojna. Poznaliśmy już ułamek kurdyjskich dziejów, ale jak pamięta ten okres państwo, a co za tym idzie – typowy Turek? To dwie zupełnie inne historie toczące się na tej samej ziemi. Z tej rozbieżności wynikają dwie sprzeczne reakcje na znak victorii: dla Kurdów jest symbolem nadziei, dla prorządowych Turków – nienawiści. Przyjrzyjmy się zatem teraz drugiej stronie medalu.

Pamięć oficjalna a pamięć prawdziwa

[Pod koniec dziewiętnastego wieku] ruchy narodowościowe i powstania [przeciwko Imperium Osmańskiemu] zaczęły się rozprzestrzeniać na wschód od Macedonii. Ich pierwszym przejawem było przebudzenie narodowe Ormian. Idea narodowyzwoleńcza zdobyła popularność wśród inteligencji kurdyjskiej i arabskiej w mniejszym stopniu. Pragnąc powstrzymać ruchy wolnościowe, sułtan Abdülhamid II próbował zbliżyć do siebie kurdyjskich bejów, przyznając im specjalne prawa i przywileje. Polityka ta wymagała, by władca przyjął do swojego pałacu dzieci wielmożów i zapewnił im wykształcenie, tym samym czyniąc wodzom zaszczyt poprzez nawiązanie z nimi bezpośrednich kontaktów i zawarcie przyjaźni. Dzięki tak zbudowanym relacjom Abdülhamid odnowił w Kurdach zaufanie do Imperium i utrzymał kontrolę nad wschodnią granicą. Co więcej, panislamistyczna polityka realizowana przez sułtana w reakcji na imperialne ambicje Zachodu spotkała się z ogromnym poparciem Kurdów. W efekcie utworzono [kurdyjskie] oddziały *Hamidiye*, by stłumić potencjalne powstanie Ormian. W celu lepszej kontroli sytu-

acji sułtan utworzył tak zwaną Imperialną Szkołę Plemienną, gdzie nauczano między innymi w języku kurdyjskim. Dzięki tej polityce Abdülhamid II zyskał uznanie Kurdów wyrażone przyznaniem mu tytułu *Bave Kurdan*, czyli „Ojciec Kurdów”.

Dlaczego zaczynam od tekstu politologa Hüseyina Yaymana, który przenosi nas do dziewiętnastego wieku? Ponieważ współczesne podejście władz do kwestii kurdyjskiej jest niemal identyczne jak wtedy! Badacz wyróżnia kolejno pięć etapów w podejściu Republiki Turcji do tej mniejszości: „Pierwszym okresem są lata 1918–1925, kiedy ma miejsce walka o niepodległość, a istnienie Kurdów jest akceptowane. Po nim następuje czas »zaprzeczenia i asymilacji«, przypadający na lata 1925–1960, kiedy państwo wypracowuje oficjalne stanowisko w tej sprawie. Trzeci moment w dziejach, zapoczątkowany dojściem do władzy Partii Demokratycznej i trwający do 1970 roku, nazwałbym »oczekiwaniem«, a czwarty, sytuujący się mniej więcej w latach 1970–1980, »uświadomieniem«. Piąty, i jak dotąd ostatni, rozpoczyna się powstaniem PKK”. Rahman opracował około czterdziestu historycznych raportów na temat relacji turecko-kurdyjskich. Ich lektura doprowadza mnie do wniosku, że urzędnicy państwowi, którzy poznali sytuację z pierwszej ręki, reagowali na dwa sposoby: albo proponowali rozwiązanie problemu faszystowskimi metodami, takimi jak przymusowa asymilacja i użycie siły, albo domagali się uczciwego traktowania dla mieszkańców regionu, niemal otwarcie przyznając im rację. Raporty drugiego rodzaju zawsze ignorowano, a pierwszego – niemal natychmiast uznawano za słuszne. Wszystkie sprawozdania sprowadzały się do jednego: Kurdystan znajdował się w stanie zahamowanego rozwoju gospodarczego i społecznego.

Trzeba zaznaczyć, że na ziemiach kurdyjskich, obejmujących wschodnią i południowo-wschodnią Anatolię, od 1978 do 2002 roku obowiązywał stan wojenny. Jednocześnie państwo nigdy nie przyznało, że toczy się tam wojna domowa. Zamiast tego wymyślono frazę, której używa się od lat: „konflikt zbrojny o niskim natężeniu”. Ci, którzy nazywali rzeczy po imieniu, uznawani byli za popleczników „wroga”. Państwo stworzyło nawet specjalną wymowę dla skrótownicy PKK – aby uniknąć kłopotów, zamiast poprawnego „pe-ke-ke” należy wymawiać „pe-ka-ka”.

Od założenia Republiki dominowały dwa poglądy dotyczące Kurdystanu. Pierwszy głosił, że Kurdowie i ich język po prostu nie istnieją, są jedynie grupą Turków, a ich nazwa pochodzi od onomatopei naśladującej chrzęst kamieni pod butami na górskiej ścieżce. Według drugiego – owszem, istnieją, ale ich jedynymi problemami są zacofana gospodarka i kiepski poziom wykształcenia. Obie koncepcje niosły ze sobą przemoc, obie też wymuszały na kolejnych rządach tworzenie prawa zbieżnego z polityką Abdülhamida II, czyli pertraktowania z bejami regionu. Ponieważ własność ziemska była skupiona w rękach bejów, to do nich zwróciło się państwo, by rozwiązać kwestię mniejszości kurdyjskiej. Edukacyjnego aspektu polityki „Ojca Kurdów” nie wzięto oczywiście pod uwagę. Kooperacja władzy z feudałami trwała do lat osiemdziesiątych, sytuację zmienił dopiero koszmar więzienia w Diyarbakır. Tak, pucz z 1980 roku zmienił wszystkie zakłady karne w wielkie sale tortur, ale każdy, kto żył w tamtych czasach, przyznaje, że nigdy wcześniej ani też nigdy później nie widziano w kraju takiego okrucieństwa jak to, którego doświadczyli Kurdowie w Diyarbakır. Opowieści o ohydnych zbrodniach tamtego miejsca i czasu są dziś przedmiotem badań nad historią mówioną, których opracowania czytałam z trudem. Nie zrobię żadnej listy, ponieważ nie umiem przelać tych rzeczy na papier. Czuję, że samo opisanie mnogości tortur, jakich się dopuszczali strażnicy trzymający pałki z napisem „Allaha nie ma w domu”, mogłoby zostawić ślad w mojej duszy. Zamiast tego proponuję, żebyście

wpisali w Google nazwisko Zülfikar Tak i obejrzeni wyniki. Będąc więźniem w Diyarbakır w latach osiemdziesiątych, Tak naszkicował ołówkiem to, czego ja nie umiem oddać słowami.

Z owych niezliczonych okrucieństw narodziła się PKK. Po dokonaniu pierwszego ataku w 1984 roku stała się ona modelowym chłopcem do bicia panującej wówczas faszystowskiej junty oraz rządów ostatniej dekady dwudziestego wieku. W latach dziewięćdziesiątych miały też miejsce liczne „niewyjaśnione morderstwa” popełniane na Kurdach, za którymi stało państwo – dziennikarze, biznesmeni, politycy, intelektualiści i pisarze znikali albo po prostu byli zabijani. O tamtych ponurych czasach zaczęto mówić głośno dopiero na początku nowego tysiąclecia, jednak ze względu na trwającą wojnę ani tortur w Diyarbakır, ani późniejszych zabójstw nie uznano za narodową hańbę. Wiele osób myślało nawet, że relacje z tamtych lat zostały „sfabrykowane przez terrorystów”. Badaniami ustnych świadectw minionych zbrodni zajmowały się tylko środowiska lewicowe. Próby dociekania prawdy przez matki, których synowie i córki zniknęli w niewyjaśnionych okolicznościach, nigdy nie zostały uszanowane. Państwowa kampania umniejszania cierpień Kurdów była tak skuteczna, że nawet widok starszej kobiety, ściskającej odnalezione po latach kości swojego dziecka, zostałaby przez niektórych uznany za „propagandę na rzecz nielegalnej organizacji”.

Im bardziej zaprzeczano istnieniu Kurdów, tym częściej i poważniej łamane były prawa człowieka, a to z kolei przekładało się na wzmocnienie PKK. Organizacja wydała z siebie nie tylko partyzantów, lecz także studentów uprawiających politykę pokojowymi metodami. Współpracowali oni z najróżniejszymi organizacjami obywatelskimi w kraju, a ponadto nawiązali kontakty z zagranicą i wyrabiali partii opinię w Europie. Dzięki temu potentaci ziemscy nie byli już dla Kurdów niezbędnymi pośrednikami w uprawianiu polityki. PKK odegrała także istotną rolę w modernizacji regionu: to ona sprawiła, że myśl lewicowa zawędrowała do prowincji znanych wcześniej z religijnego reakcjonizmu. Wprawdzie w latach dziewięćdziesiątych lewicowy aspekt działalności partii ustępował miejsca nacjonalistycznemu, ale do tego czasu zburzono już hegemonię przywódców religijnych i właścicieli ziemskich, którzy fraternizowali się z państwem. Choć własność ziemi nie uległa całkowitej reorganizacji, główną siłą polityczną i zbrojną oraz głównym autorytetem moralnym w prowincjach kurdyjskich była teraz PKK. Analogicznie do podszytego faszyzmem powiedzenia „każdy Turek rodzi się żołnierzem”, teraz każdy Kurd w regionie rodził się partyzantem.

Przełom tysiącleci był dla kurdyjskich intelektualistów i polityków czasem podejmowania prób wytłumaczenia inteligencji zachodniotureckiej istoty problemów związanych z mniejszością narodową, do której należeli. Jako uczestniczka większości tych konferencji chciałabym zwrócić uwagę na ciekawy szczegół, ponieważ wydaje mi się, że dobrze ilustruje on rasizm wpojony nawet najwrażliwszym, najlepiej wykształconym i najbardziej otwartym Turkom. Niektóre ze spotkań odbywały się najpierw w Stambule, potem w Diyarbakır lub innej kurdyjskiej prowincji. Większość Turków ubierała się na te ostatnie tak, jakby jechała na safari: kobiety noszące zazwyczaj wysokie obcasy i spódnice teraz miały na sobie tenisówki i spodnie w kolorze khaki, podobnie nieformalne ubrania zakładali mężczyźni. Kurdowie przyjmowali nas w strojach wizytowych. Nie wierzę, że tylko mnie zirytowało nastawienie, że oto jedziemy „do strefy wojny” czy też „na nierozwinięte obszary wiejskie”. Nawet tym, którzy pragnęli równego traktowania ludności kurdyjskiej, nie przychodziło ono łatwo.

W kwestii działań państwa początek dwudziestego pierwszego wieku to przede wszystkim czas „inicjatywy kurdyjskiej” AKP. Metody działania partii nie różniły się zbyt od polityki Abdülhamida II: zainwestować w nauczanie i publikacje w języku kurdyjskim oraz zacieśnić

więzi z „naszymi kurdyjskimi braćmi” na gruncie idei panislamistycznych. Po raz pierwszy w historii Turcji państwowa telewizja zaczęła emitować programy w języku kurdyjskim. Jak nietrudno się domyślić, nadawano głównie audycje o tematyce religijnej. Oczywiście przedstawiciele kurdyjskiej inteligencji, których obecność legitymizowała działania AKP, zostali starannie wyselekcjonowani przez władzę. Osoby krytyczne wobec rządu nie otrzymały zaproszeń na spotkania w prezydenckim pałacu. Szybko też odrzucono znane z mediów sformułowanie „inicjatywa kurdyjska”. Aby uniknąć gwałtownej reakcji nacjonalistów, mówiono teraz o „Projekcie Jedności Narodowej i Braterstwa”.

Inicjatywa prezentowana podczas pierwszej kadencji rządów AKP jako działanie na rzecz demokracji zmieniła kierunek po wyborach w roku 2007. Premier mówił wówczas: „Wyniki głosowania nie pozostawiają wątpliwości: główną organizacją reprezentującą interesy Kurdów w Turcji jest AKP. Obywatele pochodzenia kurdyjskiego częściej głosowali na nas niż na jakąkolwiek inną partię”. Pomimo ciągłego prowadzenia przez państwo „rozmów pokojowych” z Abdullahem Öcalanem, przywódcą PKK przetrzymywanym w więzieniu na wyspie İmralı, Recep Tayyip Erdoğan stwierdził w końcu, że „problem kurdyjski nie istnieje. To tylko niektórzy Kurdowie mają problem”. Ta niekonsekwencja na poziomie polityki przenika także do prasy i kręgów inteligencji. Gdybyście spytali mnie dzisiaj, czy kwestia Kurdów nadal jest w Turcji tematem tabu, musiałabym odpowiedzieć: „To zależy od nastroju pana prezydenta”.

Podczas gdy na wschodzie kraju Kurdowie spisali swoją wersję historii, władza na zachodzie wpoila nam zupełnie inną. Budowanie pokoju między ludźmi, których rozdzielają narastające pokłady sprzecznych wspomnień, stanowi ogromne wyzwanie. Dlatego niektórzy na hasło „braterstwo” reagują dziś słusznym sprzeciwem: „Nie chcemy być braćmi, tylko przyjaciółmi”. Moim zdaniem ten kraj wcale nie potrzebuje inicjatywy kurdyjskiej, lecz inicjatywy tureckiej. Ponieważ tureckie rodziny, które od ponad trzydziestu pięciu lat wiernie posyłają swoich synów na wojnę, także mają trochę racji, gdy pytają: „Za co walczyli? Za co zginęli?”. Od ponad trzydziestu pięciu lat władza polityczna nie umie im odpowiedzieć w inny sposób, niż tylko prezentując wyświechtaną koncepcję „męczeństwa w walce z PKK”. Nie powiedzą przecież: „Przepraszamy, wysłaliśmy waszych synów na śmierć w ramach bezcelowej i okrutnej polityki przesładowań”.

Czuję, że dość już dziś powiedziałam o Kurdach. Dodam tylko, że moim zdaniem zasługują na większy udział w przyszłości Turcji, niż mają obecnie.

Jutro

– Ile będzie trwać jutro?
– Wieczność i jeden dzień.

(z filmu Theo Angelopoulosa *Wieczność i jeden dzień*)

„Co w takim razie czyni ojczyznę? Za czym tęsknisz?”

Zadałam sobie to pytanie pewnej letniej nocy 2012 roku w Tunezji. Kartagina była w tym czasie oblężona przez islamskich radykałów z pochodniami w dłoniach i okrzykiem „Allahu akbar” na ustach; grozili, że spalą tę dzielnicę świeckich bogaczy. Przebywałam tam wtedy po to, żeby pracować nad swoją powieścią.

Po pierwsze, zostałam zwolniona z pracy [w redakcji „Milliyet”] w trakcie rozmowy telefonicznej trwającej pół minuty:

– Ece, wiesz dlaczego.

– Tak.

– Przykro mi.

– Dziękuję.

To zbyt krótkie, by było tragiczne!

Po drugie, trolle w mediach społecznościowych – choć wtedy nie było jeszcze tego wiadomo, opłacała ich partia rządząca – przypuściły na mnie atak z tysięcy kont o różnych tożsamościach (zwolenników AKP, liberałów, Kurdów, socjalistów i wszystkich innych, jakich chciałoby się wam poszukać). Wspólnymi siłami wykreowali dla mnie nową osobowość: głupiej, żalosnej, rozpuszczonej, niezyczliwej ignorantki grającej ofiarę!

Było ich tak dużo, że zaczęłam wierzyć, iż cały kraj tak o mnie myśli. Inni też uwierzyli. Bardzo możliwe, że jako jedna z pierwszych osób w Turcji dowiedziałam się, jak łatwo „wirtualnie” stworzyć ohydny fałsz na czyjś temat. Pamiętam dzień, w którym po wielu miesiącach dochożenia do siebie napisałam na Twitterze, że zniesławianie osób publicznych jest orężem wojny psychologicznej. Komentarze? „Wow! Naprawdę nie masz do siebie dystansu. Biedna paranoiczka!”

Było to tak okropne, że zaczęłam sympatyzować z tymi, którzy grozili mi wtedy śmiercią albo gwałtem.

Dlaczego więc tęskniłam do swojego kraju, choć zakładałam, że mnie nienawidzi? To jedyne pytanie, jakie mi zostało w głowie z tamtych dni. Pytanie o to, czym jest ojczyzna, zadałam sobie w chwili, gdy z jednej strony zagrażały mi spragnione krwi fantomy z rodzimego kraju, a z drugiej cienie z pochodniami na obczyźnie.

„Czym jest ta ojczyzna, do której tęsknisz teraz, w tej minucie?”

W tamtych czasach definiowałam ją tak, jak Angelopoulos pojęcie jutra w swoim arcydziele. Nadal w to wierzę.

Ojczyzna jest tak naprawdę stołem! Takim, przy którym zasiadacie z bliskimi, śmiejąc się do siebie, a także wieczną pustką wokół. Ojczyzna jest tak konkretna i skończona jak ta chwila, w której się śmiejecie, oraz tak mętna i nieskończona jak otaczająca pustka.

Po tamtym wieczorze ojczyzna stała się dla mnie czymś innym, zmieniło się znaczenie idei

i kawałka ziemi, o których myślałam i pisałam artykuły od dwudziestu lat. W końcu przestaje się czuć gniew i urazę w stosunku do ukochanej osoby, która nas dotkliwie zraniła. Gdzieś głęboko w środku, w jakimś ciemnym, ukrytym miejscu pojawia się cisza i pustka. Takie puste miejsce odkryłam w sobie za sprawą ojczyzny. Jakbym przestała używać zranionej kończyny, byle tylko nie czuć bólu. Nadal jej nie używam. Dlatego wycofałam się z codzienności i poszukuję ucieczki w prawdzie, którą niesie literatura. Właśnie znad brzegu tej prawdy próbowałam napisać niniejszą książkę.

Wspominam o tym przesadnie osobistym fakcie, ponieważ będziecie czytać o „jutrze” z perspektywy osoby o zranionej duszy – najpiękniejszym słowie we wszystkich językach. Ale ta pisarka wie, że mniemanie, iż prawda ogranicza się do jej własnej rzeczywistości, świadczyłoby o ogromnej arogancji i ignorancji. Mam nadzieję, że uda mi się nie skrzywdzić ani ojczystego kraju, ani mnie samej.

Odpowiedź na pytanie o przyszłość Turcji w oczywisty sposób zawiera w sobie element osobisty. Nie mówi tylko o sądowych czy politycznych skutkach na skalę krajową. Również odpowiedź na pytania „Jaką osobą będę? Jak będę żyć?” ma wpływ na przyszłość państwa. Pracując jako dziennikarka prasowa, spotkałam osoby z wielu krajów, które zostały zmuszone, by je opuścić: porzuciły je albo zostały ich pozbawione. Tym, którzy znaleźli dość słów, by opisać swoją historię, nie pozostało wiele możliwości. Niektórzy z nich przełożyli swoje rozczarowanie na wściekłość; oparli swoją egzystencję na gniewie wobec rządzących ich ojczyzną. Zaczęli żyć urazą do kraju. Na taki resentyment i taką retorykę czy literaturę ofiary istnieje międzynarodowy popyt. Kto się jej poświęca, może całe życie powtarzać te same rzeczy i nigdy nie zabraknie mu publiczności.

Byłam też świadkinią tego, jak ludzie zbyt dumni, by wyrazić swoją wściekłość, po prostu milkli na zawsze. Snuli się potem po świecie niczym duchy. Powinniśmy wynaleźć kategorię w prawie międzynarodowym, która opisywałaby ich przygnębianie, żebyśmy mogli wypłacać zadośćuczynienia za ten poziom melancholii. Niestety, to nie jest możliwe.

Jakkolwiek trudno byłoby nie kochać swojej ojczyzny bez wstydu lub pychy, równie trudno byłoby mówić o cierpieniu, którego nam przysparza na obczyźnie, bez gniewu albo nedorzecznej uciechy.

Opisuję ją – dzięki Bogu – nadal od środka, wciąż jako „tutejsza”. Dlatego odbiorcami tej książki nie będą tylko obcokrajowcy, którzy o kraju wiedzą niewiele, ale też zamieszkujące go cienie. To dość przerażające. Choćby nie wiem jak silić się na równe traktowanie, zawsze istnieje znaczna przepaść między tym, co powie się współobywatelom, a tym, co cudzoziemcom. Im bardziej pisząca się nad tym zastanawia, tym silniej czuje, jakby zdradzała prawdę – albo ojczyznę.

Zdecydowałam się napisać tę książkę tak, jakbym mówiła nie do rodaków czy do obcych, ale do dobrych przyjaciół, którzy są daleko. Zakłada ona czytelników gotowych wysłuchać długiej, melancholijnej, ciekawej i skomplikowanej odpowiedzi na pytanie: „Skąd jesteś?”. Ja z kolei myślę, że obarczam was zmartwieniem, które powiększy wasze serca. Wyobrażam sobie, że przy najbliższej wizycie w Stambule, Kapadocji czy Antalyi będziecie stąpać nie z lekkością turystów, ale z ciężarem w sercu, które pyta: „Cóż się stanie z tą naszą krainą?”. Ta udręka, ten ciężar są „punktami orientacyjnymi”, których nie znajdziecie w przewodnikach, i „parametrami”, o których milczą analizy polityczne. Tylko w ten sposób pojmiecie, dlaczego miliony ludzi w Turcji zawsze próbują zrozumieć jej przyszłość, zadając jedno stereotypowe pytanie: „Cóż się stanie z tą naszą krainą?”.

A teraz spróbujmy rozwiązać tę zagadkę, którą zadaje się z melancholią albo ze śmiechem, kiedy na smutek nie ma siły: „Cóż się stanie z tą naszą krainą?”.

Demokracja czy nie?

Piszę te słowa w szczególnym momencie historii. Turcja próbuje właśnie pozbyć się władzy, która w ciągu niewiele ponad dekady nie tylko zawiodła na gruncie demokracji i praw człowieka, ale też całkowicie spolaryzowała kraj w sferze społecznej i politycznej. A jednocześnie, w wyniku zbiegu okoliczności historycznych, narodowych, politycznych i społecznych, Recep Tayyip Erdoğan – chyba najskuteczniejszy przywódca od czasów Atatürka – w pojedynkę zagarnął całą władzę w państwie. Większość obywateli walczy, by powstrzymać narastanie klimatu politycznego, który Erdoğan zdaje się napędzać. Chcą przywrócić podstawy demokracji parlamentarnej i zapobiec rozwojowi systemu prezydenckiego, o którym „wódz” wciąż bełkocze z postawionego sobie ogromnego pałacu. To dlatego najpopularniejszym sloganem wyborów parlamentarnych w 2015 roku było: „Nie pozwolimy ci zostać prezydentem”. Mimo zobowiązania głowy państwa do neutralności Erdoğan bezustannie wspierał swoją partię, odkąd objął urząd. Jednak wynik głosowania nie upoważniał go do objęcia „jednoosobowej” władzy. Oceniając wybory, Unia Europejska podkreśliła fakt, że obywatele Turcji sami zapracowali na swoją demokrację. Chcecie posłuchać, jak to zrobili? Nie głosowaniem, a liczeniem głosów!

Kraj liczy swoje głosy

Wybory powszechne w 2015 roku były chyba najbardziej tragikomicznymi w historii Turcji. Głosowanie zmieniło się w ogólnokrajowe pospolite ruszenie. W odpowiedzi na praktycznie niepodważalną manipulację partii rządzącej wynikami poprzednich wyborów powstała masowa organizacja obywatelska: Oy ve Ötesi [Głosowanie i Ciąg Dalszy]. Złożona była z tysięcy ochotników, głównie młodych ludzi, którzy poznali się podczas protestów w parku Gezi, a zajmowała się szkoleniem w monitorowaniu wyborów. Można powiedzieć, że nie wystarczyło zagłosować; należało jeszcze stać na straży swoich głosów. Setki tysięcy ludzi popędziło do lokali wyborczych, by obserwować ich zliczanie. Tej nocy najpopularniejszy mem w mediach społecznościowych głosił: „Cały naród wspólnie liczy głosy!”.

Mogę zaświadczyć, że 7 lipca 2015 roku Turcy duchem i ciałem bronili demokracji. Prawie wszyscy z nich byli wykształconymi, świeckimi przedstawicielami klasy średniej i wyższej. Choć zdawało się, że siła rażenia protestów w Gezi osłabła, to jednak demonstracje miały trwałe polityczne konsekwencje: pojawił się nowy typ obywatela, który traktował swoje obowiązki ze śmiertelną powagą.

Po zakończonym liczeniu okazało się, że co najmniej sześćdziesiąt procent kraju nie chce, aby jeden człowiek zmonopolizował całą władzę^{*****}. W opinii pewnego psychiatry piszącego o Turcji jest to kraj, który mobilizuje się w chwilach zagrożenia. Wydaje mi się, że to właśnie nastąpiło: powszechna mobilizacja w celu obrony demokracji przed widmem autorytaryzmu. W tym względzie powinniśmy Erdoğanowi podziękować. Osobiście skonfrontował Turcję z jej lękami, nawet kilkusetletnie konflikty na tle politycznym, religijnym i etnicznym przestały się liczyć, pojawili się obywatele poważnie podchodzący do swoich powinności.

^{*****} W wyborach 7 lipca 2015 roku AKP zdobyła 40,87 procent głosów, nie zyskując tym samym większości w Wielkim Zgromadzeniu Narodowym Turcji. Ponieważ nie udało się stworzyć koalicji, pod

koniec sierpnia prezydent Erdoğan zarządził wcześniejsze wybory, które odbyły się 1 listopada tego samego roku. Te zakończyły się już wygraną dominującej partii; zdobycie 49,5 procent głosów zapewniło jej ponad połowę miejsc w parlamencie.

A teraz, zamiast wygłaszać krótkowzroczne opinie na temat politycznego tu i teraz oraz powyborczej arytmetyki parlamentarnej, spójrzmy w przyszłość.

Dziesięciolecie Kurdów

Jedną z grup, dla których wynik obecnych wyborów będzie miał niebagatelne znaczenie w ciągu następnej dekady, są Kurdowie. Republika od początku traktowała ich jak obywateli drugiej kategorii, a w oczach przeciętnego Turka przez ostatnie trzydzieści lat funkcjonowali jako synonim terroryzmu. Teraz ruch kurdyjski wszedł do parlamentu. Przewodniczy mu jedyny w historii kraju polityk z autentycznym potencjałem. Przewiduję, że często będziemy słyszeć jego nazwisko: to Selahattin Demirtaş. Człowiek z poczuciem humoru. Tak jak protestujący w parku Gezi, neutralizuje lęk przed Erdoğanem za pomocą żartów politycznych. Kiedy prezydent ryczał do niego z podium: „Za kogo ty się uważasz?! Wracaj na swoje miejsce!”, on rozpromienił się jak chłopak, który zaprasza dziewczynę na randkę. Kiedy premier mówił o znaczeniu w historii islamu imienia Selahattin^{*****} i o tym, jak Demirtaş na nie nie zasłużył, ten znów się zaśmiał: „Nie śpię od trzech nocy. Całą kampanię wyborczą oparliśmy na moim imieniu!”.

^{*****} Selahattin to forma imienia Salah ad-Din, którego zniekształceniem jest polski Saladyn. Warto zaznaczyć, że ów historyczny władca również był Kurdem.

Demirtaş stał się polityczną supergwiazdą. W sondażach, które go dotyczą, nie starcza już skali. Ale to nie jego popularność pozwoliła ugrupowaniu, HDP^{*****}, znanemu teraz jako „partia Kurdów”, wprowadzić osiemdziesięciu jeden członków do Zgromadzenia Narodowego^{*****}. Na ironię zakrawa fakt, że od obecności Kurdów w polityce zależy dziś turecka demokracja. Przez całą dotychczasową historię Republiki pozbawieni byli jakiegokolwiek reprezentacji parlamentarnej z powodu tureckiego lęku przed separatyzmem, teraz zaś stali się polityczną determinantą. Zapewniam was, że gdyby Kurdowie nie przekroczyli progu wyborczego, Erdoğan wprowadziłby system prezydencki i zostałby Wodzem. Ta właśnie arytmetyka przyniosła działaczom grupy status gwiazd polityki. Nawet ci, którzy nie chcieli słyszeć słowa „Kurdowie”, oddali na nich swoje głosy, powodowani nienawiścią do prezydenta. Tak przynajmniej opiszą to analitycy. Aby zrozumieć rzeczywistość kryjącą się za obecnymi wydarzeniami, oddalmy się od Zgromadzenia Narodowego i wyruszmy do Mersin.

^{*****} Ludowa Partia Demokratyczna (tur. *Halkların Demokratik Partisi*, HDP) – partia o profilu socjaldemokratycznym założona w 2012 roku jako polityczne ramię Ludowego Kongresu Demokratycznego.

^{*****} Po wyborach listopadowych już tylko pięćdziesięciu dziewięciu członków. Dwa dni później liderzy HDP zostali aresztowani pod zarzutem współpracy z PKK. Po trzech miesiącach aresztu Demirtaşa skazano na pięć miesięcy więzienia (prokurator domagał się stu czterdziestu dwóch lat), zaś Figen Yüksekdağ odebrano mandat poselski.

Apetyt i nadzieja

Jak sami wiecie, im dłuższy temat wykładu, tym mniej się zazwyczaj pojawia słuchaczy. Dlatego spodziewałam się, że na rozmowę o mojej nowej książce w Klubie Psychologii Uniwersytetu

w Mersin przyjdzie trzydzieści, może czterdzieści osób. Góra sześćdziesiąt, doliczając przypadkowych ciekawskich. Tytuł brzmiał: *Głębia psychologiczna postaci literackich. Na kozetce z bohaterami powieści Devir*. Kiedy weszłam do sali, w której miało się odbyć spotkanie, siedziało przede mną w sumie z tysiąc osób, wliczając w to słoczonych w sąsiednim pomieszczeniu i oglądających mnie na ekranie ludzi.

W pytaniach, które padały po moim krótkim wystąpieniu, odwołano się do Marksa i Lacana, Foucaulta i Žižka. Widownia była niezwykle dobrze poinformowana, zaangażowana i pełna wewrwy. Oczy zaszczyły mi łzami wzruszenia. Nie z powodu uznania, jakie mi okazano, ale dlatego, że mogłam tylko zgadywać, jak wyglądało dzieciństwo tysiąca zgromadzonych ludzi...

Uniwersytet w Mersin znajduje się na południu Turcji, w mieście leżącym nad brzegiem Morza Śródziemnego. Jest uczelnią najchętniej wybieraną przez kurdyjską młodzież ze wschodniej i południowo-wschodniej Anatolii; na lepszą nie mogą liczyć ze względu na niesprawiedliwość systemu edukacji. Studenci, którzy siedzieli naprzeciwko mnie, urodzili się w latach dziewięćdziesiątych. Ich dzieciństwo przypadło na najkrwawszy okres wojny domowej. Pochodzili głównie z wiejskich rodzin zmuszonych przenieść się do miast na fali masowych ucieczek i przymusowych wysiedleń spowodowanych konfliktem. Dorastali w cieniu bomb, pożarów i karabinów, nękanymi biedą i ciągłymi nalotami wojskowych samolotów. Ich życie zaczęło się kilka kroków w tyle za resztą kraju, w zapadłych wioskach zapomnianych prowincji. Prawie każdy z nich umie rozpoznać model myśliwca lub bombowca po odgłosie, jaki wydają silniki. To cud, że są studentami tutaj, a nie partyzantami gdzieś w górach. Ale może właśnie dlatego studiują, czytają i żyją z partyzancką dyscypliną. Dojrzewają jako dzieci uciskanego, lecz przede wszystkim zorganizowanego ludu. Przed ich rówieśnikami z Zachodu stoją inne możliwości doświadczania życia, tymczasem oni traktują swoją egzystencję z taką powagą, na jaką stać tylko kogoś poukładanego – jak sprawę życia i śmierci. To zorganizowane jednostki zorganizowanego ludu...

Zróbmy sobie przerwę.

Na dół! Na dół! Na dół!

Na kilka dni przed wyborami, podczas wielkiego wiecu w Diyarbakır, powszechnie uważanym za nieoficjalną stolicę tureckiego Kurdystanu, wybuchła bomba. Eksplozja, którą na żywo oglądała cała Turcja, wywołała w tłumie niezwykłą reakcję. Tysiące ludzi jednocześnie usiadło na ziemi. Nikt nie uciekał. Wszyscy po prostu padli tam, gdzie stali. I prawie każdy krzychał: „Na dół! Na dół! Na dół!”.

Był to widok zarazem dziwny i smutny, gdyż pokazywał, jak bardzo tutejsi przywykli do wojny. Wszyscy wiedzieli, że po detonacji z każdego kierunku mogą paść strzały. Nie musieli się zastanawiać, nie potrzebowali instrukcji ani nawet ostrzeżenia: w ciągu kilku sekund tysiące ludzi siedziały na ziemi. Po tej prowokacji Selahattin Demirtaş powiedział: „Jesteśmy społeczeństwem zorganizowanym”. Dla znawców rejonu i ruchu kurdyjskiego nie była to nowość, ale resztą Turcji wstrząsnęło, jak bardzo ci ludzie przyzwyczajeni byli do wojny najpośledniejszego rodzaju – takiej, która na cel bierze ludność cywilną. Tak, lud kurdyjski jest zorganizowany. Od chwili urodzenia i do szpiku kości.

W latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku, podczas ogólnego kryzysu organizacji politycznych narodził się ruch kurdyjski. Jak wspominałam już wcześniej, w latach dziewięćdziesiątych rozprzestrzenił się także na zachodnie tereny miejskie. Kurdowie wychowali i wykształcili pokolenie odmienne od tego, które pochłonęła wojna. Dotrzymuje ono kroku światu, któremu

musiało przedstawić swoje problemy, działa z dyscypliną organizacji otwartej na ten świat, lecz pamiętającej o swoich korzeniach. Selahattin Demirtaş jest jednym z pionierów tej generacji. Po nim przyjdą kolejni. Ci młodzi ludzie są pełni nadziei, apetytu na życie i oddania, a teraz także entuzjazmu i pewności siebie związanych z wkroczeniem na polityczną scenę. Ich ruch zyskuje uznanie i rozgłos na arenie stosunków międzynarodowych. Poczynania bojowników YPG, zwłaszcza kurdyjskich kobiet, w walce z ISIS można dziś śledzić na łamach światowej prasy. Nawet telewizja w Turcji używa w serwisach informacyjnych nazwy organizacji, zamiast określać ich mianem „terrorystów”, jak to czyniła kiedyś. Ironia losu: „kurdyjscy terroryści”, przed którymi broniliśmy tureckich granic, teraz bronią nas przed ISIS.

W świetle powyższych faktów przewiduję, że następną dekada w Turcji i regionie będzie dziesięcioleciem Kurdów. Nie tylko na gruncie politycznym, ale też kulturowym. Zupełnie inną kwestią jest to, w jaki sposób będąca u władzy – obecnie czy w przyszłości – partia wyjaśni tę sytuację matkom, które oddały swoich synów na trwającą trzydzieści lat wojnę. Jest natomiast pewne, z dzisiejszego punktu widzenia, że Kurdowie zajmą zupełnie nowe pozycje na międzynarodowej scenie politycznej. Nie ma wątpliwości, że w sposób znaczący wpłynie to na losy Turcji. Przekonamy się o tym wspólnie. Nie zapominajmy, że mówimy o politycznej sile organizacji zbrojnej, która przez trzy dekady stawiała czoła drugiej co do wielkości armii NATO. Być może powinniśmy też wspomnieć o groźbie upodobnienia się do swojego wroga, ale jest na to za wcześnie.

Najpierw kobiety i dzieci!

W filmach, gdy tonie statek, ktoś zawsze krzyczy: „Najpierw kobiety i dzieci!”.

W Turcji najwyraźniej odczytuje się to na odwrót, jakby kobiety i dzieci miały być pierwszymi do wyrzucenia za burtę. W Turcji czeka je teraz ponura dekada. Moim zdaniem kobiety będą musiały bronić swojego bezpieczeństwa na nowe sposoby. Pojawi się więcej zorientowanych na to organizacji pozarządowych. Tylko w ubiegłym roku dwadzieścia osiem kobiet znajdujących się pod ochroną władz zostało zamordowanych. Nasz rząd nie dba o życie i zdrowie kobiet. Przewiduję, że w ciągu następnego dziesięciu lat kobiety, powodowane instynktem samozachowawczym, stworzą więcej ruchów oddolnych niż do tej pory.

Według badania Światowego Wskaźnika Pokoju (GPI) z czerwca 2015 roku Turcja jest na 135 miejscu ze 165. Innymi słowy, Turcja jest dość niespokojnym krajem – nie tylko dla kobiet. Relacje społeczne spolaryzowane przez politykę, ciągła groźba tarć na tle etnicznym, wyniszczenie resztek elementów państwa opiekuńczego poprzez przerażające różnice w dochodach obywateli, starcia na granicy z Syrią i radykalne bojówki islamskie swobodnie poruszające się w naszych granicach... To tylko niektóre czynniki, jakie przychodzą do głowy jako pierwsze. Ale jest jeszcze jedno, co wpłynie na kolejną dekadę: chaos w szkolnictwie.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat, a szczególnie przez ostatnich dziesięć, system edukacji zmienił się wiele razy. Przepaść między poziomami wykształcenia widać nie tylko u przedstawicieli różnych pokoleń, lecz także u ludzi, których różnica wieku nie przekracza pięciu lat. To samo w sobie jest problematyczne i grozi atrofią wspólnych zasad społecznych. Dzieci dorastają z zupełnie innym wykształceniem nie tylko w obrębie różnych klas społecznych, z przyczyn ekonomicznych, lecz także w obrębie jednej klasy szkolnej, z przyczyn politycznych i religijnych. Dramatyczny spadek jakości nauczania to problem, który zdefiniuje przyszłość. Stopniowe usuwanie nauk ścisłych i filozofii ze szkół państwowych odmieni nowe pokolenie nie do poznania.

Ubliskowschodnianie i pytanie „Czy powinniśmy odejść?”

W ostatnim dziesięcioleciu ludzie coraz częściej poruszali temat emigracji. Choć protesty w parku Gezi trochę to zmieniły, ubliskowschodnianie się życia codziennego sprawia, że wykształceni obywatele z klasy średniej i wyższej rozważają opuszczenie kraju. Pod pojęciem ubliskowschodniania nie mam na myśli jedynie konsekwencji okupacji Syrii i Iraku. Polityka i życie społeczne stały się równie nieprzewidywalne w Turcji, co na Bliskim Wschodzie. To czyni nasze życie nadzwyczaj niespokojnym. Mieszkańcom tego regionu może się stać bardzo wiele złego, nawet jeśli nie robią nic ryzykownego. W huraganie różnych perturbacji coraz częściej tkwimy jak sparaliżowani. Dlatego, jak sądzę, w przyszłości zobaczycie w europejskich miastach więcej tureckich imigrantów z wyższej klasy średniej.

Przyszłość się zbliża!

Turcja po raz pierwszy wybrała naprawdę barwny, zarówno pod względem politycznym, jak i etnicznym, parlament. Wygląda na to, że ta wielobarwność utrzyma się w nadchodzącej dekadzie. Prędzej czy później spowoduje to koncentrację na nierozwiązanych napięciach, których geneza tkwi w ubiegłych epokach: Republiki i Imperium Osmańskiego. Spodziewam się, że w kolejnych latach coraz bardziej otwarcie będzie się mówiło o Ormianach, Kurdach, Asyryjczykach, alewitach i innych mniejszościach. Myślę, że to pomogłoby nam zapoczątkować nowy rozdział w stosunkach z Zachodem.

W ostatnim dziesięcioleciu wielu komentatorów ze środowisk świecko-lewicowych powtarzało, że Turcja, jaką znamy (laicka, parlamentarna, socjalna, konstytucyjna), zginie pod gwałtownym naporem islamskiego konserwatyzmu, kroczącego w przymierzu z neoliberalizmem. Prognozy takie wynikały z samodzielnych rządów AKP oraz uprawianej przez partię inżynierii społecznej. Dziś ten punkt widzenia trochę stracił na ważności. Dynamika władzy zmienia się zarówno na poziomie regionalnym, jak i państwowym. Tylko dwie rzeczy pozostają niezmiennie: położenie geograficzne Turcji i zawór bezpieczeństwa, którego nikt nie umie odnaleźć.

Tajemny zawór bezpieczeństwa

W latach dziewięćdziesiątych, gdy zaczynałam karierę dziennikarską, przeprowadziłam wywiad z jednym z najbardziej doświadczonych polityków w Turcji. Miałam wtedy dziewiętnaście lat i chyba z nadmiernej ekscytacji wypaliłam:

– Co będzie z tym krajem?

Starszy mężczyzna zaśmiał się, a wyraz jego twarzy przypominał mi, że mogłabym być jego wnuczką:

– Uroczą młodą damo, ten kraj ma zawór bezpieczeństwa, którego nikt nie umie znaleźć. Będzie z nim w porządku. Zawsze w ostatniej chwili zbierze się do kupy!

Ostatnio sporo o tym myślę. Może taki zawór faktycznie istnieje i wszyscy potajemnie liczymy, że zadziała.

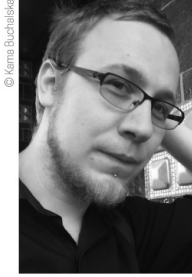
Mosty – te zerwane i te nowe

Pomimo wielu głosów krytyki i sprzeciwu budowany jest dziś nad Bosforem trzeci most, który

ma łączyć Azję i Europę. Zakrawa na ironię, że gdy więzi między Wschodem a Zachodem są coraz bliższe zerwania, a Turcja znajduje się o krok od zostania ostatnim stróżem cywilizacji w rozumieniu zachodnim, budowa mostu wytrwale sunie naprzód. Nie rozwiązuje ona zresztą wcale starego dylematu związanego z „byciem »na moście«”.

Kraj, który wydawał się „mostem” pomiędzy Wschodem a Zachodem, w chwili powstania zdefiniował się jako zachodni. Choć pod rządami AKP zwraca się zdecydowanie w przeciwną stronę, nadal pozostaje międzykulturowym łącznikiem. Mieszkańcy mostu zwróceni są teraz w dwie strony naraz. Zanim zdefiniują nowy kierunek, czekają, aż świat się obróci i zacznie się ten wieczny dzień zwany jutrem. Myślę, że choć nigdy nie mówią o tym głośno, liczą na ukryty gdzieś zawór bezpieczeństwa.

Cóż mogę powiedzieć? Tu kończy się nasza opowieść. Mam nadzieję, że udało mi się opisać mój ukochany kraj wystarczająco dobrze, żebyście mogli w Turcji, przy jakimś stole pogawędzić ciepło z ludźmi, którzy z nadzieją i niepokojem pytają: „Cóż się stanie z tą naszą krainą?”.



Łukasz Buchalski

– (ur. 1985) tłumacz i geek. Mieszka
w Kutnie z żoną Kamilą i kotem Januszem.

Tytuł oryginału: *Turkey: The Insane and the Melancholy*

Redakcja: Kamila Buchalska

Korekta: Małgorzata Wiśniowska-Deluga, Małgorzata Kuśnierz

Projekt okładki: Justyna Tarkowska | Mile Widziane

Konwersja: Wioletta Kowalska | Violet Design

© by Ece Temelkuran

© by Kalem Agency

© for the Polish translation by Łukasz Buchalski

Published in agreement with Kalem Agency, Turkey and Book/lab Literary Agency, Poland.

Przekład powstał na podstawie wydania angielskiego i niemieckiego.

Fragment poematu *Ludzka panorama z mojego kraju* Nâzîma Hikmeta (s. 152) przełożył Łukasz Buchalski.

Książkę wydrukowano na papierze Ecco book 75 Cream vol. 2.0 70g/m² dostarczonym przez Antalis Poland.

ISBN 978-83-65595-44-7 (wersja ePUB)

ISBN 978-83-65595-45-4 (wersja Mobi)



Książkowe Klimaty

www.ksiazkoveklimaty.pl

Redakcja:

ul. Mydlana 1, 51-502 Wrocław

redakcja@ksiazkoveklimaty.pl

Promocja: promocja@ksiazkoveklimaty.pl

Sprzedaż: sprzedaz@ksiazkoveklimaty.pl